

PETER CHEYNEY

Autor „Nie ma sprawy”

CRIME CLASSIC

Rodzinny poker

DC
DA CAPO

PETER CHEYNEY RODZINNY POKER



Na kacu nie chce się żyć, a co dopiero pracować. Kto jak kto, ale Slim Callaghan wie o tym najlepiej...

Jeżeli zaś praca wymaga wyjazdu z Londynu, z dala od przytulnych barów, tym gorzej dla pracy...

No chyba że zleceniodawczynię wyróżnia para wyjątkowo zgrabnych damskich nóżek...

A tym razem nóżek były trzy pary...



Peter Cheyney (1896-1951) należał do najbardziej poczytnych autorów kryminałów w Anglii. Karierę pisarską rozpoczął w 1936 roku i aż do śmierci publikował średnio dwie powieści rocznie. Co roku nakład jego książek przekraczał milion egzemplarzy.

„Rodzinny poker” prezentuje dalszy ciąg przygód najślynniejszego z bohaterów Cheyneya – Slima Callaghana oraz pary jego współpracowników.

ISBN 83-85373-03-9

DC
Dziękuję

Cena 34.000 zł

Dla Betty Waleran

Peter Cheyney

Rodzinny poker

Przełożyła
Danuta Kozicka

Wydawnictwo Da Capo
Warszawa 1993

Tytuł oryginału

Uneasy Terms

Copyright © by Peter Cheyney Limited

Redaktor

Robert Ginalski

Opracowanie graficzne,

skład i łamanie

FELBERG

Zdjęcie na okładce

Zbigniew Reszka

For the Polish translation Copyright © 1993 by Danuta Kozicka

For the Polish édition Copyright © 1993 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I

ISBN 83-85373-02-0

DRUK I OPRAWA

Zakłady Graficzne w Gdańsku ul. Trzy Lipy 3, tel. 32-57-69

Rozgrzewka przed walką

Nadciągający znad morza wiatr sprowadził deszcz. Ściany wody ciężły faliste pola Sussexu, zamieniając się w małe strumyki spływające rowami obok krętych dróg wokół Alfriston. W lasach porastających długie pasmo wzgórz za wsią słychać było ponure wycie wiatru.

Dark Spinney czyli Mroczny Zagajnik - stary, bezstyłowy dwór należący do rodu Alardyse - stał na zboczu wzgórza za wsią High and Over, powszechnie zwaną Hangover, czyli Kacem. Zarośnięty wysokimi porostami i mchem wysoki mur otaczający rezydencję to znikał w ciemnościach, to pojawiał się w świetle reflektorów samochodu zmierzającego w stronę Alfriston.

W dworze dychawiczny zegar dziadka, wiszący na ścianie wykładanej starą dębową boazerią, wybił ósmą.

Viola Alardyse schodziła do holu. W świetle ocienionej abażurem lampy ściennej na zakręcie schodów przedstawiała pyszny widok. Wysoka, smukła, poruszała się z tak niewysłowionym wdziękiem, iż nie sposób jej było nie zauważyć. Jasne włosy koloru pszenicy tu i ówdzie mieniły się złotymi pasmami.

Znalazła się na podeście; dalej były trzy schodki, a za nimi reszta schodów prowadzących w dół, do holu. Na wprost nich znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi wejściowe. Z lewej strony biegł krótki, wykładany dębową boazerią korytarzyk, z którego wychodziło się do ogrodu, na alejkę wiodącą do zielonej furtki w murze otaczającym posiadłość; za murem znajdowała się wiejska droga do Alfriston.

Viola stanęła bez ruchu, z jedną ręką opuszczoną, a drugą opartą na balustradzie. Miała na sobie długą, aksamitną czarną spódnicę i białą bluzkę z żorżety. Riuszki wokół szyi i rękawów zebrane były czarnymi aksamitkami. Mała stopa, obuta w ładny krepdeszynowy pantofel, niecierpliwie stukiała o podłogę. Wokół niebieskich oczu widniały ciemne kręgi. Proste usta - piękne u wszystkich kobiet z rodu Alardyse - kryły drobne, perłowobiałe zęby.

Spojrzała na zegarek na lewym ręku, jakby sama ta czynność mogła odsunąć to coś, przed czym się broniła. Po chwili skrzyła w główny korytarz, z którego wchodziło się do salonu i jadalni. W połowie drogi usłyszała, że ktoś otwiera drzwi do ogrodu. Zawróciła. Gdy znalazła się z powrotem u stóp schodów, korytarzykiem nadeszła jej siostra.

- Dobry wieczór, Corinne - powitała ją Viola.

Corinne Alardyse włożyła ręce do kieszeni mokrego płaszcza przeciwdeszczowego. Przez moment przyglądała się siostrze spod na wpół przymkniętych powiek. Jej mina mogła oznaczać zarówno dobry humor, jak i pogardę - z Corinne nigdy nic nie wiadomo. Niższa trochę od Violi, uosabiała ciemny, włoski typ urody. Jej szarozielone oczy błyszczały, jakby właśnie wymyśliła jakiś dobry dowcip. Zaczęła zdejmować płaszcz.

- Leje jak z cebra. Omal nie utonąłam po drodze z garażu. Co słyhać, moja śliczna? - Jej usta wykrzywił ironiczny uśmieszek.

- Chcesz się zabawić moim kosztem? Nie jestem w nastroju do żartów.

Corinne powiesiła płaszcz. Z kieszeni wełnianego żakietu wyjęła papierośnicę i zapalniczkę. Zapaliła papierosa. Oparła się o dębową ścianę na wprost Violi, obok zbroy noszonej niegdyś przez jednego z przodków rodu Alardyse, co przydawało całej scenie niemal groteskowego charakteru. Zaciągnęła się głęboko, wydęła usta i wolno wypuściła dym.

- Wcale nie sądzę, żebyś w tej chwili miała ochotę na żarty, moja słodka. Ale czyja to wina? Czy nie mamy tu aby

do czynienia z przypadkiem grzesznicy szukającej współczucia?

Viola poruszyła się nieznacznie.

- Nigdy nie szukałam współczucia u ciebie, Corinne.

- Czyżby? Pewnie dlatego, że nie miałaś na co liczyć.

Niby dlaczego miałabym ci współczuć, co?

- Nie wiem - odparła Viola znużonym głosem. - W każdym razie nie proszę cię o współczucie. Mogłabyś mi natomiast powiedzieć, co się stało.

Corinne odsunęła się od ściany. Stała u stóp trzech schodków i podniosła wzrok na stojącą nieruchomo siostrę, która górowała nad nią niczym posąg.

- O, nie wątpię, że chciałabyś wiedzieć wszystko dokładnie - wycedziła cynicznie. - Nie wątpię.

Zniżyła głos.

- No więc ci powiem. Mój przyjaciel - ciągnęła ze stoickim spokojem, obserwując żarzący się koniec papierosa - jest bezlitosny. Ale mam wrażenie, że teraz jest nawet bardziej bezwzględny niż zwykle.

- O Boże! - szepnęła Viola.

- Nie mam pojęcia, co ci pomoże wzywanie Stwórcy, chociaż rozumiem, co czujesz. No cóż, mówiąc krótko i węzłowato, to tak wygląda. Kazał ci przekazać, że wszystko zostaje po staremu. Innymi słowy, nie ma mowy o zmniejszeniu sumy. Bo inaczej... - Corinne rozłożyła ręce i po chwili podjęła: - W każdym razie nie sądzę, żebyś miała powody do narzekania. - Spojrzała na siostrę z ukosa. - Z nas dwóch to ja mam prawo narzekać.

- Czasami mam ochotę skończyć z tym wszystkim - wyznała cicho Viola. - Ta sytuacja mnie wykańcza. Nic gorszego nie mogło mnie spotkać. Nie rozumiem, dlaczego jesteś temu przeciwna. Tylko byś na tym zyskała, Corinne.

- Być może, ale widocznie nie chcę na tym korzystać. Obecna sytuacja w pełni mi odpowiada. Naprawdę nie pojmuję, dlaczego tak narzekasz. Gdyby prawda wyszła na jaw, twoja sytuacja znacznie by się pogorszyła.

- Ale on stale żąda więcej.

Corinne wzruszyła ramionami.

- Mężczyźni zawsze żądają coraz więcej - stwierdziła z przekonaniem. - Tacy już są. A ty przecież jesteś bogata. - Nagle podniosła wzrok i zawołała: - Rany boskie, czy widzisz to samo, co ja?

Na zakręcie schodów ukazała się jakaś postać. Schodziła powoli małymi, wystudiowanymi kroczkami, tym mniejszymi, że przeszkadzały jej zbyt duże eleganckie pantofle z czerwonej satyny, w dodatku na bardzo wysokich (co najmniej trzyipółcalowych) obcasach. Miała na sobie niezwykle obcisłą jaskrawoczerwoną suknię z głębokim dekoltem, odsłaniającym prawie całe piersi. Włosy koloru słomy opadały jej swobodnie na ramiona, w stylu Weroniki Lake. Twarz pokrywał trupioblady makijaż, powieki i skórę pod oczami błękitne cienie, a rzęsy gruba warstwa tuszu. Doskonale wykrojone usta podkreślała jasnoczerwona pomadka; przesadnie zarysowane łuki górnej wargi wyglądały wręcz groteskowo.

Była to panna Patrycja Alardyse, dziewczę lat siedemnastu.

- Ty mała suko! - krzyknęła Corinne. - Wracaj natychmiast do pokoju i zdejmij tę sukienkę. Znowu grzebałaś w mojej szafie! I, na litość boską, zmyj to paskudztwo z twarzy. Wyglądasz jak dziwka.

Patrycja teatralnym gestem oparła się o balustradę.

- A wiesz, Corinne - oświadczyła dramatycznie - czytałam gdzieś, że każda kobieta ma w sobie coś z dziwki.

- Ty masz nawet sporo, przynajmniej w tej chwili - odparowała siostra. Idź, umyj twarz, zdejmij moją suknię i odłóż buty tam, skąd je wzięłaś.

Patrycja, opierając się o balustradę w sposób, jak sądziła, charakterystyczny dla panny Lake w jej najlepszym wydaniu, prychnęła:

- Akurat, już lecę!

- Jeszcze pożałujesz! - warknęła Corinne ze złością. - Niech tylko Gervase zobaczy cię w takim stanie! Jak myślisz, co zrobi? Uraczy nas kilkugodzinnym kazaniem.

- Mam to gdzieś - odparła Patrycja. - Strevens, ten

pomocnik rzeźnika ze wsi, powiedział niedawno, że ze mnie wykapana Greta Garbo.

- No proszę. A dwa czy trzy dni wcześniej gazeciarsz mówił ci, że wyglądasz zupełnie jak Lana Turner. Mała idiotka! Dość już mam twoich nalotów na moją szafę.

Patrycja ruszyła w dół, zachowując - w swoim mniemaniu - postawę pełną godności.

- Twoje obelgi nie robią na mnie najmniejszego wrażenia. Spływają po mnie jak woda po gęsi. Dobrze wiem, o co chodzi... po prostu jesteś zazdrosna.

Przepłynęła przez hol do korytarza prowadzącego do salonu.

- Co za przerażająco głupia dziewczyna - zwróciła się Corinne do Violi. Nie wiem, co się z nią dzieje. Bez przerwy kogoś gra.

- Jest jeszcze młoda. Wyrośnie z tego. - Starsza siostra uśmiechnęła się cierpko. - Chyba większość z nas gra przez całe życie.

- Mów za siebie - odparowała Corinne. - Ja nie gram. Czasami odnoszę wrażenie, że w całej naszej rodzinie tylko ja zachowuję się naturalnie. - Posłała Violi złośliwe spojrzenie. - Ja przynajmniej nie mam nic do ukrycia.

Od strony jadalni rozległ się gong.

- Szybko, Corinne, przebierz się - rzuciła Viola. - Wiesz, jak Gervase się złości, jeśli ktoś się nie przebierze do kolacji. Po co nam znowu te sceny. I tak ostatnio atmosfera nie jest zbyt miła.

- Istotnie. Właściwie to mam już powyżej uszu ojczyma i tych jego upodobań. Wyobraża sobie, że ludzie nie mają nic lepszego do roboty, tylko przebierać się na okrągło.

Corinne ruszyła na górę. Na szczycie schodów, gdzie spotykały się cztery korytarze, tworząc studnię, zatrzymała się i rzuciła do siostry przez ramię:

- Głowa do góry, kochana. Dopóki - zniżyła głos - będziesz płacić, nic ci nie grozi. Do zobaczenia! - pobiegła dalej.

Viola nadal stała w holu, patrząc przed siebie na wielkie

dębowe drzwi. Tkwiła tak przez kilka minut, niezdeterminowana i nieszczęśliwa.

Jak niezwykle i dziwaczne jest życie, myślała. Oto wraca coś z przeszłości i zadaje ci cios; potem drugi i trzeci. Nie liczą się motywy twojego postępowania. Właściwie nic się nie liczy. Życie jednakowo traktuje zarówno dobre, jak i złe intencje.

Była bliska łez. Nagle, jakby podjęła jakąś nielogiczną decyzję, niczym kobieta działająca pod wpływem impulsu, a nie spokojnego namysłu, ruszyła do wschodniego skrzydła domu. Szła szybko, jakby obawiając się, że najmniejsza zwłoka mogłaby zmienić jej decyzję. Zatrzymała się pod drzwiami na końcu korytarza i zapukała delikatnie.

Po chwili dał się słyszeć gniewny głos ojczyma:

- No... co tam? Czy nie mogę mieć chwili spokoju? Kto tam znów i w jakiej sprawie?

Viola bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nie... już nic. Przepraszam, że ci przeszkodziłam.

Wróciła do holu i zaczęła wchodzić po schodach. W oczach miała łzy. Szybko wbiegła do swego pokoju na pierwszym piętrze. Tam rzuciła się na łóżko i zaczęła gorzko łkać.

Dokonajmy teraz prezentacji pułkownika Gervase'a Stenhursta (niegdyś oficera Armii Indyjskiej, obecnie - przez grzeczność - właściciela Dark Spinney, a także - również przez grzeczność - tytularnej głowy rodu Alardyse i tego, co zostało z rodu Wymering; a mówiąc „tytularna głowa”, mam na myśli rzeczywiście tytularną głowę), który zasiada u szczytu długiego - zbyt długiego dla tych paru osób - dębowego stołu i przygląda się swoim powinowatym ponuro, ze złością i zawiścią.

Pułkownik należy do tak zwanej starej szkoły; dobre manieri przejawia tylko wtedy, gdy ktoś na niego patrzy. Chętnie więc przybiera pozory człowieka, który szanuje damy, lubi whisky i dobre cygara i którego pociąga wygodne życie. Przede wszystkim zaś ceni spokój i ciszę,

pozwalające mu rozkoszować się wszelkimi pożytkami płynącymi właśnie z ciszy i spokoju.

Ale mimo tej zewnętrznej oglady - szczególnie gdy nikt nie widzi - pułkownik folguje sobie w sposób godny najwyższego potępienia. Nadal ma słabość do zgrabnych damskich nóżek, zwłaszcza gdy sobie wypije więcej niż cztery podwójne whisky z wodą sodową; nie przepuści żadnej korzystnej okazji i zawsze wie, z której strony wieje wiatr, chociaż niechętnie się do tego przyznaje. No, chyba że ktoś sam na to wpadnie.

Prostota pułkownika niebezpiecznie graniczy z prostactwem. Ale jego niespotykana wprost umiejętność samookłamywania się chroni go przed uświadomieniem sobie tego faktu. Jak rzadko kto, mając sześćdziesiąt dwa lata jest próżny; a próżność u sześćdziesięciodwuletniego mężczyzny nie wróży nic dobrego ani jemu, ani najbliższemu otoczeniu.

Panna Honoria Wymering, siostra nieżyjącej już pani Stenhurst - matki Violi, Corinne i Patrycji, których ojcem był pierwszy jej mąż, Ferdinand Alardyse - siedzi po drugiej stronie stołu, rzucając z ukosa szybkie, pełne obaw spojrzenia. Zatraskanym wzrokiem wodzi od czasu do czasu wokół stołu. Jej niebieskie oczy, mimo wieku, są jasne i piękne. Czuje, że przy stole atmosfera zgęstniała i że najmniejsza prowokacja może doprowadzić do kłótni, a w ciągu ostatnich dwóch tygodni i tak było ich zbyt wiele.

Panna Wymering jest pulchna i wciąż piękna. Rozjaśnione włosy ma zawsze starannie uczesane. Jej wygląd uświadamia, że wszystkie kobiety z rodu Wymering są piękne; piękne i pociągające. Że zaskakująca uroda trzech panien - Violi, Corinne i Patrycji - to po prostu kontynuacja tradycji rodziny Wymering; kontynuacja godności i piękna w przypadku Violi, piękna bez godności w przypadku Corinne i piękna połączonego z przewrotnością, komedianctwem i zmiennością nastrojów w przypadku Patrycji.

W tym miejscu należałoby poświęcić również kilka słów Patrycji; Patrycji, która wcale nie jest głupia i mimo

predylekcji do komedianctwa i wcielania się w coraz to inną z dobrze jej znanych postaci z ekranu, jest bystra i wie, co w trawie piszczy, słyszy najcichsze szepty, jeśli tylko niosą coś interesującego, i widzi wszystko dookoła. Patrycji, która pogardza ojczymem, ciotkę traktuje z pobłażliwością i panicznie - choć skrycie - boi się Corinne; bo ta potrafi napędzić jej, młodej damie, porządnego stracha. Tej samej Patrycji, co skrzętnie ukrywa miłość do Violi, jedynej osoby, którą podziwia, a nie naśladuje.

Panna Wymering nawet zupę spożywa z wdziękiem. Jej wzrok wędruje kolejno od pułkownika do Violi, od Violi do Corinne i od Corinne do Patrycji. Coś się stało, myśli i żałuje, że nie wie co. Ale niemal natychmiast cieszy się, że nie wie. Czasami niewiedza jest prawdziwym błogosławieństwem.

Co, oczywiście, nie powstrzymuje jej od domysłów.

Patrzy na Violę. Jaka to śliczna kobieta. Szkoda tylko, że jest taka zmęczona - te ciemne kręgi pod oczami są nader wymowne. Panna Wymering domyśla się, że Viola ma jakieś zmartwienie. Co to może być? Przywołuje w pamięci sprawy, które ją trapiły, gdy zbliżała się do trzydziestki.

Panna Wymering wzdycha. Chętnie zapytałaby Violę o wiele rzeczy, ale brak jej odwagi. Niestety. Najbardziej bowiem ceni w życiu spokój. Ponadto Viola sama by jej powiedziała, gdyby miała ochotę. Prawda?

Albo taka Corinne. Panna Wymering zaczyna rozmyślać o siostrzenicy, która je zupę z wyrazem najwyższego zadowolenia z siebie, gasnącego tylko w momentach, gdy z odrazą patrzy na Patrycję (nawiasem mówiąc, Patrycja nadal ma na sobie czerwoną suknię wieczorową Corinne, na twarzy ohydny makijaż, fryzurę gwiazdy filmowej i minę wyrażającą, w jej przekonaniu, najwyższą wzdargę i jednocześnie pewność, że starsza siostra lada chwila może stać się bardzo niemila, na co ona czeka z niecierpliwością; że w tej chwili przepowiada sobie w myślach, jak rozegra tę scenę - scenę odparcia ataku siostry); Corinne, która - co nie uchodzi uwagi panny Wymering - wygląda jak „kot, który połknął kanarka”, pewna siebie i zadowolona. Honoria

zastanawia się, kto będzie tym kanarkiem, którego za chwilę połknie.

Wreszcie Patrycja! Na znak dezaprobaty panna Wymering wydaje pod nosem dźwięk żywo przypominający gdaknięcie. Ta dziewczyna jest doprawdy nieznośna! I to jak! Panna Wymering domyśla się, oczywiście, że włożyła suknię Corinne bez pozwolenia; że jej uczesanie jest prawdopodobnie kopią fryzury jakiejś gwiazdy filmowej, która obecnie zaspokaja potrzeby emocjonalne Patrycji; dla opisanie koszmarnego makijażu tego dziecka - jej zdaniem osoba nie mająca jeszcze dwudziestu jeden lat jest dzieckiem - po prostu brak słów. Pozostaje jedynie mieć nadzieję, iż Gervase nic nie zauważy, a jeśli nawet, to nie będzie się zbytnio gniewał.

Lokaj Sallins, sędziwy rezydent z czasów Ferdinanda Alardyse'a, który służy w rodzinie od małego - sam już nie pamięta, ile to lat - białowłosa, o niemal arystokratycznej powierzchowności, krąży przy końcu stołu czekając na moment, gdy będzie mógł uprzątnąć talerze po zupie. Sallins też nie ma humoru. Czuje, że coś wisi w powietrzu. Że szykuje się jakaś awantura. Zastanawia się tylko, czy poczekają z tym do kawy, czy zaczną zaraz. Nie może się zdecydować - czy zostać przy rodzinnej sprzeczce i udawać, że go nie ma, czy wyjść i domyślać się, o co im, do licha, chodzi.

Prawdę mówiąc, Sallins osiągnął stan ducha i ciała, kiedy człowiek w ogóle zastanawia się, o co w tym życiu chodzi. Jest stary, a życie przypomina mu chroniczny ropień dziąsła - czyli coś, co się przeciąga, jest bolesne i w nikim nie budzi współczucia. Krąży wolno wokół stołu, zbierając talerze po zupie i z lekka utykając; utykanie to pamiątka po kopnięciu przez kucyka panny Violi, gdy miała pięć lat. Cóż to były za czasy, myśli Sallins, kiedy panem na Dark Spiney był pan Alardyse... a później pani Alardyse postąpiła niemądrze i wyszła ponownie za mąż. To były czasy...

Nagle rozpętała się burza. Sallins podał kotlety i opuścił pokój, żeby dopilnować przygotowania deseru. Corinne

powoli przeżuwała kawałek baraniny. W pewnej chwili odłożyła nóż i widelec i lodowatym tonem zwróciła się do Patrycji:

- Zdaje się, że kazałam ci zdjąć tę suknię. Dlaczego nie stosujesz się do poleceń, ty nieznośna smarkuło?!

Patrycja przestała jeść, spojrzała na siostrę i równie lodowato odparła:

- Nie życzę sobie z tobą rozmawiać, ty ponuraku! Przed kolacją nazwałaś mnie suką... tak, suką!

- Co to wszystko znaczy, do diabła? - odezwał się gniewnie pułkownik. - Jak... jak ona cię nazwała?

- Suką, ojczymku, czyli psem rodzaju żeńskiego - wyjaśniła Patrycja niewinnym głosem.

Z gardła pułkownika wydobył się nieartykułowany, straszliwy dźwięk.

- Tylko się nie uduś, Gervase. Wcale by nas to nie uradowało - pospieszyła z zapewnieniem Corinne i jeszcze raz zwróciła się do Patrycji: - Natychmiast po kolacji pójdziesz do swojego pokoju i sama zdejmiesz tę suknię, chyba że wolisz, żebym ją z ciebie zdarła. Powiedziałam ci już, że wyglądasz jak dziwka.

- Niestety, nie znam się bliżej na dziwkach - odparła zimno Patrycja. - Interesują mnie wyłącznie jako obiekty abstrakcyjne. - Uśmiechnęła się złośliwie do Corinne. - Jesteś dzisiaj w złym nastroju, prawda, kochanie? Wiesz, ojczymku, kiedy Corinne traci panowanie na sobą, daje nieźle popalić,

- Mam już po dziurki w nosie tych wiecznych kłótni przy stole - stwierdził cierpko pułkownik. - I niedobrze mi się robi od tego szokującego slangu, jakim się posługujecie. Za moich czasów młode kobiety nie zachowywały się tak jak wy. O co chodzi z tym paleniem? Co ona ci daje popalić?

- Dać popalić to inaczej mówiąc zaleźć komuś za skórę... albo dać po dupie - wyjaśniła Patrycja.

Pułkownik spojrzał na szwagierkę.

- Doprawdy, Honorio, nie wiem, czym ty się zajmujesz. Posłuchaj tylko, jak to dziecko się do mnie odzywa... do

swojego ojczyrna. Cóż za koszmarnie zachowanie! Jej siostry są zresztą nie lepsze. Sam nie wiem, dlaczego ja to znoszę.

Trzasnął nożem o stół. Jego twarz miała ceglastoczerwoną barwę.

- Co też ty opowiadasz, Gervase - zadrwiła Corinne. - Wiesz doskonale, dlaczego to znosisz... wszyscy wiemy.

Panna Wymering nareszcie zabrała głos:

- Corinne, proszę cię... nie powinnaś zwracać się do ojczyrnyma w ten sposób. Poza tym nie życzę sobie, żebyście się kłóciły w czasie posiłków. To bardzo zły zwyczaj. Jestem pewna, że służba wszystko słyszy.

Pułkownik roześmiał się sarkastycznie.

- A to dobre, ta uwaga o słuchającej służbie! Wszyscy słyszą, nie tylko służba, ale cała wieś. Najwyższy czas, żeby ktoś porozmawiał wreszcie z dziewczętami. - Przeszył Patrycję wzrokiem. - Siostra nazywa cię głupią. Niestety, jesteś bardzo, bardzo głupia. Nic nie robisz, tylko latasz do kina i naśladujesz gwiazdy filmowe. Wyglądasz straszliwie. Nie masz najmniejszego pojęcia, jak powinna się zachowywać dama. Na sam twój widok robi mi się niedobrze.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, ojczyrnku - odparła Patrycja ze smutnym uśmiechem. - W pełni odwzajemniam twoje odczucia. Oj, twoja twarz przybrała przedziwną barwę. Nie sądzisz, ojczyrnku, że to może być atak?

Czerwień na twarzy pułkownika pociemniała o ton.

- Cholera! Setki razy prosiłem cię, żebyś nie mówiła do mnie „ojczyrnku”. Dlaczego to robisz?

- To jasne. - Corinne wyręczyła siostrę w odpowiedzi. - Dlatego, że cię to irytuje. A może myśli, że zwracanie się do ciebie po imieniu albo nazywanie cię ojczyrnem nie wyszłoby ci na dobre... Jeszcze byś się poczuł ważny.

- Nie powinnaś tak mówić, Corinne - wtrąciła pośpiesznie panna Wymering. - Cóż to za maniery?

Zapadła pełna napięcia cisza, tak gęsta, że można by kroić ją nożem. W końcu Viola przerwała milczenie:

- Pozwolisz, że was opuszczę, Gervase? Pójdę do siebie. Straciłam apetyt.

- Nigdzie nie pójdziesz - warknął pułkownik. Był wściekły. Usta miał zaciśnięte, oczy rzucały złe błyski. - Nigdzie nie pójdziesz - powtórzył. - Mam tobie i Corinne coś do powiedzenia i radzę, żebyście mnie uważnie wysłuchały.

Viola spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Cóż za dramatyczne oświadczenie - prychnęła Corinne impertynencko. - Zamieniam się w słuch.

Panna Wymering spoglądała to na jedno, to na drugie.

- Gervase, czy nie sądzisz, że lepiej porozmawiać z dziewczętami po kawie, kiedy nie będzie obawy, że Sallins wejdzie do pokoju?

Pułkownik wybuchnął śmiechem.

- Zapewniam cię, Honorio, że nie musisz się przejmować Sallinsem. Każdy służący w tym domu, cała wieś, a pewnie i Alfriston... Podejrzewam, że doskonale wiedzą, o czym mam zamiar mówić. I to od dawna.

- Coś podobnego... - bąknęła panna Wymering. - A cóż to takiego, Gervase? - W jej oczach pojawił się niepokój.

- W każdej wsi zawsze dużo się mówi - stwierdziła Corinne. - Nie słyszeliście nigdy o obrzucaniu błotem „jaśniepaństwa”? Przypuszczam, że my jesteśmy takim „jaśniepaństwem”... a może nie?

- Mam coś do powiedzenia i chcę to załatwić bez zwłoki - oświadczył pułkownik. - Od dawna cierpliwie znoszę atmosferę w tym domu, chociaż wcale mi się nie podoba. Patrycja zachowuje się obrzydliwie... wyrośnie na awanturnicę. Co do Corinne - zerknął groźnie w jej stronę - to w życiu nie widziałem tak źle wychowanej młodej kobiety. Całą nadzieję pokładałem w Violi, sądziłem, że ona nadrobi braki sióstr.

- A cóż takiego zrobiła Viola, Gervase? - odważyła się zapytać panna Wymering.

- W tej chwili nie ma to nic do rzeczy. Obie z Corinne wiedzą, co zrobiły... a przynajmniej wiedzą, co robią.

Panna Wymering uniosła brwi.

- Ale co one takiego robią, Gervase? O co chodzi?

- We wsi i w Alfriston krążą nieprzyjemne plotki. Dotarły aż do Eastbourne. Otóż nazwisko obu naszych panien łączy się z wyjątkowo niesympatycznym osobnikiem, cieszącym się złą sławą w przeszłości i nie najlepszą obecnie. Dżentelmen ów związany jest z jednym z najbardziej plugawych klubów na przedmieściach Brighton. Do licha, nie jest mi lekko, kiedy dowiaduję się o tym od członków mojego klubu. Ludzie opowiadają mi, co zasłyszeli, i z wolna nabierają przekonania, że dwie moje pasierbice prowadzą się jak flądry, a trzecia, siedemnastoletni dzieciak, zachowuje się jak wsiowy przygłup.

Patrycja zerwała się na nogi.

- Ciociu Honorio, Corinne nazwała mnie suką... to jeszcze mogę znieść. Nie widzę natomiast powodu, żeby mnie porównywać do wiejskich głupków. Porównanie jest zresztą o tyle nietrafne, że u nas nie ma wsiowego głupka... - spojrzała na pułkownika - o obecnych, rzecz jasna, nie mówimy. - Na jej twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego smutku, gdy dorzuciła: - Chyba pójdę do siebie. Chciałabym zostać sama. - Po czym usiadła i z zapalem zaatakowała kotlet.

- Nie wydaje ci się, że jesteś niegrzeczny? - Teraz Violę z kolei zwróciła się do pułkownika. - Że należy się zastanowić, zanim się coś powie? Przecież twoje zarzuty są śmieszne.

- I to jak! - zawołała Corinne. - Viola ma rację... rzeczywiście powinieneś się zastanowić, zanim zaatakujesz rodzinę, a zwłaszcza Wiolę. - Spojrzała figlarnie na starszą siostrę. - W końcu zgodnie z testamentem mamy dostajesz zaledwie dwieście pięćdziesiąt funtów rocznie, natomiast Viola dorzuciła ci tysiąc funtów ekstra. Ładnie to kasać rękę, która cię karmi?

- Ty... ty... - wychrypiał pułkownik niskim, zduszonym głosem. - Czasami najchętniej bym cię udusił.

- Cięcie. Scena druga - mruknęła Patrycja.

- Gervase, za chwilę będzie tu Sallins - ostrzegła panna

Wymering. - Czas najwyższy skończyć tę rozmowę. Uważam, że wszyscy zachowaliście się głupio. Jeśli masz dziewczętom coś do zarzucenia, wybierz do tego bardziej odpowiednie miejsce.

- Zostałem obrażony - odparł pułkownik. - Być może jako przysłowiowy ojczym nie cieszę się sympatią, ale jestem opiekunem majątku i dopóki pełnię tę funkcję, będę pilnował, żeby dziewczęta prowadziły się przyzwoicie. Skoro jednak nie życzysz sobie, żebym dalej o tym mówił, ograniczę się jedynie do poinformowania szanownych pań, co zamierzam zrobić. Moje uwagi odnoszą się do ciebie, Viola, i do ciebie, Corinne. A co do dziecka - zerknął wrogo na Patrycję - to mam nadzieję, Honorio, że dołożysz wszelkich starań, żeby wpoić małej nieco rozsądku i dobrych manier.

Zasapał się nieco i przez chwilę wyrównywał oddech. Wreszcie podjął:

- Jest dla mnie oczywiste, że tuż pod moim bokiem dzieje się coś, co rujnuje reputację zarówno dziewcząt, jak i całej rodziny. Jak widać, fakt że wasza rodzina żyła tu od setek lat, nic dla was nie znaczy. Dla jakichś podejrzanym przyjemnostek gotowe jesteście unurzać nazwisko rodziny w błocie. Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że nie jestem waszym ojcem. Ale mam zamiar dowiedzieć się prawdy, zapamiętajcie to sobie. Nawet gdybym miał kazać was śledzić. Taka jest moja decyzja i możecie być pewne, że się nie cofnę przed niczym.

- Wybacz, ciociu. Chyba wypiję kawę w swoim pokoju - oświadczyła Viola i wyszła.

- Życie w tym domu zapowiada się niezwykle interesująco - zauważyła Corinne i zwróciła się do ojczyma:

- Powinieneś sobie uświadomić, że Viola ma blisko trzydzieści lat, a ja dwadzieścia osiem. Nie sądzisz, że jesteśmy zbyt dorosłe, żeby nas śledzić?

- Nie, skoro żadna z was nie ma za grosz rozsądku. Myślisz, że śledzenie was sprawi mi przyjemność? - Popatrzył dalej i mówił dalej: - Gdybyś zechciała powiedzieć mi, co się dzieje... co właściwie łączy ciebie i Violę z tym mężczyzną...

no cóż, skoro nic chcesz, podejmę stosowne kroki, żeby samemu się dowiedzieć.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie robić, co ci się żywnie podoba - oświadczyła Corinne uprzejmie. - Ale na twoim miejscu dobrze bym się zastanowiła. Jeśli wynajmiesz ludzi do śledzenia nas, będziesz ich musiał opłacać z własnej kieszeni. Nie spodziewasz się chyba, że Viola pokryje koszty z własnych pieniędzy? Co za okropna kolacja! Nawet Sallins opuścił statek. Dobranoc, ciociu. - Uśmiechnęła się cynicznie do ojczyma. - Ty też śpij dobrze, Gervase. A na sen zamiast szklaneczki whisky zażyj lepiej bromu.

- Zdaje się, że teraz na mnie kolej, żeby opuścić ten pokój - odezwała się Patrycja. - Zresztą, zabawa się skończyła. Dobranoc, rodzinko.

Corinne bez pośpiechu wyszła bocznymi drzwiami na korytarz do holu. Zamykając za sobą drzwi, zostawiła je lekko uchylone i stanęła za nimi na grubym dywanie. Po chwili usłyszała głos ciotki:

- Nie wydaje ci się, że robisz z igły widły, Gervase? O co ta cała awantura? Mogę sobie wyobrazić, że Corinne popełniła jakieś głupstwo, ale Viola? Jesteś pewien? Masz jakieś dowody?

- Wiem, co mówię i nigdy w życiu nie byłem równie poważny, jak teraz - odparł pułkownik. - Naszym obowiązkiem jako opiekunów majątku jest wiedzieć, co się dzieje. Na razie, skoro one przyjęły taką postawę, zamierzam zbadać to na własną rękę. Mam nazwisko pewnego człowieka w Londynie. Zdaje się, że to rozsądny gość, prywatny detektyw. Skontaktuję się z nim i dowiem się wszystkiego.

Wszedł Sallins i zaczął zbierać talerze.

- Chyba zrezygnujemy z deseru, Sallins - powiedziała panna Wymering. - Pannie Alardyse podaj kawę do pokoju, a panna Corinne też chyba wypije u siebie.

Pułkownik wstał.

- Ja za kawę dziękuję. Przynies mi na górę whisky z wodą sodową, Sallins. A co z wieczorną pocztą?

- Dopiero co nadeszła, proszę pana. Właśnie przed chwilą.

Nie miałem nawet czasu jej posegregować. Czy mam ją przynieść razem z whisky?

- Nie, sam wezmę po drodze.

Corinne cicho zamknęła drzwi i ruszyła korytarzykiem. Słyszała, jak pułkownik wychodzi z jadalni do holu i grzebie w mosiężnej tacy z wieczorną pocztą. Kiedy jego szybkie, gniewne kroki zadudniły na schodach, weszła do holu. Stała oparta o ciemną dębową ścianę; na jej pełnych ustach pojawił się uśmiezek. Wpatrywała się w telefon. Po dłuższej chwili rozległ się cichutki, ledwie dosłyszalny dźwięk, świadczący, że ktoś korzysta z drugiego aparatu na tej samej linii.

Sięgnęła do kieszeni po papierośnicę i zapaliła papierosa. Ciotka - myślała - pewnie wyjdzie z jadalni głównymi drzwiami, pójdzie do siebie i w ponurym nastroju będzie się zastanawiała, o co właściwie poszło. Uznała, że spokojnie może zostać w holu. Wiedziała, że minie trochę czasu, zanim pułkownik połączy się z odpowiednim numerem.

Upłynęło kilka minut. Ponownie usłyszała leciutki brzęk. Podeszła szybko do telefonu i ostrożnie podniosła słuchawkę. Usłyszała głos pułkownika.

- Chciałbym rozmawiać z panem Callaghanem. Polecono mi go i jestem przygotowany na koszty. Mówi pułkownik Gervase Stenhurst z Dark Spinney, Hangover koło Alfriston, w hrabstwie Sussex. To sprawa niezwyklej wagi. Właśnie otrzymałem pewien list...

- Jasne - wtrącił jakiś głos. - A wiesz pan, która godzina? Wpół do dziewiątej, a pan Callaghan nie zasuwa na nocnej zmianie... w każdym razie niezbyt często. No ale jak to taka pilna sprawa, to może go pan złapie za jakieś pół godziny w klubie Światło Nocy. Powiedziałem: może! Podaję numer: Mayfair 43276.

- Świetnie, spróbuję go tam złapać - odparł pułkownik.

- Chciałbym, żeby jutro do mnie przyjechał. Bardzo mi zależy na czasie.

- Może przyjedzie, a może nie - wycedził głos. - Z nim nigdy nie wiadomo. Sam pan z nim gadaj. Na razie.

Corinne usłyszała, że pułkownik się rozłączył. Odłożyła

sluchawkę na widełki i przez chwilę patrzyła na aparat. W zamyśleniu zaciągnęła się papierosem. Potem wzruszyła ramionami, podeszła do wieszaka, włożyła płaszcz i wyszła bocznymi drzwiami do mokrego ogrodu.

Callaghan wszedł do klubu Światło Nocy. Rozejrzał się, położył miękki czarny kapelusz na stoliku z prawej strony drzwi, usiadł na wysokim stołku przy barze i zamówił podwójną whisky z wodą sodową.

Ubrany był w dwurzędowy granatowy garnitur, jasnoniebieską jedwabną koszulę i ciemnoniebieski krawat. Miał ciemną niesforną czuprynę, pociągłą twarz zakończoną spiczastym podbródkiem i ostro zarysowaną linię szczęki, od ucha po czubek brody. Szare oczy otaczała wyraźna siatka zmarszczek mimicznych. W sumie była to twarz silnego, inteligentnego człowieka, twarz, która robi wrażenie na mężczyznach i bywa czasem zbyt atrakcyjna dla kobiet.

Pociągnął whisky i skonstatował, że się nudzi.

Londyn obfituje w takie lokale jak Światło Nocy. W czasie wojny wyrastały jak grzyby po deszczu, dając chwilę odpoczynku od bomb i rakiet. W wąskich salonach Światła Nocy żołnierze w mundurach wszystkich wojsk alianckich spotykali się na wspólne popijawy. Teraz przychodziło zaledwie paru stałych bywalców. Żywot takich knajp do złudzenia przypominał życie. Na początku fanfary, potem szczyt powodzenia i na koniec kłapa.

Do baru weszło kilka osób. Lokal zaczynał się zapępniać. Jakaś kobieta, rozsiewając mocny zapach perfum, usadowiła się na stołku obok Callaghana. Callaghan przesunął się, by zrobić dla niej miejsce, i zamówił następną whisky.

W małej kabinie telefonicznej za ścianą rozległ się dzwonek telefonu. O'Shaughnessy, barman w białej marynarce, poszedł odebrać. Po chwili wrócił.

- Telefon do pana, panie Callaghan. Przyjmie pan?

- Nie wiesz, kto dzwoni, Patrick?

- Nie, gość się nie przedstawił. Powiedział tylko, że to pilne.

- No dobra. - Callaghan wstał i chwiejnym krokiem ruszył do kabiny. Otworzył drzwi i opierając się o ścianę spojrzął na słuchawkę zwisającą swobodnie na sznurze.

Nagle słuchawka zaczęła rosnać w oczach, stawała się coraz to większa i większa, a kabina zawirowała. W głębi czaszki poczuł uderzenie bólu. Zakręciło mu się w głowie. Wszystko widział jak przez mgłę.

Odepchnął się od ściany i odbił od telefonu. Siła odrzutu pchnęła go z powrotem na ścianę, a następnie na drzwi męskiej toalety; wleciał tam głową do przodu, uderzając ramieniem o krawędź umywalki. Z zamkniętymi oczami wylądował jak długi na podłodze. Drzwi zamknęły się za nim powoli.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą twarz niczym księżyc w pełni. O'Shaughnessy pochylał się nad nim.

- No, panie Callaghan, proszę to wypić. Od razu poczuje się pan lepiej. Co się stało?

Barman chwycił go pod pachy i oparł o ścianę. Callaghan lknęła nieco mikstury. Smakowała obrzydliwie. Przeciągnął językiem po wysuszonych wargach.

- Długo tu jestem? - zapytał powoli.

- Jakies dwadzieścia pięć minut. Pamięta pan, wyszedł pan do telefonu. I dopiero teraz ktoś tu zajrzał i pana znalazł. Co się stało?

- Sam powinienes wiedzieć. To chyba przez tę ostatnią whisky, którą mi podałeś. Skąd ją wziąłeś? Pędzisz ją w wannie na górze?

- Miej pan serce, panie Callaghan. Tutaj takie numery nie przechodzą. Ten bimber był dobry. Wszyscy pili z tej samej butelki.

- Diabła tam dobry - powiedział Callaghan i wstał.

Barman wziął szczotkę i zaczął mu czyścić ubranie.

- To do pana zupełnie niepodobne, żeby się tak zaprawić. Może zaszкодziło panu coś, co pan zjadł?

- Może. Dzięki, O'Shaughnessy.

Kiedy barman wyszedł, Callaghan ochlapał twarz zimną wodą, wziął szklanke i napił się kranówki. Zapalił papierosa

i wrócił do baru. Dwaj mężczyźni omawiali w kącie wyniki wyścigów. Poza nimi nie było nikogo.

- Jeszcze jedną podwójną whisky, Patrick. Ale nie z tej samej butelki. Weź nową.

O'Shaughnessy uśmiechnął się pełną gębą i sięgnął po nową butelkę. Callaghan wypił, zapalił papierosa, wzięł kapelusz i wyszedł na ulicę. Ruszył wolno w kierunku Berkeley Square, zaciągając się głęboko i rozmyślając.

Była dziewiąta trzydzieści, gdy stanął pod blokiem mieszkalnym, w którym znajdowało się jego biuro, a nad nim mieszkanie. Życząc dobrej nocy Wilkiemu, portierowi na nocnej zmianie, wsiadł do windy i pojechał na górę. Wysiadł na piętrze, gdzie mieściło się jego biuro, i po paru krokach zobaczył, że w jego gabinecie pali się światło.

Wszedł do środka. Nikolls - jego prawa ręka zaimportowana z Kanady - siedział w fotelu z nogami na biurku i czytał książkę pod tytułem *Jak zostać panem i władcą kobiet*. Na podłodze, obok fotela, stała pusta butelka po whisky.

- Cześć Windy. Dzwonił ktoś?

- Ano, wieczorem. Niejaki pułkownik Gervase Stenhurst z Dark Spinney w Hangover, w pobliżu jakiejś dziury zwanej Alfriston. Facet potrzebował cię na gwałt, więc poradziłem mu, żeby cię szukał w klubie.

- Mroczny Zagajnik w Kacu... Ten to wiedział, gdzie zamieszkać - mruknął Callaghan i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- No nie? - przytaknął Nikolls. - Pachnie mi to truposzami, jak nic. To co? Pojedziesz tam i spotkasz się z facetem?

Callaghan wstał i zapalił papierosa.

- Nie, nie chcę tej sprawy.

Wyszedł, zatrzaszkując za sobą drzwi.

Nikolls włożył kapelusz. Wygrzebał z kieszeni paczkę Lucky Strike'ów i zapalił. Pogasił światła w biurze i wolnym krokiem ruszył do windy.

- Ech... do diabła! - zaklął pod nosem.

Damy mają pierwszeństwo

O trzeciej po południu Callaghan połączył się z biurem przez telefon wewnętrzny. Effie Thompson podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry, panie Callaghan. Mam nadzieję, że się pan wyspał.

- I to jak! Dzieje się coś, Effie?

- Nic. W poczcie też nie ma nic ciekawego.

- Jakieś ważne telefony?

- Nie.

- Zejdę za pół godziny, to podpiszę listy. Możliwe, że wyjadę na wieś. Zadzwoń do garażu, niech przyślą samochód koło czwartej.

- Dobrze. - Przez chwilę panowało milczenie, po czym Effie spytała: - Nie chce pan przypadkiem, żebym wysłała do kogoś telegram albo zadzwoniła?

- Na przykład do kogo?

- Na przykład do pani Denys - rzuciła Effie od niechcienia.

- Chyba czytasz w moich myślach, Effie. Dzięki za przypomnienie. Dobrze, wyślij telegram na numer Waverley 78945. Przekaż pani Denys, że może się mnie spodziewać na kolacji.

- Rozumiem - powiedziała Effie i odłożyła słuchawkę. - Cholerna pani Denys! - dodała półgłosem.

Wybrała numer przyjmowania telegramów; odczekała chwilę, dostała połączenie i zaczęła dyktować treść depechy. Właśnie skończyła i zamierzała odłożyć słuchawkę, gdy

otworzyły się drzwi biura i w progu stała Viola Alardyse. Na jej widok Effie zabrakło tchu.

- Dzień dobry, czym mogę pani służyć? - zapytała.

- Dzień dobry. Nazywam się Alardyse. Chciałabym rozmawiać z panem Callaghanem. To sprawa niecierpiąca zwłoki, dlatego muszę się z nim widzieć natychmiast.

Effie uśmiechnęła się lekko.

- Rozumiem, ale z panem Callaghanem trudno się spotkać natychmiast. Taki już jest. Poza tym nie ma go teraz w biurze. Może zechciałaby pani zostawić dla niego wiadomość? Pan Callaghan rzadko przyjmuje klientów bez zapowiedzi.

- Nie jestem klientką. To w interesie pana Callaghana leży, żeby mnie przyjął. Może mi pani powie, kiedy mogę go zastać. Naprawdę nie chciałabym go stawiać w kłopotliwej sytuacji, zanim ze mną nie porozmawia.

A więc to tak? - pomyślała Effie. - W co on się znowu wpakował? Ona jest piękna i na pewno potrafi być twarda. Chociaż... one często tak zaczynają. Przypomniała sobie inne kobiety...

- Proszę, może pani usiądzie - zaproponowała. - Spróbuję skontaktować się z panem Callaghanem.

Panna Alardyse podziękowała i usiadła. Skrzyżowała nogi. Effie Thompson ze złością zauważyła, że nogi, kostki, buty i pończochy tej Alardyse są piękne.

- Pani wybacz - powiedziała i wyszła do gabinetu Callaghana zamykając za sobą drzwi. Podniosła słuchawkę telefonu stojącego na biurku i zadzwoniła do portiera. - Wilkie, połącz mnie z mieszkaniem pana Callaghana. Byle szybko.

- Już się robi - odparł Wilkie.

Callaghan odebrał niemal natychmiast.

- Nareszcie coś się dzieje - oznajmiła Effie. - Przyszła do pana pewna dama. Zdaje się, że wie, czego chce, jeśli mnie pan rozumie. Twierdzi, że nie chciałaby pana stawiać w kłopotliwej sytuacji, zanim z panem nie porozmawia. Coś w tym rodzaju.

- Nie, coś takiego... i co jeszcze?

- Jest piękna, po prostu śliczna... rozumie pan, co mam na myśli. Ma arystokratyczny wygląd i jest nie w humorze. Odnoszę wrażenie, że nie czuje do pana szczególnej sympatii. Sztruksowy kostium koloru wiśni od najlepszego krawca, futro z bobrów i toczek, na nogach prawdziwe jedwabne pończochy i buty robione na zamówienie. Nosi broszę wysadzaną diamentami i rubinami, wartą majątek. No i rękawiczki samochodowe. Myślę, że przyjechała samochodem.

- No, no... a znamy jej nazwisko?

- Owszem, panna Alardyse.

Zapanowała cisza. Po chwili Callaghan stwierdził:

- Wszystko to brzmi zbyt pięknie, żeby było prawdziwe.

Powiedz jej, żeby się umówiła na spotkanie.

Znowu zapadła cisza.

- Wolałabym, żeby się pan z nią spotkał, panie Callaghan - powiedziała wreszcie Effie. - Nie przyszła bez powodu. A jest na tyle dobrze wychowana, że może narobić kłopotów.

- A co mnie to obchodzi?

- No, nie wiem - odparła Effie niewinnym głosem. Ale myślałam, że może ją pan zna. Sądzę, że powinien się pan z nią spotkać, bo moim zdaniem jest w pana typie.

- A to co znowu?

Effie wzruszyła ramionami.

- Może pan sobie myśleć, co pan chce, ale ja na pańskim miejscu rzuciłabym na nią okiem. Jeszcze mi pan przyzna, że warto było.

- Dobrze, zejdem za pięć minut. Wprowadź ją do gabinetu.

- Tak jest.

Effie odłożyła słuchawkę i wróciła do sekretariatu.

- Panno Alardyse, rozmawiałam właśnie z panem Callaghanem. Przyjmie panią za pięć minut.

Poprowadziła gościa do gabinetu. Wypchnęła na środek wielki skórzany fotel otworzyła srebrną szkatułkę z papierosami i przysunęła biurową zapalniczkę.

- Proszę zapalić, jeśli ma pani ochotę - powiedziała

wesoło i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Siadając za biurkiem mruknęła do siebie: - Koniec z panią, pani Denys!

Czuła się prawie szczęśliwa.

Viola Alardyse usiadła i zaczęła rozmyślać o prywatnych detektywach. Nie są to ludzie sympatyczni, uznała. To jakieś dziwaczne typy. Wszędzie wtykają nos, dostarczają dowodów w sprawach rozwodowych i często są obiektem kąśliwych uwag ze strony obrońców. Na pewno łatwo dają się zastraszyć. Callaghana wyobrażała sobie jako łysawego grubasa o mięsistej twarzy, z przyklepionym do ust niedopalkiem cygara.

Callaghan otworzył drzwi gabinetu. Spojrzał na nią przelotnie, podszedł do biurka i usiadł. Miał na sobie wełnianą brązową marynarkę i także spodnie, brązową zamszą kamizelkę, jasnobieżową jedwabną koszulę z kołnierzykiem i krawat w kolorze laki. Jego pociągła twarz była świeżo wygolona. Wyglądał rześko i jak na detektywa nieco zbyt pogodnie.

Wziął papierosa ze srebrnej szkatuły na biurku i zapalił. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął się przyglądać gościowi.

Viola odezwała się pierwsza:

- Panie Callaghan... mam mało czasu, dlatego najlepiej będzie, jeśli od razu przejdę do rzeczy.

Callaghan skinął głową.

- Dobry pomysł. Na ogół kobiety, które tu przychodzą, długo nie potrafią wyrzucić tego, co mają na sercu. Cieszę się, że pani jest inna. - Uśmiechnął się do niej życzliwie.

- Wczoraj wieczorem dzwonił do pana pułkownik Stenhurst, który jest jednym z opiekunów mojego majątku. Uznałam, że powinnam z panem porozmawiać, zanim podejmie pan wobec niego jakiegokolwiek zobowiązania.

Callaghan kiwnął głową.

- Słucham.

- Nie wiem dokładnie, co panu powiedział pułkownik, ani o co prosił. Powinien pan jednak wiedzieć, że jestem

zdecydowanie przeciwna temu, żeby przyjmował pan jego zlecenia bez mojej akceptacji.

Callaghan zaciągnął się głęboko, z miną człowieka, któremu sprawia to ogromną przyjemność. Wydał wargi, powolutku wypuścił dwa kółka z dymu i przyglądał się, jak płyną przez gabinet.

- Czy pani się coś nie pomyliło? - zapytał i znów się do niej uśmiechnął, co ją z jakiegoś powodu zirytowało. - Zaczyna pani od tego, że nie wie, o czym pułkownik Stenhurst ze mną rozmawiał, potem mówi pani, że nie wie, o co mnie prosił, ale że w żadnym wypadku nie wolno mi tego robić. Trochę, tak tylko troszeczkę, przypomina mi pani świętej pamięci Adolfa Hitlera. On też tak gadał i proszę, dokąd go to zaprowadziło.

Viola poruszyła się lekko.

- Czy próbuje mnie pan obrazić?

Callaghan potrząsnął głową.

- Jeśli chcę kogoś obrazić, to go obrażam, a nie próbuję. Zresztą dlaczego miałbym panią obrażać, panno Alardyse? Po prostu staram się wprowadzić do naszej rozmowy nieco sensu. Skoro nie życzy pani sobie, żebym przyjmował zlecenia od pułkownika Stenhursta, może by mi pani powiedziała, czego te zlecenia mają dotyczyć?

- Czy mam rozumieć, że nie rozmawiał pan z pułkownikiem Stenhurstem? I niczego panu nie zlecił?

- Proszę pani, jestem prywatnym detektywem - odparł ze znużeniem. - Powiedzmy, że odbyłem długą rozmowę z pułkownikiem, i załóżmy, że prosił mnie o coś. To przecież i tak nie mógłbym z panią o tym mówić bez jego zgody.

Zapadła cisza. Callaghan zaciągnął się głęboko papierosem.

- Mam pewną propozycję - podjął. - Zawsze uważałem, że prawda to potężna broń, panno Alardyse. Jest dla mnie oczywiste, że między panią a pułkownikiem Stenhurstem powstała jakaś nieprzyjemna sytuacja. Może więc powie mi pani, o co chodzi? To by nam ułatwiło sprawy na dłuższą metę.

Viola uniosła brwi.

- Czyżby? Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie na ten temat, panie Callaghan. Jak już wspomniałam, przyjechałam tu, żeby uchronić pana przed poważnymi kłopotami.

- Najmocniej dziękuję. Obiecuję, że o ile to możliwe, postaram się unikać poważnych kłopotów. Oczywiście, jeżeli obawia się pani pułkownika Stenhursta...

- Co pan ma na myśli? - przerwała mu lodowatym głosem.

- Przecież to jasne, że pani się czegoś obawia - stwierdził Callaghan z przekonaniem. - Pomyślmy logicznie. - Rozparł się wygodnie w fotelu coraz bardziej bawiąc się sytuacją. - Pułkownik Stenhurst - w tej chwili nie wiem jeszcze, co wiąże panią z tym dżentelmenem - najwyraźniej zamierzał do mnie zadzwonić i skorzystać z moich usług. Jeśli tak, nic mi o tym nie wiadomo. Wydaje się logiczne, że wiedząc o jego zamiarach, postanowiła pani tu przyjechać i dopilnować, żebym nie przyjął zlecenia od pułkownika. - Callaghan uśmiechnął się pogodnie. - Wie pani, panno Alardyse, ten pułkownik Stenhurst coraz bardziej mnie intryguje.

Na policzkach Violi wykwitły dwie czerwone plamy. Była zła. Nie odezwała się ani słowem.

- Może powinienem się z nim skontaktować i wysłuchać, co ma mi do powiedzenia - ciągnął Callaghan wesoło. - Nie sądzi pani, że to dobry pomysł? Być może wtedy łatwiej mógłbym zrozumieć pani punkt widzenia.

Viola wstała.

- Panie Callaghan, ta rozmowa zaczyna mnie nużyć. Powiem panu, o czym myślałam, przychodząc tutaj. Wczoraj przy kolacji pułkownik Stenhurst, który jest moim ojczymem, a także - na mocy testamentu matki - jednym z opiekunów mojego majątku, oznajmił mi, że w pewnych okolicznościach gotów jest wynająć prywatnego detektywa, żeby mnie śledził. Nie zamierzam do tego dopuścić. Nie pozwolę, żeby jakiś prywatny detektyw kręcił się koło Dark Spinney, mojej posiadłości. Nie dopuszczę do tego. Nawiasem

mówiąc wierzę, że prawo w tym kraju reguluje tego typu sprawy. Jeśli zacznie mnie pan śledzić na polecenie pułkownika, będę zmuszona oddać sprawę w ręce policji.

Callaghan skinął głową i zdusił papierosa w popielniczce.

- No i powstanie dziwaczna, a nawet prześmieszna sytuacja. Sądząc z nazwy majątku znajduje się zapewne gdzieś na wsi. Jeśli zwróci się pani do lokalnej policji, mogą wyniknąć z tego przeróżne sytuacje. Nie obejdzie się pewnie bez plotek. Proszę sobie wyobrazić - ciągnął rozba-wiony - że ktoś z mojej firmy śledzi pannę Alardyse po okolicznych wzgórzach i dolinach, a za nim z kolei podąża wiejski policjant, prawdopodobnie na rowerze. Nie wygląda to najlepiej, co? Trzeba wymyślić coś lepszego.

- Powiedziałałam wszystko, co miałam do powiedzenia, i liczę, że zrozumiał pan ostrzeżenie.

Detektyw spojrział na nią z udawanym przestraczem, po czym uśmiechnął się dobrodusznie.

- Czuję się ostrzeżony, panno Alardyse. Aż się spociłem ze strachu. To bardzo godziwie z pani strony, że znalazła pani dla mnie czas.

Ruszyła do wyjścia. Otworzył jej drzwi.

- Do widzenia, panno Alardyse.

Zmierzyła go wzrokiem. Pomyślał, że nigdy jeszcze tak piękne oczy nie patrzyły na niego z taką wrogością.

- Do widzenia panu.

Przeszła przez sekretariat, otworzyła drzwi i zniknęła.

Effie Thompson zerknęła na Callaghana kątem oka, ale nie odezwała się. Z uwagą patrzyła przed siebie, na maszynę do pisania.

- Co jest Effie?

- Nic, tylko tak sobie myślę, panie Callaghan... tak się zastanawiam...

- Nad czym?

Effie pozwoliła sobie na leciutki uśmiech.

- Czy nadal wybiera się pan do Waverley?

- Nie, nie pojedę tam. Wyślij do pani Denys drugi telegram. Zawiadom ją, że ważna sprawa zatrzymuje mnie w mieście i że odezwę się, jak tylko będę wolny.

- Dobrze, proszę pana - powiedziała Effie niewinnym głosem.

Callaghan wrócił do swojego biurka.

- Sprowadź mi tu Nikollsa! - zawołał przez otwarte drzwi.

Po chwili zjawił się Nikolls.

- Ale ślicznotka! Wychodzę ci ja zza rogu, a tu ona idzie do windy. O rany, widziałeś, jak ta cizia chodzi? Ona nie chodzi, ona płynie. To klientka?

- Niezupełnie. Na razie nie. Ale kto wie... - Callaghan oparł się wygodnie w fotelu. - Windy, jak to było z tym pułkownikiem Stenhurstem, który dzwonił wczoraj wieczorem? Opowiedz mi wszystko dokładnie.

- Sądząc po głosie, to starszy facet. Był strasznie nabuzowany. Mówił, że ma z tobą pilnie do pogadania. Powiedział: „Muszę się spotkać z panem Callaghanem. Chcę, żeby do mnie przyjechał...” czy coś w tym guście.

- To wszystko?

- Nie. Wspomniał coś o jakimś liście. Powiedział: „Dostałem pewien list...” i urwał.

- A zatem dostał jakiś list... list, który go zaintrygował albo rozgniewał.

- Pomyślałem, że chodzi o jakiś interes i że może cię ta sprawa zainteresuje. Nie wiedziałem, czy wrócisz, czy tu dziś wpadniesz, więc poradziłem mu, żeby zadzwonił do klubu. Dałem mu numer.

- Rozumiem. Dziwne, że dzisiaj nie zadzwonił.

Nikolls wzruszył ramionami.

- Może mu od wczoraj odeszło?

- Połącz się z nim.

- Sie robi.

Nikolls wyszedł do sekretariatu. Callaghan usłyszał, jak dzwoni do informacji po numer.

Odprężył się i rozparł w fotelu. Patrzył w sufit i myślał o Violi Alardyse.

Minęło kilka minut. Wrócił Nikolls.

- Mam numer. Alfriston 76421, ale Effie nie może się dodzwonić. Linia jest uszkodzona.

Callaghan skinął głową i wstał.

- Dobra, zadzwoń do garażu, niech mi natychmiast przyślą samochód. Potem weź atlas drogowy i sprawdź trasę do Hangover. Powinna być bardzo prosta. Na górze mam spakowane rzeczy. Niech mi je ktoś przyniesie. I powiedz Effie, żeby wysłała telegram do pułkownika Stenhursta. Niech go zawiadomi, że będę u niego wieczorem.

- Załatwione. Więc bierzesz tę sprawę?

- Czemu nie? - Callaghan wyszedł do sekretariatu i zwrócił się do Effie: - Weź notatnik i zanotuj nazwisko „Stenhurst”. Dzisiaj jest już za późno, ale jutro z samego rana idź do sądu do działu spraw spadkowych i poszukaj testamentu pani Stenhurst. Nazwisko nie należy do pospolicych, więc nie powinno być kłopotów. Szukaj na przesłaniu ostatnich dwudziestu lat. Spadkobierczynią jest panna Viola Alardyse.

- Dobrze proszę pana.

- Oni tam nie lubią wydawać kopii, więc zrób tak: najpierw poproś o testament pani Stenhurst, a potem o parę innych, i kiedy będą ich szukać, przepis� ten pierwszy. Jasne?

- Jasne.

- Powinnaś to załatwić najpóźniej do dziesiątej rano. Potem wracaj do biura, przepis� stenogram na maszynie i daj go Nikollswi. Niech wynajmie samochód i mi go przywiezie. A teraz daj mi przewodnik hotelowy.

Effie wstała i wzięła przewodnik z półki. Callaghan zaczął go wertować. W końcu polecił:

- Powiedz Nikollswi, że ma się ze mną skontaktować o czwartej po południu w Alfriston, w hotelu Pod Dwoma Mnichami.

- Tak jest, panie Callaghan - odparła Effie, po czym dodała z niewinną miną: - Który telegram mam Wysłać najpierw, do pułkownika czy do pani Denys?

- Do pani Denys, oczywiście. Czyż nie mówili ci, że „damy mają pierwszeństwo”?

Wrócił do gabinetu.

O piątej Callaghan jechał swym sportowym kabrioletem Berkeley Street. Myślał o pułkowniku Stenhurście. Komuś widać bardzo zależało na tym, żeby pułkownik nie skontaktował się z nim wczoraj wieczorem, a dziś telefon jest uszkodzony, co niby jest bez znaczenia, bo zawsze można skorzystać z innego aparatu. Ale skoro to taka pilna sprawa, to dlaczego pułkownik tego nie zrobił? Bo to wiadomo? Bywa, że w takich małych dziurach telefonistki podsłuchują. Może pułkownik wolał rozmawiać z własnego telefonu? Callaghan wzruszył ramionami.

Dziesięć po piątej zaparkował u wylotu alei prowadzącej do Światła Nocy. Po chwili wszedł do klubu. Jedyne klient siedział w samym kącie i na wpół drzemał.

- Dzień dobry - powitał go O'Shaughnessy. - Wczesna godzina jak na pana.

Callaghan skinął głową.

- Chyba nie miałem wczoraj racji z tą whisky.

Barman uśmiechnął się.

- Zaryzykuje pan dzisiaj, panie Callaghan?

- Zaryzykuję.

O'Shaughnessy zmieszał trunek z wodą sodową. Callaghan podniósł szklankę do ust i wypił jednym haustem.

- Całkiem dobra whisky - przyznał. Wyjął portfel, wyciągnął dwa banknoty jednofuntowe i pchnął je po kontuarze w stronę barmana. - Zatrzymaj resztę i powiedz mi jedną rzecz. Wczoraj, tuż przed tym telefonem, usiadła koło mnie jakaś kobieta. Nie zwróciłem na nią uwagi, ale pamiętam, że była mocno uperfumowana. Nie wiesz czasem, kto to mógł być?

- Nic prostsze, panie Callaghan. To panna La Valliere.

- To jej nazwisko?

- Tak się teraz nazywa. Wesoła panienka - dorzucił barman z uśmiechem.

- Gdzie ona mieszka?

- Niedaleko stąd, na Mayfield Street. Zaraz panu znajdę numer. - Przez chwilę grzebał pod barem, w końcu wyjął rejestr członków klubu i zaczął go wertować. - Jest. Mayfield Street 14, telefon Regent 55443. Połączyć pana?

- Nie, dziękuję.

Callaghan wrócił do samochodu i pojechał na Mayfield Street 14. Był to zwyczajny blok mieszkalny na bocznej ulicy. Na klatce schodowej sprawdził listę lokatorów. Panna La Valliere mieszkała na parterze. Przeszedł po kilku schodkach i znalazł mieszkanie numer 14. Położył palec na przycisku dzwonka i nie odrywał go, dopóki drzwi się nie otworzyły.

Panna La Valliere stanęła w progu, wyraźnie zmęczona. Widać było, że makijaż robiła w pośpiechu. Miała na sobie długie czarne kimono w fantastyczne srebrne smoki i czerwone krepdeszynowe pantofle na bardzo wysokich obcasach. Była bez pończoch.

Nie uszło uwagi Callaghana, że miała drobne, kształtne stopy.

- Co się dzieje, do diabła? - zapytała. - Pali się czy co?

- Niezupełnie. Po prostu przyciskałem dzwonek. Spiesz się.

Panna La Valliere przyglądała mu się z uśmiechem.

- Patrzcie państwo, spieszy mu się, więc trzyma palec na dzwonku. Wiesz, co myślę o takich jak ty?

- Nawet mi nie mów. Wejdz do środka, mam z tobą do pogadania.

Uniósł dłoń widząc, że dziewczyna chce się odezwać.

- Rób, co mówię, jeśli nie chcesz napytać sobie biedy.

- O, do licha! O co chodzi? Wejdz.

Gdy znaleźli się w małym saloniku, odwróciła się do niego.

- No więc, co jest grane? Jak ci się tak spieszy, to gadaj i spływaj. Mam robotę.

- To nie potrwa długo. Po prostu musisz mi coś powiedzieć. Wczoraj wieczorem usiadłaś koło mnie w klubie Światło Nocy, pamiętasz?

- A czemu miałabym pamiętać? - zapytała cierpko.
- Nie wiem czemu, ale przypomnisz sobie. Był do mnie telefon. Spodziewałaś się tego. Wiedziałaś, że ktoś zadzwoni do mnie do klubu i raz dwa się tam zjawiłaś. Usiadłaś koło mnie. Prawdę mówiąc, zdążyłaś na ostatni gwizdek. Kiedy O'Shaughnessy powiedział, że ktoś do mnie dzwoni, wyspałaś mi coś szybko do whisky. I niewinny trunek zamienił się w „głupiego Jasia”. - Callaghan uśmiechnął się na samo wspomnienie. - Niezła mikstura. Ledwo doszedłem do kabiny telefonicznej, urwał mi się film. I tym sposobem nie odebrałem telefonu. No, teraz twoja kolej. Mów.
- O czym ty gadasz, do cholery?
- Dobra. Posłuchaj no. Nazywam się Callaghan i jestem prywatnym detektywem. Mam paru znajomków w policji, więc albo zaczniesz gadać, albo odstawię cię na Sackville Street.
- Gadaj zdrow! - Ale w jej oczach pojawił się strach. Callaghan wzruszył ramionami.
- W porządku, zobaczymy, komu moje gadanie wyjdzie na zdrowie, a komu bokiem - rzucił od niechcienia. - Skoro nie chcesz mówić, jedziemy na Sackville Street. - Uśmiechnął się. - Może już cię tam znają, niekoniecznie jako pannę La Valliere. To jak?
- Wzruszyła ramionami.
- Co dziewczyna ma zrobić w takiej sytuacji? - poskarżyła się żałośnie. - Frajerka ze mnie. Zawsze muszę w coś wdepnąć.
- Ile za to dostałaś?
- Piątaś - odparła ponuro.
- Jeśli będziesz rozsądna i zaczniesz mówić, dostaniesz dychę. Kto ci to zlecił?
- Zastanawiała się przez chwilę.
- Właściwie to już nie ma znaczenia. Pewien facet, którego kiedyś znałam. Pracował ze mną w jednej spelunie jako wykidajło. Niezły cwaniak. Nic nie wiem, nie mam pojęcia, o co tu chodzi, byłam kompletnie splukana i... no, rozumiesz, jak to jest.

Callaghan otworzył portfel i wyjął dwa banknoty pięciofuntowe.

- Jak się nazywa twój kumpel i gdzie mieszka?

- Grays Mansions 24, w bok od Macclesfield Street. Nazywa się Grellin. Uważaj na niego. Łatwo się wkurza, a to kawał byka. Słuchaj... możesz mnie z tego wyłączyć?

Podał jej pieniądze.

- Spokojna głowa.

O wpół do szóstej Callaghan dzwonił do drzwi na drugim piętrze Grays Mansions.

Budynek nie należał do najzdrowszych miejsc na świecie. Klatka schodowa była zakurzona, ściany brudne, korytarze niezamiatane. Nad wszystkim zaś dominowała przynębiająca pustka.

- Włącz, otwarte! - zawołał ktoś zza drzwi.

Callaghan wszedł do mieszkania. Znalazł się w pokoju, który pełnił rolę sypialni, a po przesunięciu łóżka w kąt i przykryciu go narzutą, również salonu. W tej chwili była to jeszcze sypialnia. Na podłodze wałały się części garderoby. Odrażający typ z czarnymi włosami i nieogoloną szczecinę na twarzy spojrzął z łóżka na Callaghana.

- A pan tu czego? Myślałem, że to Struby.

- Pomyłka, nazywam się Callaghan. Ty jesteś Grellin?

- Tak, a bo co?

- A bo to. Zdaje się, że wczoraj wieczorem ktoś do ciebie zadzwonił i powiedział, że wybieram się do Światła Nocy. Kazał ci się mną zająć tak, żebym nie odebrał telefonu, gdyby do mnie dzwoniłi. Ktoś widocznie chciał zyskać na czasie. Wiedziałeś, że twoja przyjaciółka, La Valliere, jest członkiem klubu, więc załatwiłeś to. No dobra, kto ci to nadał i dlaczego... jeżeli wiesz dlaczego.

Grellin spojrzął na Callaghana z bezgraniczną pogardą.

- Spadaj.

Z dzikim wyrazem twarzy uniósł się na łokciu.

Callaghan szybko przemierzył pokój. Lewą ręką chwycił za kołnierz brudnej piżamy Grellina, uniósł prawą i łokciem wyrzwał leżącego w twarz. Rozległ się krótki dźwięk

przypominający uderzenie młotka o drewno. Głowa Grellina z głuchym odgłosem opadła na poduszkę.

- Gadaj, Grellin, bo dam ci taki wycisk, że cię rodzona matka nie pozna. Nie podobasz mi się.

Mężczyzna na łóżku sięgnął do nocnego stolika po brudną chusteczkę. Wylał krwawiące usta i pomacał obluźwany ząb.

- Coś mi tutaj nie gra - warknął. - Nie mówili, że wyjdą z tego takie numery.

- Nigdy nie mówią - rzekł Callaghan ponuro. - Kto do ciebie dzwonił? Gadaj szybko, bo jak cię wezmę w obroty...

- Tak...? - Grellin rzucił mięsem, wyskoczył z łóżka niczym wystrzelony z armaty i wymierzył cios, który niewątpliwie załatwiłby detektywa na cacy, gdyby dotarł do celu. Ale nie dotarł, bo Callaghan uskoczył w bok, a kiedy Grellin ponowił atak, gwałtownie schylił głowę przed szarżującą ręką, zrobił krok w przód, wyprowadził krótki cios i ulokował pięść w okolicy pępka przeciwnika. Rozległ się śmieszny dźwięk - to Grellin łapał powietrze. Dźwięk powtórzył się, gdy Callaghan zaprawił go lewym sierpowym w szczękę i prawym prostym w żołądek. Teraz już Grellin jęczał. Ostatnim prostym Callaghan pozbawił go obluźwanego zęba i naruszył mu dwa kolejne.

Grellin opadł na łóżko.

- Mam dość. Coś mi się widzi, że to nie mój dzień. Krew by to załała! - Złapał chusteczkę i udzielił sobie pierwszej pomocy.

- No i załała. Śpiewaj, Grellin.

Wykidajło westchnął i zaklął pod nosem.

- Wiem tyle, że zadzwonił do mnie kumpel. Jest głównym kelnerem w klubie Mardene, gdzieś pod Brighton. Obiecał mi dwadzieścia funtów, jeśli pan nie odbierze telefonu. Więc mu to załatwiłem. Pewnie pan wie, w jaki sposób.

- To nieistotne. Po co to było? Co komu daje utrudnienie jednej rozmowy telefonicznej? Skąd twój kumpel wiedział, że nie będzie następnych telefonów?

Grellin wzruszył ramionami i znów otarł usta.

- Tego nie wiem.

Callaghan zapalił papierosa.

- Jak się nazywa ten twój kumpel?

- Charlie Maysin. To niezły chłopak. Pomógł mi swego czasu. A ja lubię spłacać długi.

- Piękna cecha. Coś ci poradzę, Grellin. Pilnuj własnego nosa. Nie pakuj się w sprawy, które cię nie dotyczą. Jeśli mnie posłuchasz, masz szansę przetrwać w jednym kawałku.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Pozostawszy sam Grellin położył głowę na poduszce i zamyślił się nad niesprawiedliwością losu.

Callaghan jechał wolno w kierunku South Kensington. Siedział za kierownicą odprężony, ciesząc się chłodnym wiatrem, który smagał mu twarz. Jego zainteresowanie pułkownikiem Stenhurstem, Viola Alardyse i resztą mieszkańców Dark Spinney rosło z każdą chwilą. Należało się spodziewać dalszego rozwoju wypadków. Ktoś się nieźle bawi. I niewykluczone, że zacznie się bawić jeszcze lepiej. Ciekawe, kto będzie pierwszą ofiarą?

Woddali zegar kościelny wybił ósmą. Jego uderzenia przyjemnie brzmiały w nieruchomym wieczornym powietrzu.

Callaghan zaparkował na skraju prywatnej drogi graniczącej z wysokim murem otaczającym posiadłość Dark Spinney. Zostawił światła postojowe, wysiadł i ruszył w kierunku dworu.

Myślał o pułkowniku. Był pewien, że w ciągu najbliższej godziny nastąpi jakiś zwrot w sytuacji. Było też dlań oczywiste, że Viola Alardyse nie darzy sympatią opiekuna swego majątku, a więc pułkownik prawdopodobnie odwzajemnia jej uczucia. To całkiem naturalne. Gdy interesy spadkobierców i opiekunów majątku są sprzeczne, na scenę często wkraczają prywatni detektywi.

Po drodze podziwiał krzewy rododendronów rosnące wzdłuż podjazdu; wyobrażał sobie, jak pięknie wyglądają,

kiedy są w rozkwicie. Pokonał kilka schodków i zadzwonił do drzwi.

Minęło kilka minut. Wreszcie jedno skrzydło drzwi otworzyło się i w progu stanął Sallins. Callaghan z przyjemnością zwrócił uwagę na nieskazitelnie wyczyszczony wieczorowy strój lokaja, starannie zawiązany krawat z satyny, pociągłą twarz i rzadkie siwe włosy. Bez wątpienia stary domownik, pomyślał.

- Nazywam się Callaghan, z Agencji Detektywistycznej Callaghana. Chciałbym się widzieć z pułkownikiem Sten-hurstem.

- Niestety, pułkownika nie ma.

- A kiedy wróci?

Sallins wyjął z kieszeni kamizelki duży złoty zegarek.

- Właśnie minęła ósma. Kolacja jest zwykle o dziewiątej. Pułkownik wróci zapewne wcześniej, żeby zdążył się przebrać. Czy zechce pan poczekać, czy przyjdzie pan jeszcze raz?

- Przyjdę jeszcze raz.

Właśnie zamierzał odejść, kiedy za lokajem stanęła jakaś postać. Była to panna Wymering.

- O co chodzi, Sallins?

- To pan Callaghan z Agencji Detektywistycznej Callaghana. Chciałby się widzieć z pułkownikiem, proszę pani. Powiedziałem, że nie wróci przed wpół do dziewiątej.

- Najprawdopodobniej - potwierdziła panna Wymering. - Proszę wejść, panie Callaghan. Nie sądzę, żeby mój szwagier kazał na siebie długo czekać. A tymczasem chętnie bym z panem porozmawiała. Nazywam się Wymering.

- Z przyjemnością - odparł detektyw. Minął Sallinsa i wszedł do holu. Panna Wymering poprowadziła go najpierw prosto, długim korytarzem, potem skręcili w lewo i krótkim korytarzykiem dotarli do pokoju wyłożonego dębowa boazerią.

- Panie Callaghan, cieszę się, że mam okazję porozmawiać z panem, zanim przyjdzie pułkownik. Proszę usiąść. Zapali pan? Przynieść papierosy?

- Dziękuję, proszę sobie nie robić kłopotu. Mam własne. - Wyjął paczkę papierosów i zapalił. - A więc proszę mi wszystko opowiedzieć. - Uśmiechnął się. - Odnoszę wrażenie, że czymś się pani zamartwia, mam rację? Na pani miejscu bym się tak nie przejmował.

Przyjrzała mu się badawczo i doszła do wniosku, że jej się podoba. Miał miły uśmiech i wyglądał na kogoś, komu można zaufać; taką przynajmniej miała nadzieję.

- Panie Callaghan, będę się streszczała, bo szwagier może wrócić lada chwila. A on z byle powodu wpada w zły humor. Swego czasu służył w Armii Indyjskiej, rozumie pan. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Ludziom, którzy służyli w Indiach, po pięćdziesiątce na ogół ciągle coś leży na wątrobie. Nie chcę, żeby robił z igły widły, żeby doprowadził do przykrew sytuacji, a potem tego żałował.

- To rzeczywiście nie byłoby najszcześniejsze. Może pani liczyć na moją dyskrecję. Nawiasem mówiąc, dyskrecja to podstawowe narzędzie pracy prywatnych detektywów.

- Miło to słyszeć. Otóż sprawa wygląda następująco: moja siostra, której pułkownik Stenhurst był drugim mężem, urodziła trzy córki - Violę, Corinne i Patrycję. Umierając, zostawiła raczej osobliwy testament: no, może i nie taki osobliwy, bo wiedziała doskonale, o co jej chodzi. Ale testament ten postawił pułkownika w nieco szczególnej sytuacji. Otóż, zgodnie z umową powierniczą, majątkiem opiekują się trzy osoby - pułkownik, ja i pewien prawnik. Spadkobierczynią i dożywotnią właścicielką majątku jest Viola. Ostatnio pułkownik dowiedział się, nie wiadomo skąd, że ona i Corinne utrzymują znajomość z jakąś podejrzaną osobą albo osobami z Brighton. Naturalnie, to mu się nie podoba. Wczoraj przy kolacji rozmawiał na ten temat z dziewczętami. Niestety, doszło do scysji.

- Zapewne nie były zachwycone?

- Otóż to, wcale nie były zachwycone. To zresztą całkiem zrozumiałe. Viola dobiega trzydziestki, a Corinne ma

dwadzieścia osiem lat. Czasy się zmieniły i dziewczęta nie są już takie, jak za młodych lat pułkownika. To oczywiste, że czują się dotknięte niczym nieusprawiedliwionym wtrącaniem się w ich sprawy.

- Doskonale rozumiem. Nie spodobało im się to, przypuszczalnie wyraziły swoje zdanie i wybuchła kłótnia, tak?

Panna Wymering przytaknęła.

- Ostatnio było kilka kłótni. Nie lubię tego. W dodatku sytuację pogarsza fakt, że pułkownik ma tylko swoją rentę oraz dwieście pięćdziesiąt funtów zapisanych mu przez siostrę w testamencie. Zważywszy na wysokie podatki, to raczej niewiele. Viola przyznała mu wprawdzie tysiąc funtów rocznie, ale to czyni sytuację tym trudniejszą.

- Naturalnie. Innymi słowy, jeśli panna Viola się zirytuje, może cofnąć pułkownikowi te tysiąc funtów, tak?

- Właśnie.

- Czy zagroziła, że tak zrobi?

- Nie.

Callaghan strząsnął popiół z papierosa.

- Zakładam, że Patrycja nie uczestniczy w tym konflikcie?

- Właściwie nie. Ona ma zaledwie siedemnaście lat, ale jak na tak młodą dziewczynę jest dziwną osobką. Widzi pan, ma skłonność do dramatyzowania. Ogląda mnóstwo filmów i uwielbia dramatyczne sceny.

Callaghan uśmiechnął się.

- Chce pani powiedzieć, że lubi scysje? Kłótnie rodzinne także?

- Chyba tak... tak sądzę. Wie pan, ona sobie wyobraża różne sceny, a siebie w roli głównej. I tak naprawdę, wszystko to wcale jej nie obchodzi.

- A Viola i Corinne?

- Viola to wspaniała dziewczyna. Nie będę zaprzeczać, że jest moją ulubienicą. Wszyscy ją lubią. Może jest tylko trochę zbyt spokojna i trochę dziwna. Czasami wydaje mi się, że czymś się gryzie. Ale tłumaczę to sobie, że pewnie

taki już ma temperament. Zupełnie jakby nie miała ochoty na takie życie, jakie prowadzą zazwyczaj dziewczęta w jej wieku.

- Rozumiem. A Corinne?

- Corinne to całkiem inny typ kobiety. Jeśli chce, potrafi być bardzo twarda. Wiele osób uważa, że jest... to dziwne słowo - panna Wymering zawahała się - latawicą. Ale ja sądzę, że to normalne. Chyba żadna z dziewcząt nie bawiła się w czasie wojny, a Corinne pracowała wtedy ciężko w szpitalu wojennym w pobliżu Hurstmonceaux. Myślę, że podobnie jak inne młode kobiety, stara się po prostu zapomnieć o przeszłości.

- Chyba rozumiem. A jeśli chodzi o Violę, jest spokojna i nie interesują jej sprawy, które powinny ją interesować, z wyjątkiem tego towarzystwa z Brighton, co - jak się wydaje - dotyczy również Corinne. Domyślam się, że nic pani na ten temat nie wiadomo, prawda?

- Nie. Pułkownik nic mi o tym nie mówił, choć wydaje mi się, że wie coś na ten temat.

- Rozumiem. Wie pani, panno Wymering, jest w tej sprawie coś, co mnie intryguje. Otóż zdaje się, że pułkownik dzwonił do mnie wczoraj późnym wieczorem. Rozmawiał z moim asystentem. Twierdził, że natychmiast musi się ze mną spotkać, że chce, żebym przyjechał do niego jak najszybciej. Wspomniał coś o jakimś liście. Mój asystent podał mu numer telefonu, pod którym mógł mnie zastać nieco później. I rzeczywiście, ktoś do mnie dzwonił - domyślam się, że pułkownik - ale ja, niestety, nie mogłem odebrać.

- Sądzę, że skoro nie udało mu się z panem porozmawiać od razu, postanowił odczekać.

- Wydaje mi się, że tak powinien zrobić. Z drugiej strony, jeżeli sprawa jest aż tak pilna, można było się spodziewać, że dzisiaj zadzwoni. A jednak nie zadzwonił.

- Nie? Ależ oczywiście, łatwo to wytłumaczyć. Mieliśmy kłopot z telefonem. Dopiero po południu ktoś go przyszedł naprawić. Było jakieś uszkodzenie czy coś takiego... przerwana linia.

- Czego pani właściwie ode mnie oczekuje, panno Wymering?

- Przypuszczam, że zrobi pan to, o co poprosi pana pułkownik. Nie wiem tylko, czy Viola to zaakceptuje. Widzi pan, pułkownik wspomniał, że każe śledzić dziewczęta, co bardzo je dotknęło. Myślałam, że gdy panu wyjaśnię sytuację, nie potraktuje pan wszystkiego, co on powie, tak poważnie. Szwagier ma skłonność do przesadnego krytykancstwa. Nie sądzę, żeby którakolwiek z dziewcząt cieszyła się w tej chwili jego sympatią. Nie proszę, żeby w ogóle nie przejmował się pan tym, co pan usłyszy, proszę jedynie, żeby nie traktował go pan nazbyt serio.

Callaghan uśmiechnął się do niej. Podobała mu się.

- Bardzo dziękuję, panno Wymering. Myślę, że dobrze by było, gdybym po spotkaniu z pułkownikiem znów z panią porozmawiał.

Uśmiechnęła się. Teraz już była pewna, że może mu ufać.

- Tak, to chyba dobry pomysł. Ale nie powinniśmy się tutaj spotykać. Pułkownik bardzo by się gniewał, gdyby się dowiedział, że rozmawiam z panem za jego plecami.

- To spotkajmy się gdzie indziej. Zatrzymałem się w hotelu Pod Dwoma Mnichami w Alfriston. Może zajrzy pani do mnie, jak już porozmawiam z pułkownikiem, to wszystko omówimy.

- Z największą przyjemnością.

Callaghan spojrział na zegarek.

- Jest kwadrans po ósmej. Najlepiej będzie, jeśli zadzwonię do pułkownika po kolacji, powiedzmy o dziewiątej trzydzięci. Proszę mu powiedzieć, że jestem w Alfriston, i podsunąć mu myśl, żeby mnie zaprosił.

- Doskonały pomysł. Bardzo dziękuję, panie Callaghan.

- Wyciągnęła do niego rękę. - Jestem pewna, że wszystko dobrze się skończy.

Callaghan uściśnął jej dłoń i zauważył, że jej ręka drży. Ciekawe dlaczego, pomyślał. Czyżby była nerwowa?

- Zostawił pan samochód na podjeździe?

Pokręcił głową.

- Nie, zaparkowałem kilkadziesiąt kroków dalej, na początku tej wąskiej prywatnej drogi, która graniczy z murem otaczającym posiadłość.

- Jeśli nie chce pan się natknąć na pułkownika, proszę się udać z holu bocznym korytarzykiem do drzwi, które wychodzą na ogród. Dalej alejka zaprowadzi pana przez trawnik do zielonej furtki w murze. Wyjdzie pan parę kroków od samochodu.

Callaghan podziękował, wyszedł do holu, wziął z wieszaka kapelusz i przy okazji spojrzął na staromodny zegar - było dwadzieścia po ósmej. Bocznym korytarzykiem dotarł do drzwi od ogrodu. W bladym świetle księżycy ujrzał długą, dobrze utrzymaną alejkę biegnącą przez trawnik, obok ogrodu kwiatowego. Noc była piękna - chłodna, ale przyjemna. Powietrze smakowało wspaniale. Idąc alejką, rozmyślał o panie Wymering. Okazuje się, że życie rodzinne nawet na wsi nie jest takie łatwe, jak się niektórym wydaje. Doszedł do furtki w murze. Dotknął klamki. Nagle znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Za sobą usłyszał kroki. Obejrzał się przez ramię. Alejką z prawej strony nadbiegał Salins. Co krok się potykał.

- Co się stało?

Lokaj stanął i wlepił wzrok w Callaghana. Jego usta drżały spazmatycznie, ale nie wydobywały się z nich żadne słowa, jedynie nieartykułowane dźwięki, co sprawiało, że wyglądał niemal groteskowo.

- Spokojnie - odezwał się Callaghan przyjaźnie. - Cokolwiek się stało, mogło być gorzej.

Lokaj odzyskał głos.

- Kiedy poszedł pan z panną Wymering - wysapał bez tchu - zauważyłem, że kapelusz pułkownika wisi na wieszaku w holu. Pułkownik zawsze nosi ten sam kapelusz - brązowy, z miękkiego filcu. Zacząłem się zastanawiać, dokąd mógł pójść. Pomyślałem, że może jest gdzieś na terenie posiadłości, więc wyszedłem, żeby go zawiadomić o pańskim przyjeździe. Tam jest domek letni.

- Wskazał ręką w kierunku, skąd przyszedł. - Nazywamy go pagoda. Zajrzałem tam właściwie tylko z przyzwyczajenia. Pułkownik leżał w środku. On nie żyje, proszę pana.

- A jak umarł?

- Myślę, że się zastrzelił. Obok niego leży rewolwer. - Sallins znów zaczął dygotać. - Okropny widok.

- Jak zawsze w takich wypadkach. Jak pan się nazywa?

- Sallins, proszę pana. Służę tu od małego. Mój Boże, nigdy się nie spodziewałem, że zobaczę coś podobnego!

- Wyobrażam sobie. Niech pan tu chwilę postoi i odpocznie. Kiedy poczuje się pan lepiej, proszę wracać i zawiadomić policję. Gdzie tu jest posterunek?

- Najbliższy jest w Alfriston.

- Dobrze. Proszę tu chwilę zaczekać, a potem wrócić do domu, zadzwonić na policję w Alfriston i powiedzieć im, co się stało. Spodziewam się, że przyjadą jak najszybciej. Jest pan pewny, że pułkownik nie żyje?

- Tak mi się zdaje, proszę pana.

- Pójdę sprawdzić - oświadczył Callaghan. - Proszę zrobić, jak mówiłem, Sallins. Niech pan odczeka kilka minut, a potem idzie do domu i zadzwoni na policję.

Ruszył w stronę pagody. Dwie minuty później dotarł na skraj zagajnika. Po drugiej stronie, na małej polance, stał letni domek w kształcie pagody, z werandą dookoła. Drewniane schodki prowadziły do drzwi.

Callaghan wszedł do środka. Przez okno po drugiej stronie okrągłego pokoju, w którym za całe umeblowanie służyły ogrodowe fotele i stół, wpadał blask księżycy. Pułkownik leżał na podłodze, na lewym boku. Jego prawa ręka była wyprostowana, palce dłoni wyciągnięte jakby w błagalnym geście. Kilka stóp od zwłok leżał rewolwer. Na oko mogła to być policyjna trzydziestka ósemka. Callaghan uklęknął obok ciała. Jedna strona twarzy pułkownika wyglądała koszmarnie i rzucała się w oczy właściwie przez swoją nieobecność. Druga zastygła w surowej masce śmierci.

Callaghan westchnął. Wstając z kolan, dostrzegł biały błysk. Coś wystawało spod ciała. Pochylił się. W świetle zapalniczki ujrzał małą koronkową chusteczkę. Podniósł ją. W rogu widniały inicjały „V.A.”. Podeszedł do okna i oparł się o drewnianą ścianę; trzymając kawałek białej koronki, spoglądał na to, co kiedyś było pułkownikiem Gervase Stenhurstem.

Wrócił do zwłok i grzbietem dłoni dotknął nieuszkodzonej części twarzy zmarłego. Uznał, że śmierć musiała nastąpić stosunkowo niedawno.

Wstał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zszedł po pięciu drewnianych schodkach. Nagle zatrzymał się. Pomyślał sobie, że jeśli nawet prawda spoczywa na dnie studni, kiedyś i tak wypłynie na wierzch, bez względu na okoliczności...

Callaghan nastawił uszu. Nic, ani najmniejszego szmeru. Dopiero po jakiejś minucie usłyszał kroki na zwirowanej ścieżce. To pewnie Sallins wraca do domu. Callaghan odwrócił się, szybko wbiegł po drewnianych schodkach i znalazł się wewnątrz pagody. Przyklęknął obok ciała i z lewej górnej kieszeni płaszcza wyjął nieużywaną chusteczkę. Owinął nią prawą dłoń i wytarł rewolwer. Następnie, trzymając go przez chusteczkę za kolbę, podniósł lewą rękę pułkownika i odcisnął jego palce na lufie. Rzucił broń obok zwłok, ostrożnie umieścił chusteczkę między rozsuniętymi palcami prawej ręki pułkownika i wyszedł z pagody, cicho zamykając drzwi. Zatrzymał się, żeby zapalić papierosa, po czym ruszył wolno w kierunku zielonej furtki.

Życie jest śmieszne jak cholera, myślał. Robi się rozmaite rzeczy, nie wiedząc właściwie dlaczego. W każdym razie tak się przynajmniej wydaje. Ale w głębi duszy wiedział doskonale... Szarpnął klamkę, otworzył zieloną dębową furtkę i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Bo oto po drugiej stronie, na drodze, stała Viola Alardyse. Za nią dostrzegł tylne światła swojego wozu, błyszczące w półmroku.

- Dobry wieczór, panno Alardyse - przywitał się, ustępując na bok.

Przez dłuższą chwilę milczała, mierząc go wzrokiem.

- Dziś po południu udzieliłam panu dobrej rady - odezwiała się spokojnie, chociaż w jej głosie pobrzmiwała gniewna nuta. - Szkoda, że nie starczyło panu rozsądku, żeby z niej skorzystać.

Callaghan sięgnął po papierośnicę. Wyjął papierosa i spojrzął na Violę przez płomień zapalniczki.

- Nigdy nie korzystam z rad, panno Alardyse. Cudze rady mnie nie interesują. Wolę sam popełniać błędy. - Uśmiechnął się do niej szeroko, wyzywająco.

- Nie interesują mnie pańskie upodobania, panie Callaghan - oświadczyła Viola cichym, poirytowanym głosem. - Ale proszę popełniać swoje błędy gdzie indziej, nie w moim domu ani na terenie mojej posiadłości. Jeżeli jeszcze raz pana tu spotkam, każę pana wyrzucić. Czy wyraziłam się jasno?

- Jeszcze jak - przytaknął Callaghan. Jego uśmieszek wyprowadzał ją z równowagi. - Tylko ciekaw jestem, kto mnie będzie wyrzucać? Ten wasz wiekowy Sallins, panno Wymering, czy może załatwi to pani osobiście z pomocą sióstr? Ale możliwe, że nie trzeba mnie będzie wyrzucać. Być może zdecyduję wyjść sam, po dobroci.

Minęła go, przeszła przez furtkę na żwirowaną alejkę i stanęła koło niego. Doleciał go zapach jej perfum; uznał, że jest niezwykle pociągający.

- Mam nadzieję, że ma pan dość rozsądku, bym nie musiała pana wyrzucać. W każdym razie wydam polecenie, żeby nie wpuszczano pana ani do domu, ani na teren posiadłości. Nie lubię pana, panie Callaghan.

- Rozumiem. - Niedbale skinął głową, uśmiechając się promiennie. - Nie wie pani, co traci.

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia i nie jestem ciekawa tego, co mogłabym usłyszeć od pana. Czy to jasne?

- Jak słońce. - Callaghan zaciągnął się dymem. - Świetnie, będzie, jak pani sobie życzy. Ale zanim pani dziś zaśnie, proszę zastanowić się przez chwilę nad tym, co teraz powiem.

Wczoraj wieczorem pani ojczym zadzwonił z tego domu do mojego biura. Mnie akurat nie było. Poradzono mu, żeby za pół godziny zadzwonił pod podany numer. Tak też zrobił, ale ja nie odebrałem, bo ktoś, kto wiedział o tym telefonie, doprawił mi alkohol narkotykiem. Straciłem przytomność, zanim doszedłem do kabiny. A więc ktoś tutaj, na miejscu, podsłuchał jego rozmowę z moim biurem i miał dość czasu, żeby przeszkodzić mi w nawiązaniu kontaktu.

Ten ktoś wiedział również, że pułkownik spróbuje się ze mną połączyć dzisiaj. I postanowił temu zapobiec. Dlatego kabel telefoniczny został przecięty. Ktoś chciał zyskać na czasie, zanim nie wymyśli innego rozwiązania. Takiego, które w sposób ostateczny, raz na zawsze, uniemożliwiłoby pułkownikowi przekazanie mi tego, czego nie powinienem wiedzieć.

Dziś po południu przyjechała pani do mnie z groźbami, że nie wolno mi się widzieć z pułkownikiem. Że jeżeli się z nim spotkam, nie zapłaci pani za moje usługi. A jeśli przyjadę tutaj i będę się wtrącał do nie swoich spraw, zawiadomi pani policję.

Callaghan rzucił niedopałek na ziemię, przydeptał go i podjął uprzejmym tonem:

- Niech pani się nad tym zastanowi, panno Alardyse. Ciekawe, czy zmieni pani zdanie. Jeśli nadal będzie pani uważała, że należy zawiadomić policję, to proszę bardzo, droga wolna... Ale pani tego nie zrobi. Nie zawiadomi pani policji, co więcej - prędzej czy później - sama będzie pani chciała ze mną porozmawiać. A jeśli jest pani tak rozsądna, jak myślę, to zdecyduje się pani prędzej niż później.

Przeszedł przez furtkę. Na drodze odwrócił się i spojrzął na Violę. Stała jak skamieniała.

- Dobranoc! - zawołał wesoło, uchylając kapelusza.

Wsiadł do samochodu i zapuścił silnik. Cofając wóz na wąskiej drodze, rzucił okiem na zieloną furtkę.

Viola Alardyse stała tak, jak ją zostawił. Po chwili usłyszał trzask zamykanych drzwi.

Na szosie zawrócił. Pogwizdując pod nosem, ruszył w kierunku Alfriston.

Na scenę wkracza Patrycja

Callaghan szedł wolno niezabudowanym, końcowym odcinkiem High Street w Alfriston. Promienie popołudniowego słońca oświetlały stare domy, a jedyne drzewo rosnące na środku małego kwadratowego placu rzucało przyjemny cień.

Dotarł do hotelu. Wszedł na górę, do swojego saloniku. Zapalił papierosa, z kąta szafy wyciągnął butelkę whisky i wypił porcję mniej więcej na cztery palce. Przez głowę przemknęła mu myśl, że picie za dnia to zły zwyczaj, i wypił jeszcze jedną taką porcję.

Podszedł do okna i wyjrzał na wąską ulicę. W sypialni rozległ się brzęczyk telefonu. Dzwoniła panna Wymering.

- Panie Callaghan, powiedział pan, że w każdej chwili mogę się do pana zwrócić. Sądzę, że właśnie powinnam to zrobić. Bardzo się niepokoję.

- Wcale się nie dziwię. Skąd pani dzwoni?

- Z budki na końcu High Street. Czy moglibyśmy porozmawiać?

- Dlaczego nie? Boczne wejście zaprowadzi panią prosto do mojego saloniku.

Callaghan zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem. Ciekaw był, co się działo w Dark Spinney po jego wizycie poprzedniego wieczora. Uśmiechnął się na wspomnienie rozmowy z Violą w ogrodzie. Może zmieniła zdanie, gdy po powrocie do domu usłyszała nowinę. Ma się rozumieć, jeśli nie wiedziała o tym wcześniej.

Właściwie dlaczego nie miałyby wiedzieć? Wszystkie

kobiety potrafią grać, jeśli chcą. Zdolności aktorskie to jeden z ich głównych talentów. Jeśli zabiła starego, na pewno nic nie da po sobie poznać. Zwłaszcza że nie popełnia morderstwa ktoś, komu brakuje zimnej krwi.

Owszem, mogła go zabić. Czemu nie? Na razie wszystko wskazuje na to, że miała więcej powodów niż ktokolwiek.

Nie lubiła pułkownika i obawiała się jego rozmowy z detektywem. A więc...?

No i ta chusteczka pod zwłokami. Chusteczka z jej inicjałami w rogu. Taak...

Wzruszył ramionami. Kto wie, czy sam nie jest już „współwinnym po fakcie” - współwinnym morderstwa. Uśmiechnął się na wspomnienie słów Gringalla, który tak określił kiedyś motto Agencji Detektywistycznej Callaghana: „Najważniejsze, że dochodzimy prawdy, pal licho w jaki sposób”.

Tym razem może być trudniej.

Dopalił papierosa i właśnie brał następnego, gdy weszła panna Wymering. Przyglądając się jej, doszedł do wniosku, że kiedyś musiała być piękna; jeszcze teraz była przystojna, a jej oczy miały miękki, łagodny wyraz.

- Bardzo proszę, panno Wymering, niech pani usiądzie, zapali papierosa i opowie mi wszystko. Tylko proszę niczego nie opuszczać. - Uśmiechnął się do niej. - Przede wszystkim, co panią tak niepokoi?

Zaciągnęła się papierosem.

- To, że nie wiem, ile należy powiedzieć policji.

Callaghan uniósł brew.

- Czyżby zadawano pani pytania, na które nie ma pani ochoty odpowiadać?

- Nie, niezupełnie. Policjanci, którzy wczoraj przyjechali, byli niezwykle uprzejmi. Ich lekarz bardzo długo badał w pagodzie zwłoki mojego szwagra. Zadawali mnóstwo rozmaitych pytań, ale odniosłam wrażenie, że wszystkie prowadziły w jednym kierunku.

Callaghan wpadł jej w słowo:

- Przypuszczam, że zmierzały do ustalenia, czy ktoś

przypadkiem nie był szczególnie wrogo nastawiony wobec pułkownika. Mam rację?

Kiwnęła głową.

- Tak - przyznała markotnie. - Niestety, właśnie tak.

- Wyobrażam sobie - ciągnął detektyw - że pytano panią, czy nie było ostatnio jakichś kłótni, czy ktoś miał powody, żeby usunąć pułkownika z drogi...

- Coś w tym sensie.

- I co im pani powiedziała?

- No więc... przyjechał inspektor z Wydziału Śledczego, zdaje się, że z Brighton. Nawiasem mówiąc, niezwykle miły. Na pytanie, czy pułkownik miał wrogów i czy się z kimś kłócił, odpowiedziałam, że niestety mój szwagier nie cieszył się zbyt dużą sympatią otoczenia. Był drażliwy i tracił panowanie z powodu byle drobiazgu.

- Czy inspektor nie próbował zawęzić pytań do grona domowników?

- A i owszem. Pytał, czy służba go lubiła. Miałam wrażenie, że ucieszył się na wieść, że wszyscy pracują u nas od lat. Potem wrócił lekarz, który skończył oględziny, i obaj wyszli. Zrobili też zdjęcia zwłok. Dzisiaj rano zabrano ciało. Wychodząc inspektor zapowiedział, że jeszcze przyjdzie. On albo ktoś inny.

- Spodziewa się ich pani dzisiaj?

- Nie wiem. Tego nie mówili.

- W porządku. - Callaghan przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem. - Panno Wymering, przypuszczam, że martwi się pani z powodu tej drobnej różnicy zdań między dziewczętami a pułkownikiem tamtego wieczoru podczas kolacji?

- Owszem, choć nie w związku z jego śmiercią. Przecież to była tylko burza w szklance wody.

- Tak pani myśli? Gdyby pani wiedziała, ilu ludzi zginęło z powodu takiej właśnie burzy w szklance wody! A przy okazji, od czego zaczęła się cała ta awantura? Pamięta pani?

- Jak zwykle w takich wypadkach, poszło o coś zupełnie innego. Patrycja zachowała się bardzo niegrzecznie. Wzięła

suknię Corinne, zbyt wydekoltowaną i zupełnie dla niej nieodpowiednią, bo czerwoną. Miała ją na sobie przy kolacji. Okazało się, że Corinne wcześniej kazała jej się przebrać, ale Patrycja nie posłuchała. Przy kolacji Corinne się rozgniewała, zaczęły się sprzeczać używając prostackich wyrażań, no i tak to się zaczęło.

- Rozumiem. Przejdźmy teraz do spraw zasadniczych. Kto wie, czy gdzieś tam w głębi nie myślimy o tym samym.

- Uśmiechnął się szeroko. - Czy wczoraj wieczorem widziała się pani z panną Alardyse po jej powrocie do domu?

- Tak, przyszła wprost do mojego pokoju.

- I co dalej?

Panna Wymering przybrała poważny wyraz twarzy.

- Była wściekła. Okropnie ją wzburzyło spotkanie z panem w ogrodzie. Wyraziła się niezbyt pochlebnie o pułkowniku, a i pod pana adresem padło parę nieprzyjemnych słów. Zdaje się, że bardzo nie lubi prywatnych detektywów. Nie wiem dlaczego, ale nie lubi. - Panna Wymering uśmiechnęła się niepewnie.

- Wtedy jeszcze nie wiedziała o śmierci pułkownika?

- Nie. Skorzystałam z okazji i najpierw ją przygotowałam, a potem dopiero powiedziałam o tej tragedii. Była wstrząśnięta i bardzo przygnębiona.

- Nic dziwnego. Pokłóciła się z nim, a on zginął, zanim mogła mu coś wyjaśnić, prawda?

- No, tak.

- I co dalej?

- Potem usiadłyśmy do kolacji. Atmosfera była wyjątkowo nieprzyjemna. Prawie nikt się nie odzywał. Żadna z nas nie przepadała za pułkownikiem, kiedy żył, ale tak byliśmy przyzwyczajone do jego widoku na głównym miejscu przy stole, że dziwnie się czułyśmy bez niego. Zdecydowanie nie był to miły posiłek.

- Wyobrażam sobie. A po kolacji pewnie rozmawiała pani z policją?

- Tak.

- Tylko z panią rozmawiali?

- Tak. Ale odniosłam wrażenie, że dzisiaj chcą porozmawiać z innymi.

- Może tak, a może nie. Uważam, że postąpiła pani bardzo mądrze, panno Wymering. Dobrze, że nie wspomniała pani o tej małej sprzeczce przy kolacji. Ostatecznie, jak słusznie pani zauważyła, była to tylko burza w szklance wody.

- Panie Callaghan - wtrąciła panna Wymering poważnym tonem - nie myśli pan chyba...

Uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- Ja nic nie myślę, poza tym, że powinniśmy o tamtej sprawie zapomnieć.

- Skoro pan tak uważa... Ale to chyba nie miało specjalnego znaczenia, prawda? - spytała, wyraźnie szukając duchowego wsparcia.

- Proszę pani, ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Niech pani sama osądzi. Po owej sprzeczce przy kolacji pułkownik zadzwonił do mnie do biura, twierdząc, że sprawa jest bardzo pilna. Wspomniał też, że dostał jakiś list. Nie wie pani, o co mu mogło chodzić?

Pokręciła głową.

- Poradzono mu, żeby mnie szukał w klubie - ciągnął Callaghan. - I zadzwonił tam, co do tego nie ma wątpliwości. Nie była to więc kwestia tylko napadu złego humoru. Miał dość czasu, żeby ochłonąć, a mimo to zadał sobie trud i jeszcze raz spróbował się ze mną skontaktować. Niestety, z powodów, które nie mają tu znaczenia, nie odebrałem jego telefonu. Ale wobec tego, dlaczego nie zadzwonił wczoraj rano?

- Mówiłam już, że linia była uszkodzona, nie mieliśmy połączenia.

- Najprawdopodobniej ktoś przeciął kabel.

Panna Wymering otworzyła szerzej oczy.

- Dobry Boże, panie Callaghan, chyba pan nie myśli...

- Ja nie myślę, ja wiem. Ktoś chciał uniemożliwić pułkownikowi skontaktowanie się ze mną. No i trzeba przyznać,

że mu się to udało, prawda? A my możemy wyciągnąć z tego wnioski.

- Jakież? - zapytała nerwowo.

- Przede wszystkim temu, kto chciał powstrzymać pułkownika przed rozmową ze mną, albo zależało na czasie, albo wiedział, że pułkownik długo nie pożyje. Nie rozumie pani? Normalny człowiek w takiej sytuacji nie przecinałby przewodów telefonicznych, wiedząc, że można je szybko naprawić i że pułkownik tak czy inaczej jakoś by się ze mną skontaktował. Czyżby ktoś wiedział, co się z nim stanie? Że zamierzał popełnić samobójstwo?

- Zaczynam rozumieć. Więc według pana ktoś podejrzewał, że pułkownik zamierza się zabić?

- Właśnie.

- Panie Callaghan, chyba nie podejrzewa pan, że któraś z dziewcząt...

Detektyw zauważył, że jej usta lekko drżą.

- Nic nie podejrzewam. Wiem jedynie, że pułkownik posiadał jakieś informacje, które zamierzał mi przekazać, że otrzymał jakiś list, o którym chciał ze mną porozmawiać, i że mu się to nie udało. A swoją drogą wielka szkoda, że stosunki między mną a panną Alardyse nie układają się lepiej.

- Nie ma pan racji, panie Callaghan - zaprotestowała szybko panna Wymering. - Właśnie to chciałam panu powiedzieć. Wspomniałam, jak się zdenerwowałam po powrocie do domu. Miała panu za złe, że pan tu przyjechał. Ale wtedy nie wiedziała jeszcze o śmierci pułkownika. Otóż wczoraj wieczorem, po wyjściu policji, przysłała do mnie i powiedziała, że zachowała się wobec pana bardzo głupio i że nie mówiła wtedy poważnie.

- W takim razie może uda mi się z nią porozmawiać.

- Bardzo bym tego chciała.

- Dlaczego?

- Teraz, kiedy mój szwagier nie żyje, cały ciężar odpowiedzialności za dziewczęta spoczywa na mnie. Po tym, co usłyszałam od pana, stało się dla mnie jasne, że on poważnie

mówił o swoich podejrzeniach, że nie była to tylko kwestia złego humoru. Tak się zastanawiam... Widzi pan, trudno zgadnąć, co się dzieje w głowach współczesnych kobiet. Kto wie, może zarzuty pułkownika wobec dziewcząt i jego niechęć do ludzi, których Viola i Corinne poznały w Brighton, wcale nie były takie bezpodstawne? Niestety, młode kobiety nie są takie rozsądne, jak im się wydaje.

Callaghan uśmiechnął się szeroko.

- A więc, panno Wymering, właśnie zaproponowała mi pani coś, z czym chciał się do mnie zwrócić pułkownik. Różnica polega tylko na motywacji: nim powodowała złość i podejrzliwość, panią - dobroć serca. Zgoda, zobaczę, co się da zrobić.

Panna Wymering wstała.

- Jest pan bardzo miły. Ufam panu, panie Callaghan. I cieszę się, że pan przyjechał. Nie wiem tylko, kto panu zapłaci.

- Nie będziemy się teraz o to martwić. - Wyciągnął rękę. - Jak będę chciał coś z panią omówić, dam pani znać. A tymczasem gdyby wydarzyło się coś, o czym według pani powinienem wiedzieć, proszę mnie łapać tutaj. Gdyby mnie nie było, proszę porozmawiać z moim asystentem, Nikollem. Powinien się zjawić lada chwila.

- Do widzenia panu. I bardzo dziękuję. Mam wprawdzie niewiele pieniędzy, ale...

- Nie ma pani pieniędzy - Callaghan przerwał jej wesoło - a nie możemy oczekiwać od Violi, żeby płaciła za przyjemność zatrudniania Agencji Callaghana do śledzenia jej poczynań. No nic, pożyczmy, zobaczymy.

- Jeszcze raz dziękuję, panie Callaghan.

Gdy wyszła, detektyw wrócił do saloniku, zamknął drzwi i zapalił kolejnego papierosa. Uświadomił sobie, że bardzo polubił pannę Wymering. Zastanawiał się tylko, czy powiedziała mu całą prawdę. Miał wrażenie, że niepokoila się losem dwóch siostrzenic bardziej, niż była skłonna przyznać.

Otworzyły się drzwi i wszedł Nikolls.

- No i? - powitał go Callaghan.
 - Bycza wycieczka! Wynająłem cacko, nie wóz. Ech, jak ja lubię wieś. W takim słońcu czuję się jak nowo narodzony.
 - Co ty powiesz? A przywiozłeś mi ten testament?
 - Ehe. Proszę.
- Callaghan wziął od Nikollsa kilka kartek, podszedł do stołu i zaczął czytać:

Ja, Viola Corinne Patrycja Stenhurst, zamieszkała w Dark Spinney, Hangover w hrabstwie Sussex, na mocy niniejszego testamentu postanawiam, co następuje:

Niniejszym unieważniam wszystkie wcześniejsze zapisy.

Mojego męża Gervase'a Stenhursta, moją siostrzenicę Honorię Jean Wymering oraz mojego adwokata Johna Galashielsa ustanawiam wykonawcami testamentu. Na czas pełnienia tej funkcji zapisuję im po 250 funtów rocznie oraz taką sumę, która może wynikać z poniższych postanowień.

W moim długim życiu miałam okazję zauważyć, że posiadanie przez kobietę dużego majątku może niekorzystnie zaważyć na jej przyszłym małżeństwie. Niewykluczone bowiem, że oświadczy jej się niepożądany typ mężczyzny, zainteresowany jedynie majątkiem, który korzystając z jej fortuny będzie prowadził próżniaczy i samolubny tryb życia. Szczerze pragnąc oszczędzić moim córkom takiego losu i uchronić je przed utratą szczęścia, polecam wyżej wymienionym wykonawcom testamentu następujący podział mojego majątku:

To, co pozostanie po spłacie długów i innych zobowiązań, mają ulokować w papierach wartościowych, a z uzyskanych w ten sposób dochodów potrącać dla siebie pobory, o których mowa wyżej, a także wypłacać każdej z moich trzech córek - Violi, Corinne, Patrycji - po 350 funtów rocznie.

Zarządzam, aby wykonawcy mojej ostatniej woli wypłacali pozostałość wspomnianych dochodów (zwaną dalej „resztą spadkową”) mojej najstarszej córce, Violi, aż

do jej zamążpójścia, pod warunkiem że w chwili mojej śmierci będzie niezamężna.

Gdyby Viola wyszła za mąż przed lub po mojej śmierci albo gdyby sama zmarła, resztę spadkową należy wypłacać mojej drugiej córce, Corinne (jeśli będzie niezamężna) z zachowaniem takich samych warunków i zastrzeżeń, jak wymienione wyżej w odniesieniu do Violi. Gdyby Corinne nie spełniała warunków lub przestała je spełniać, resztę spadkową należy wypłacać (znowu - jeśli będzie niezamężna) mojej trzeciej córce, Patrycji, z zachowaniem powyższych warunków i zastrzeżeń.

Gdyby zaś żadna z moich córek nie spełniała warunków uprawniających do dziedziczenia, wówczas cały majątek, tak w części kapitałowej, jak i dochody, należy rozdzielić między instytucje charytatywne wybrane przez wykonawców testamentu.

Zarządzam, aby wszystkie legaty dla wykonawców testamentu mogły być zwiększane o dodatkowe sumy z reszty spadkowej, jeżeli uprawniona do tego w danej chwili moja córka tak postanowi.

Dysponując majątkiem w ten sposób pragnę zapewnić, by mężczyźni, którzy oświadczą się moim córkom, mieli obowiązek i zaszczyt zapewnić im należyte utrzymanie. Zdaję sobie sprawę, że powyższe zastrzeżenia mogą być uznane za nieprawomocne, jako utrudnienia na drodze zamążpójścia moich córek, a tym samym sprzeczne z polityką socjalną.

Dlatego też nie chcąc, aby moja ostatnia wola stała się przedmiotem prawnych kontrowersji, zarządzam, aby beneficjent, który zechciałby sądownie podważyć jej prawomocność, został wykluczony z dziedziczenia.

Gdyby któryś z opiekunów majątku zmarł lub zrezygnował z funkcji powierniczej, pozostali opiekunowie powinni wyznaczyć nowego.

Spadkodawczyni podpisała się własnoręcznie w obecności świadków, dnia 12 stycznia 1943 roku.

VIOLA CORINNE PATRYCJA STENHURST

My, niżej podpisani, niniejszym zaświadczamy, że Viola Corinne Patrycja Stenhurst własnoręcznie podpisała testament, my zaś, na jej żądanie oraz w obecności jej i siebie nawzajem, podpisaliśmy się jako świadkowie:

George Ernest Sallins

Lokaj

Dark Spinney, Hangover, Sussex

Augusta Polly Stokes

Kucharka

Dark Spinney, Hangover, Sussex

Callaghan złożył kartki i schował je do kieszeni, po czym zwrócił się do Nikollsa:

- Czytałeś?

- Owszem.

- Rozumiesz coś z tego?

- Jasne. Po mojemu nie przepadała za pułkownikiem.

To się trzyma kupy, bo jakby z nim była szczęśliwa, to by się nie martwiła, że chłopcy ożenią się z jej córkami dla forsy. Kobiety bywają dziwne w takich sprawach. Na mój gust uważała, że on też wziął ją dla majątku.

- Na to wygląda - przytaknął Callaghan.

- Dlatego zostawiła mu tylko dwieście pięćdziesiąt funtów rocznie - ciągnął Nikolls. - Dopiero się stary ucieszył, co? Nic dziwnego, że był taki drażliwy i humorzasty. A wszystko, co ekstra, mogła mu dorzucić tylko spadkobierczyni. Założę się, że to też było mu nie w smak.

Nikolls pogrzebał w kieszeni, wyciągnął Lucky Strike'a, zapalił i siląc się na humor, zawołał:

- Mam dla ciebie coś lepszego! Padniesz trupem jak ci powiem.

- No?

- Jadę sobie główną ulicą, patrzę, a tu na tym małym placyku, gdzie rośnie to samotne drzewo, ktoś sobie stoi, pyka fajeczkę, gapi się w niebo i udaje niewiniątko. Jak myślisz, kto to? No, do czterech razy sztuka.

- Nie będę zgadywał.
- Nadinspektor Gringall we własnej osobie!
- Nic dziwnego. Nasz klient nie żyje.
- To od razu trzeba ściągać Gringalla? Miejscowe gliny nieźle się zakrzętały. Przyjechał w trymiga.

Callaghan uśmiechnął się szeroko.

- A to ciekawe. Znaczy, że i miejscowa policja, i Wydział Śledczy z Brighton wolą tego nie tykać. Widać nie są przekonani, czy to samobójstwo. Zawiadomili Yard, a tamci nie tracili czasu. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby chciał cię trochę podpytać.

- Też bym się nie zdziwił. Słuchaj, Windy, na wykonawców testamentu wyznaczeni zostali pułkownik, który już nas opuścił, panna Wymering, którą poznałem, i niejaki John Galashiels, który był chyba prawnikiem pani Stenhurst. Dowiedz się o nim czegoś. Może będę chciał z nim pogadać.

- Dobra. Czy tu już wiedzą, co się stało?

- Jeszcze nie. Wygląda na to, że inspektor z Brighton kazał mieszkańcom Dark Spinney trzymać język za zębami. Ale lada chwila tama pęknie i zacznie się gadanie.

- I wtedy trzeba będzie nastawić uszu.

- Jeszcze jedno, Windy, skoro już masz taki piękny wóz, to przejedź się do Brighton. Gdzieś na przedmieściach znajdziesz klub Mardene. Pracuje tam w charakterze kelnera niejaki Charlie Maysin. Dowiedz się wszystkiego o nim i o klubie. Byle szybko.

- W porządku, to na razie.

Nikolls wyszedł.

Kiedy nadinspektor Gringall zjawił się w barze hotelu Pod Dwoma Mnichami, Callaghan siedział w kącie, popijając whisky z wodą sodową. Obserwował, jak Gringall podchodzi do baru, zamawia drinka i nabija pękatą fajkę z korzenia wrzosu.

A zatem to morderstwo - pomyślał detektyw. Stanowczo morderstwo. Policja z Brighton od razu tak przypuszczała,

inaczej nie byłoby tu Gringalla. Ciekawe, jaka jest treść protokołu oględzin lekarskich. Jeszcze raz spojrzął na policjanta.

George Henry Gringall, zwany Pchlą, dobiegał pięćdziesiątki. Na oko w niczym nie przypominał policjanta. Miał dobrotliwy i niewinny wyraz twarzy, często wyróżniający przedstawicieli tego fachu. Cichy, skromny i miły, w gruncie rzeczy uosabiał typowego starszego oficera policji, będącego - mimo że wszystko już powiedziano i zrobiono, mimo że pisarze powieści kryminalnych spaskudzili, co było do spaskudzenia - najlepszym gatunkiem policjanta na świecie.

Owszem, zdarzało się, że wyglądał trochę głupawo, brakowało mu słów i sprawiał wrażenie, że myślni błądzi gdzieś indziej, ale wynikało to z techniki, którą sobie wypracował z biegiem lat. Polegała ona na tym, żeby „ten drugi” czuł się szczęśliwy, mając do czynienia z kimś głupszym od siebie.

Gringall wziął szklaneczkę whisky z wodą sodową i podszedł do Callaghana.

- Jak się masz, Slim. To miło cię tu spotkać.
- Ciebie też. Co słyhać? Dawnośmy się nie widzieli.
- Rzeczywiście. - Policjant zamilkł na chwilę. Wreszcie podjął: - Wiesz, Slim, mam pewien pomysł. Spotykaliśmy się przy okazji różnych spraw, na przykład tej Denys czy Vendayne. Często myślałem o naszych zawodach i doszedłem do wniosku, że byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy od razu przystępowali do rzeczy.

- A więc na tym polega twój pomysł! Ciekawe, co też ci chodzi po głowie, Gringall. Skoro uważasz, że zaoszczędzimy sobie czasu przechodząc z miejsca do sedna, to wał.

- No dobrze. Nie zamierzam udawać, że moim zdaniem przyjechałeś tu na kurację. Wiem, że byłeś w Dark Spinney. Przypuszczam, że pracowałeś albo pracujesz dla kogoś z rodziny. Ty pewnie też wiesz, dlaczego tu jestem.

- Domyślałem się, że miejscowa policja ściągnęła cię w związku z samobójstwem Stenhursta.

- Samobójstwem? Nie pomyślałem u tym.
- Ja też nie.
- Nie? Wiesz, Slim, ty rzadko mówisz coś, czego nie chcesz powiedzieć, a nigdy nie słyszałem, żebyś dyskutował o sprawach swoich klientów. Ale tym razem istnieje zasadnicza różnica, nie sądzisz? Twój klient nie żyje.

- Tak? Co ty powiesz?

- Czyżbym się mylił?

Callaghan pociągnął whisky.

- Zależy, kogo uważasz za mojego klienta. Coś mi się zdaje, Gringall, że tylko kluczymy wokół tematu.

- Dobrze, więc zamiast kluczyć, przejdźmy do sedna sprawy. O ile wiem, przedwczoraj przy kolacji doszło w Dark Spinney do sprzeczki. Zdaje się, że pułkownik Stenhurst zdenerwował się na swoje dwie pasierbice, Violę i Corinne Alardyse, i wygarnął im, co myśli o ich zachowaniu.

- Tak? Ciekawe, skąd to wiesz?

- Rozmawiałem ze służbą, to jasne. Podobno pułkownik zamierzał wynająć prywatnego detektywa. Był zły na dziewczęta i chciał się dowiedzieć, co w trawie piszczy. Zadzwonił do twojego biura i domyślałam się, że zrobił to natychmiast po kolacji.

- Tego nie wiem i nie mam pojęcia, skąd ty o tym wiesz. Pytasz mnie, czy informujesz?

- Informuję. Tutaj nie ma automatycznych połączeń z automatów telefonicznych. Trzeba się łączyć przez centralę. Dziewczyna, która pełni nocny dyżur, ma niewiele pracy i dobrą pamięć.

- Taka praca w centrali telefonicznej to musi być miłe zajęcie - zauważył Callaghan z uśmiechem. - Ciekawe, czy słuchała rozmowy?

- Nie sądzę. Ale wiem, że dzwonił do ciebie powtórnie, tylko już na inny numer, gdzieś w Regent.

- To też dla mnie nowość. Ktoś próbował mnie szukać pod tym drugim numerem, ale nie wiedziałem, że to pułkownik.

- A więc nie odebrałeś tego telefonu?

- Otóż to, nie odebrałem.

- A jednak postanowiłeś przyjechać tu wczoraj wieczorem, z czego wnioskuję, że w biurze zostawiono dla ciebie jakąś wiadomość, na tyle ważną, że zdecydowałeś się na przyjazd. Innymi słowy - Gringall uśmiechnął się wesoło - dostrzegłeś w pułkowniku Stenhurście potencjalnego klienta. - Pyknął z fajki. - Slim, przecież ty nie pracujesz za darmo, więc musiałeś wiedzieć, że skoro pułkownik chce się z tobą pilnie zobaczyć, to jest przygotowany na koszty. - Znów się uśmiechnął. - Każesz sobie słono płacić za swoje usługi, i słusznie. Myślałeś o tym, kto pokryje rachunek? Pytam, bo wydaje mi się, że wiem coś niecoś o prywatnych detektywach. Zanim przyjmą zlecenie, wolą się upewnić, że otrzymają zapłatę.

- Przyznasz, że nie bardzo miałem czas, żeby się czegośkolwiek dowiedzieć o pułkowniku.

- A mimo to przyjechałeś. Ciekawe dlaczego?

- Co to właściwie jest... przesłuchanie? Czy ja składam zeznania, czy tylko sobie gawędzimy?

- Gawędzimy. Bądź rozsądny, Slim. Wiesz przecież, że musiałem z tobą pogadać.

- Oczywiście - przytaknął Callaghan wesoło. - Musiałeś ze mną pogadać, bo jako jeden z pierwszych widziałem zwłoki. Najpierw zobaczył je Sallins, a potem ja. Spodziewam się, że o tym też ci powiedział.

Gringall potwierdził skinieniem głowy.

- I w ten sposób wracamy do podstawowego pytania.

Uznałeś, że przyjazd do pułkownika ci się opłaci. Czy posunę się za daleko, jeśli zapytam o powody?

- Nie, powiem ci, tylko pozwól, że uporządkuję myśli.

Szybko zaczął główkować. Jeżeli Sallins powiedział Gringallowi wszystko, co wiedział, to równie dobrze mógł mu powiedzieć i o tym, że w dniu śmierci pułkownika Viola Alardyse wyjechała z Dark Spinney prawie na całe popołudnie. Z pewnością ktoś widział ją, jak wyjeżdżała. Znając Gringalla należało oczekiwać, że prędzej czy później dowie się o wizycie Violi w jego biurze.

- Słuchaj, Gringall - podjął z dobrotliwym wyrazem

twarży, który przybierał zawsze, ilekroć kłamał. - Na początku powiedziałeś coś, z czym się w zasadzie zgadzam. Dlatego spełniając obywatelski obowiązek, powiem ci, co i jak. Żeby nikt mnie nie straszył oskarżeniami o „zatajanie informacji przed policją” i „utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości”. - Uśmiechnął się uprzejmie.

- Moim zdaniem postępujesz bardzo rozsądnie, Slim. Zaoszczędzi nam to wielu kłopotów.

- No więc było tak: pułkownik rzeczywiście zadzwonił do mnie po kolacji, to znaczy przedwczoraj wieczorem. Było już dobrze po dziewiątej i nie zastał mnie w biurze. Ale złapał Nikollsa. Był wyraźnie zły i podekscytowany. Zdaje się, że u emerytowanych oficerów Armii Indyjskiej to normalne. Chciał się ze mną spotkać, i to jak najszybciej. Nikolls nie przypuszczał wprawdzie, żeby mnie to zainteresowało, ale że nie mieliśmy nic innego do roboty, poradził mu, żeby zadzwonił później do mojego klubu, i dał mu numer. Pułkownik zadzwonił, ale nie podszedłem do telefonu. Nie widziałem powodu. Nie sądziłem, że to potencjalny klient. Ludzie, którzy wydzwanają do mnie o dziesiątej w nocy do nocnych klubów, na ogół nie są potencjalnymi klientami.

- Z pewnością - przytaknął Gringall z uśmiechem.

- No właśnie. Tak między nami, myślałem, że to może być dama, z którą nie miałem ochoty rozmawiać.

- W porządku, a jednak przyjechałeś tu, mimo że nie porozumiałeś się z potencjalnym klientem. Widocznie uznałeś, że warto.

- Uprzedzasz wydarzenia. Pozwól, że skończę. Następnego dnia rano Nikolls poinformował mnie w biurze o telefonie pułkownika. Powiedziałem, że sprawa mnie nie interesuje. Ale później wydarzenia sprawiły, że zmieniłem zdanie.

- A jakież to wydarzenia?

Dobra nasza, pomyślał Callaghan. Jeszcze nic nie wie. Na głos zaś powiedział:

- Sprawa Stenhursta nie interesowała mnie tak dalece,

że po południu zamierzałem wyjechać do Waverley. Ale miałem interesantkę. Do mojego biura przyjechała panna Alardyse.

Gringall uniósł brwi.

- Zapowiada się ciekawie.

- Dokładnie tak samo pomyślałem. I dlatego tu jestem.

- Czyli, że przyjechałeś nie w związku z tym, co przekazał ci pułkownik, ale w rezultacie rozmowy z panną Alardyse?

- Zgadza się. Po rozmowie z panną Alardyse doszedłem do wniosku, że pułkownik nie będzie moim klientem. - Przerwał raptownie.

- Jak to? Nie chciałeś, żeby został twoim klientem, a mimo to przyjechałeś?

- Owszem. Moją klientką jest panna Alardyse. - Callaghan uśmiechnął się. - Widzisz, ona jest właścicielką Dark Spinney. To zamożna kobieta.

- Rozumiem.

- Jak wiesz, poprzedniego wieczoru przy stole miało miejsce drobne nieporozumienie. Pułkownik opowiadał jakieś głupstwa. Zdaje się, że miał skłonność do przesady. - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że wiesz już coś na ten temat od panny Wymering. Rzecz w tym - kłamał z miną niewiniątka - że to małe nieporozumienie urosło do rangi problemu, przynajmniej jeśli chodzi o pannę Alardyse. Podobno pułkownik snuł jakieś głupie przypuszczenia na jej temat. Wiesz, jaka tam jest sytuacja... pułkownik wspólnie z panną Wymering i jeszcze kimś opiekował się majątkiem. Panna Alardyse zaczęła się zastanawiać, czy aby ojczym jest odpowiednią osobą do sprawowania tej funkcji. Jednocześnie - po części ze względu na ciotkę - nie chciała robić nic, co mogłoby go zranić czy sprawić mu przykrość, zanim nie sprawdzi faktów. Powiedziała mi, że pułkownik opowiada bzdury. Miałem przyjechać, pogadać z nim, zorientować się w ogólnej sytuacji i doradzić jej, jakie kroki powinna podjąć.

- Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że jej zdaniem pułkownik nie miał racji?

- No, tak. Owszem. Wiesz, jacy są ci emerytowani oficerowie Armii Indyjskiej... Chorują na wątrobę, łatwo wpadają w gniew i wygadują głupstwa, których wcale nie myślą.

Gringall pyknął z fajeczki. Przez dłuższą chwilę palił w milczeniu.

- Ale nie spotkałeś się z pułkownikiem? - zapytał w końcu.

- Nie. Nie spotkalismy się. Kiedy przyjechałem do Dark Spinney, pułkownika nie było w domu. Spodziewano się go na kolacji. Miałem zadzwonić i przyjechać później, ale już nie zdążyłem. Samochód zostawiłem daleko od domu i kiedy wyszedłem bocznym wyjściem, po drodze spotkałem Sallinsa. To on odkrył zwłoki. Był kompletnie roztrzęsiony.

- I wtedy sam postanowiłeś rzucić okiem na ciało?

- No, niezupełnie. Chciałem tylko poradzić Sallinsowi, żeby wezwał policję, ale przyszło mi coś do głowy. Zapytałem go, czy jest pewny, że pułkownik nie żyje, na co on odpowiedział, że nie. - Callaghan wzruszył ramionami. - Woląłem uniknąć niepotrzebnego zamieszania, więc postanowiłem to sprawdzić. Kazałem Sallinsowi poczekać, bo był w kiepskim stanie, wystraszony i zdenerwowany, i poszedłem rzucić okiem na pułkownika. Nie żył. Nie pozostało nic innego, jak wezwać policję. Sallins zadzwonił na komisariat i to wszystko.

Gringall skinął głową.

- Jasne. Powiedz mi, Slim, dlaczego myślisz, że to samobójstwo?

Callaghan spojrział na niego zaskoczony.

- Przecież to oczywiste. Pułkownik leżał na podłodze, a obok niego rewolwer. Wypadł mu z ręki, to jasne. Z całą pewnością było to samobójstwo, cóżby innego?

- Będę z tobą szczery. Jedno mi się w tym wszystkim nie podoba. Jeżeli pułkownik się zastrzelił, to na broni powinny zostać odciski jego palców.

- A co, nie było?
 - Nie.
 - Można to wytłumaczyć. Stary miał w prawej ręce chusteczkę do nosa. Pewnie trzymał przez nią rewolwer.
- Policjant spojrział na detektywa z ukosa.
- A niby po co?
 - To jasne. Nie chciał, żeby na broni pozostały odciski palców.

Gringall uniósł brwi.

- Ale dlaczego?

Callaghan wzruszył ramionami.

- Można przypuszczać, że na rewolwerze były rozmaite odciski. Leżał pewnie gdzieś w domu, brało go do ręki wiele osób, a stary wiedział, że policja będzie szukała odcisków palców. Nie chciał nikogo w to mieszać, więc wyjął chusteczkę do nosa i wytarł broń. Wyobraźmy to sobie. Najpierw pewnie bierze rewolwer za lufę i wyciera kolbę i bębenek. Czyli w prawej ręce trzyma chusteczkę, a w lewej broń. Lubi porządek, więc nie chce rzucać chusteczki na podłogę ani chować jej do kieszeni - pewnie była ubrudzona smarem - więc owija kolbę chusteczką, przytrzymując broń palcami lewej ręki za lufę, a potem strzela do siebie. W ten sposób ma pewność, że na rewolwerze pozostaną wyłącznie jego ślady.

Odciski palców na lufie.

Gringall pokiwał głową.

- Rzeczywiście, znaleźliśmy na lufie odciski jego palców. Ale to wciąż bardzo dziwne...

- Widzę, Gringall, że szukasz motywu. Chcesz komuś przypiąć łatkę. Szukasz kogoś, kto chciałby sprzątnąć pułkownika. Moim zdaniem nikogo takiego nie ma, natomiast jest bardzo prawdopodobne, że on sam chciał ze sobą skończyć. Tylko pomyśl, facet się starzeje, nie cieszy się sympatią rodziny, a idę o zakład, że nikt go nie lubił, ani we wsi, ani nigdzie indziej. No i tak. Przy kolacji urządza awanturę. Wściekły, dzwoni do mnie, a następnego dnia uświadamia sobie, że się zagalopował. Że pewnie przyjadę, żeby się z nim spotkać. Że powstanie cholernie nieprzyjemna

sytuacja. Zaczyna mieć wszystkiego dość i postanawia położyć temu kres. Mnie to się wydaje całkiem rozsądne.

- Tak, to brzmi rozsądnie - przyznał Gringall.

- Napijesz się jeszcze?

Policjant potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Nie teraz. Wiesz, ta twoja teoryjka wcale nie jest zła. Właściwie nie mam jej nic do zarzucenia. No, powiedzmy, że nie miałbym, gdyby nie jeden szczegół.

- Tak? Coś interesującego?

- Nawet bardzo. Wygląda na to, że pułkownik dzwonił do twojego biura od siebie z pokoju. To była pierwsza rozmowa. Ale za drugim razem już nie telefonował z domu. Wyszedł na spacer. Pewnie dzwonił z budki przy drodze do Alfriston.

- No to co?

- To, że panna Alardyse wiedziała, że jej ojczym dzwonił do ciebie i prosił o spotkanie, skoro przyjechała następnego dnia po południu. Dlatego przecież cię odwiedziła. Innymi słowy, ktoś musiał podsłuchać pierwszą rozmowę. Ciekawe po co?

- Nie mam pojęcia.

- Mnie w każdym razie wydaje się to dziwne. Dobranoc, Slim.

- Dobranoc.

Policjant wyszedł.

Gringall nie jest głupi, pomyślał Callaghan. Uważa, że pułkownik został zamordowany. I zrobi wszystko, żeby to udowodnić. Zaczął myśleć o telefonach pułkownika. A więc za drugim razem dzwonił z budki przy drodze do Alfriston. Dlaczego? To proste. Ten, kto podsłuchał pierwszą rozmowę, postanowił nie dopuścić do drugiej. Linia telefoniczna w Dark Spinney została uszkodzona natychmiast po pierwszej rozmowie pułkownika z Agencją Detektywistyczną Callaghana, a nie dopiero następnego dnia rano.

Zamówił następną whisky z wodą sodową.

Wieczór kładł coraz dłuższe cienie. Callaghan skręcił w przecznicę High Street i ruszył pod górę, w kierunku Hangover. Czekał na jakieś przełomowe wydarzenie. Czuł, że sedno sprawy tkwi w liście, który tak zirytował pułkownika i stał się impulsem do natychmiastowego skontaktowania się z detektywem. Ktoś przekazał mu informacje na tyle ważne, że pułkownik bez zwłoki przystąpił do działania.

Callaghan wszedł na wąską drogę biegnącą obok muru otaczającego posiadłość Dark Spinney. Wiła się w górę przez ponury, ciemny las. Na porosłej mchem ziemi kładły się groteskowe cienie. Pogrążony w myślach detektyw skręcił w wąską ścieżkę biegnącą środkiem lasu, która wyprowadziła go na otwarte pole; oparł się o furtkę w ogrodzeniu i zapalił papierosa.

- Dobry wieczór, panie Callaghan - usłyszał za sobą czyjś głos.

Odwrócił się i ujrzał Patrycję Alardyse. Ubrana w schludną wełnianą kurtkę i spódnicę, stała z rękami założonymi skromnie do tyłu; jej piękną twarz zdobił mały pilśniowy kapelusik. Uśmiechała się.

- Dobry wieczór - odparł Callaghan poważnie. Kim pani jest?

- Nazywam się Patrycja Alardyse. Wiem o panu wszystko. Pan jest prywatnym detektywem. Uważam, że to podniecające zajęcie.

- Cieszę się, że ktoś to uważa za podniecające, panno Alardyse.

- Proszę mi mówić po imieniu. Sądzę, że mogę się panu bardzo przydać. Czuję, że mam zadatki na pierwszorzędną kobietę szpiega.

- To bardzo ciekawe. Ale dlaczego uważasz, że przyda mi się kobieta szpieg, choćby nawet pierwszorzędna?

Przekrzywiła głowę.

- Po prostu tak uważam.

- No to załóżmy, że masz rację. Jakie usługi może mi zaproponować pierwszorzędny szpieg w spódnicy?

- Nie wiem, ale sporo się domyślam. To niesłychanie zabawna sprawa z tym moim ojczymem, nie sądzi pan?

- Tak? A dlaczego?

Stała koło niego i też oparła się o furtkę. Zauważył, że ma ogromne, intensywnie niebieskie oczy. Rozkoszna kobieta, pomyślał, i w dodatku niegłupia.

- Powiem panu dlaczego. Przede wszystkim, ta kłótnia przy kolacji. To jasne, że Gervase miał coś na Violę i Corinne... albo przynajmniej tak mu się zdawało. Zagroził, że każe je śledzić, ale nie powiedział, komu to zleci. Nikt nie wiedział, że chce się skontaktować właśnie z panem.

- Tak? A gdyby ktoś chciał się dowiedzieć?

- Nic prostszego. Widzi pan, on zawsze dzwonił z góry, od siebie, ale w korytarzu na dole jest drugi aparat, więc każdy mógł podnieść słuchawkę i podsłuchać rozmowę.

- Rozumiem. A ta kłótnia przy kolacji była bardzo poważna?

- Nie, podobne zdarzały się i przedtem. Widzi pan, Gervase stale był zły, wiecznie z czegoś niezadowolony. Ale na ogół nie miał żadnych pretensji do Violi. To Corinne nie lubił. Nie cierpiał jej. Za mną też nie przepadał, ale byłam przekonana, że Violę bardzo lubi.

- A więc nie lubił Corinne. Według ciebie miał powody? Energicznie skinęła głową.

- Między nami mówiąc, Corinne to kompletne zero, moralne dno i skończona suka. Nie mogę o niej powiedzieć ani jednego dobrego słowa, chociaż to moja siostra. Ludzie się jej boją. Ja też, czasami. Ale oczywiście nie dają tego po sobie poznać. Jeśli chodzi o urodę, jest ciemna i piękna na swój sposób, taka raczej we włoskim typie. Zastanawiam się, czy to nie ona zabiła Gervase'a.

- Dlaczego miałyby zabijać waszego ojczyma?

Wzruszyła ramionami.

- Następne pytanie, proszę. Choć z drugiej strony, nie mam pojęcia, dlaczego ktokolwiek chciałby go zabić. Wiem, że nieładnie mówić źle o zmarłych, ale to był naprawdę

bardzo głupi staruch, a przynajmniej ja zawsze tak uważałam.

Callaghan skinął głową.

- Wracając do tej kłótni... zdaje się, że poszło o jakiś klub, do którego chodziły twoje siostry?

- Zaczęło się od czegoś innego. Poszło o mnie. Właściwie - ciągnęła poufnie, z pewną satysfakcją w głosie - u nas większość awantur wybucha z mojego powodu. Traktują mnie jak coś w rodzaju rozrywki. Tutaj jest raczej nudnawo.

- Aha. A dlaczego zaczęło się od ciebie?

- Bo pożyczyłam sobie suknię wieczorową Corinne... czerwoną, z głębokim dekoltem. Wściekła się, jak mnie w niej zobaczyła przed kolacją. Robi wszystko, żeby mnie powstrzymywać od szperania w jej szafie, ale zawsze jakoś udaje mi się postawić na swoim.

- Chyba rzeczywiście masz zadatki na pierwszorzędnego szpiega w spódnicy. Ale dlaczego; ona nie zamyka swoich ubrań?

- Zamyka, w każdym razie zamyka pokój. Nie wie, że mam drugi klucz. Prawdę mówiąc, mam chyba klucze do wszystkiego, co Corinne zamyka.

- Po co?

Patrycja przekrzywiła głowę.

- Nie wiem, może dlatego, że nigdy jej nie ufałam. Widzi pan, ja strasznie lubię Violę. Jest kochana. Wszyscy ją lubią. Natomiast Corinne nie lubi chyba nikogo. Często zastanawiam się, dlaczego. Czasem wydaje mi się, że ona coś knuje, więc wolę ją mieć na oku. Czy to takie dziwne?

- Nie, chyba nie. Jesteś ciekawa i lubisz dramatyzować. Przytaknęła.

- Tak, biedny ojczym mawiał, że za często chodzę do kina.

- Słuchaj, Patrycjo, chciałabyś coś dla mnie zrobić? - zapytał Callaghan od niechcienia.

Posłała mu jej zdaniem marzycielski i tajemniczy uśmiech.

- Z największą przyjemnością. O co chodzi?

- Muszę się czegoś dowiedzieć i myślę, że chyba tylko ty mogłabyś mi pomóc. Powiem ci dokładnie, w czym rzecz. W wigilię śmierci pułkownika, to znaczy tego dnia, kiedy wybuchła ta awantura przy stole, pułkownik otrzymał jakiś list. Właśnie o nim chciał ze mną porozmawiać. Teraz, kiedy po domu kręci się policja, trudno byłoby mi go szukać. Może ty byś mogła...?

- Ależ oczywiście. Zacznę od pokoi ojczyma. Zastanawiam się, że może ten list jest w jego biurku?

Czasami trzeba zaryzykować, pomyślał Callaghan. Dlaczego więc nie teraz? Na głos zaś powiedział:

- Ufam ci, Patrycyjo, i wiem, że mnie nie zawiedziesz.

- Nigdy w życiu! A przy okazji, jak panu na imię? Polubiłam pana. Mam wrażenie, jakbyśmy się znali całe wieki.

- Slim.

- Bardzo ładnie. Masz to załatwione, Slim.

- Wydaje mi się, że to Corinne mogła podsłuchać tę rozmowę z korytarza. Bo widzisz, następnego dnia Viola przyjechała do mnie do biura. Musiała więc dowiedzieć się od kogoś, z kim rozmawiał pułkownik... chyba że sama podsłuchiwała.

- Nie, była wtedy w swoim pokoju. To na pewno Corinne.

- Dobrze. Jeżeli to Corinne, to wiedziała również o liście, który otrzymał pułkownik. I na pewno była ciekawa jego treści. Pewnie domyślała się, że dotyczył jej i Violi, bo jak pamiętasz, pułkownik zapowiedział, że będzie je śledził. Zależało jej na tym liście.

- No pewnie.

- W takim razie, kiedy się dowiedziała, że pułkownik nie żyje, pewnie zaczęła szukać listu. I kto wie, czy go nie znalazła. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem. Twoim zdaniem, powinnam przede wszystkim rozejrzeć się po pokoju Corinne?

Callaghan przytaknęła.

- To proste, Slim. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak proste. Corinne nic przede mną nie ukryje.

- Ale musisz być bardzo ostrożna. Źle by się stało, gdyby cię przyłapała na myszkowaniu w jej pokoju.

- Mnie to mówisz! Nie dowie się.

- Dobrze. Teraz ci powiem, co masz zrobić, jeśli ci się uda. Zadzwoń do mnie do hotelu Pod Dwoma Mnichami w Alfriston. Ale nie podawaj prawdziwego nazwiska.

- Powiem, że dzwoni madame X.

- Tak też niedobrze - odparł z uśmiechem. - Powiedz po prostu, że dzwoni panna Brown. - Zapalił następnego papierosa. - Jeszcze jedno, chciałbym porozmawiać z Violą. Ale nie w domu.

- Dobrze... mogę jej powiedzieć, prawda? Kolację jadamy zazwyczaj o dziewiątej. Nie widzę przeszkód, żeby wymknęła się z domu powiedzmy za kwadrans dziesiąta i przyszła tutaj. Przekonam ją, że musi tu przyjść.

- To miło z twojej strony. Myślę, że powinna porozmawiać w swoim własnym interesie.

- To jest aż tak źle? - zapytała poważnie.

Skinął głową.

- Zgoda, Slim. Chyba... chyba już pójdę, inaczej zacznę się zastanawiać, gdzie jestem. - Wyciągnęła małą dłoń. - To fantastycznie, że pracuję dla ciebie. Cudownie. Uwielbiam to dla samej frajdy. Przy tym wysiadają wszystkie filmy świata.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona.

- Jeżeli tylko Corinne ma ten list, znajdę go. Uczciwie albo podstępem. - Nagle spowaźniała. - To straszne, że jestem taka szczęśliwa teraz, kiedy pułkownik nie żyje. Ale myślę, że tak jest dla niego lepiej. Za życia był taki nieszczęśliwy.

Uśmiechnęła się do niego zalotnie.

- *Au revoir*, Slim. Do zobaczenia.

Odeszła szybko. Callaghan odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła pośród drzew.

Przyjemny wieczór

Corinne siedziała przed toaletką, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. Miała na sobie szkarłatny szlafroczek i aksamitne ranne pantofle w tym samym kolorze. Rozchyłony szlafroczek odsłaniał biel szyi i dekoltu oraz piękny kształt nogi odzianej w jedwabne pończochy. Stojąca obok niej lampa z różowym abażurem rzucała delikatne i tajemnicze światło. Poza kręgiem światła pokój tonął w ciemnościach.

Corinne doszła do wniosku, że ma urodę Borgiów. Ciemne włosy opadające na ramiona okalały owalną twarz, która w przyćmionym świetle przypominała twarz Włoszki. Pełne słodczy usta, marzycielski, nieco senny wyraz oczu. Tak mogła wyglądać pierwsza z brzegu morderczyni z rodu Borgiów, pomyślała Corinne. - I, niestety - dodała cynicznie - tak samo mogła się czuć, jak ja teraz.

Była niezadowolona. Jak większość ludzi, którzy wolą nawet najnieprzyjemniejsze fakty od niepewności, która ich drażni, Corinne była rozdrażniona. Część faktów знаła i wiedziała, jak sobie z nimi poradzić. Niestety, części nie znała...

Na przykład, ten list. Kto go wysłał i dlaczego? Kto poza dwojgiem znanych jej ludzi posiadał informacje, które osmieliły go do napisania takiego listu? A ona zachowała się niczym skończona idiotka, zanim dowiedziała się, co zawiera list. Najwyższy czas, żeby zmądrzeć.

I dalej, sprawa Violi; Viola zamartwiająca się na śmierć; Viola, która przez cały czas szuka sposobu uwolnienia się

od tarapatów, w jakie popadła. I na pewno już w tej chwili rozważa, czy nie wypowiadać się ze wszystkich swoich kłopotów ciotce Honorii. A wtedy kłamka zapadnie, nic już nie pomoże, los jej - Corinne, będzie przypiecztowany.

Należało postępować ostrożnie. W całym domu węszyła policja. To prawda, zachowywali się dyskretnie, grzecznie i tak dalej, ale jednak węszyli. I nawet gdyby policjanci byli tak głupi, jak się niektórym wydaje, to przecież nie mogliby przeoczyć czegoś, co by rzucało im się w oczy.

Zaczęła myśleć o Callaghanie. Callaghan jest prywatnym detektywem, a oni podobno pozbawieni są skrupułów. Ponoć zupełnie obce są im zagadnienia moralne, liczą się dla nich tylko pieniądze. Zaczęła się zastanawiać, czy mogłaby posłużyć się Callaghanem. A jeśli tak, to za jaką cenę - za pieniądze, czy może za coś innego. Może się zdarzyć - jeśli sprawy przybiorą zły obrót - że będzie zmuszona coś z nim zrobić. Może trzeba będzie zagrać, a może oczarować, żeby zdobyć potrzebne informacje? Gdyby tylko mogła dowiedzieć się, kto napisał ten list?

Z kolei zaczęła myśleć o pułkowniku. Ależ to cholernie zabawne. Ten Gervase... żeby umrzeć akurat w takiej chwili. No... może nie dla każdego takie zabawne. Poza tym policja wcale nie była przekonana, że sam się zabił. Niestety. Naturalnie, ten nadinspektor ze Scotland Yardu zapewniał, że ciągle przesłuchania to tylko formalność... rutynowe działanie. Ale jednak podejrzewali...

Ciekawe, kto, ich zdaniem, zabił Gervase'a? Biorąc wszystko pod uwagę, podejrzenie powinno paść na Violę. Powinno. Czyż nie pojechała do miasta do tego detektywa, i tam groziła mu różnymi konsekwencjami, jeśli ośmieli się przyjąć zlecenie pułkownika? Była zła na Gervase'a, nienawidziła go. Czy policja ją podejrzewa? Czy w ogóle jest możliwe, aby brali pod uwagę taką możliwość?

Z pewnością jest to możliwe. Wszystko jest możliwe. Zawsze, gdy ktoś zostanie zamordowany, to przyjaciele

mordercy nie mogą uwierzyć, że mógł coś takiego zrobić. A jednak zrobił.

Jedno Corinne wie na pewno - gdyby Viola się przestraszyła albo przyszła jej ochota na zwierzenia na przykład ciotce Honorii, trzeba ją za wszelką cenę powstrzymać. Usta Corinne wykrzywił okrutny uśmiezek. Viola to taka kochana, miła istota, a takie osoby łatwo przestraszyć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Corinne powoli odwróciła się na stolku; do pokoju weszła Viola.

Corinne uśmiechnęła się do siostry i powiedziała:

- A ty, jak zwykle piękna, kochanie. Szkoda, że Bóg nie dał mi takiej urody, jak twoja. A jak ślicznie ci w czerni. Ta suknia jest cudowna. Ale wyglądasz na zmęczoną... i zdenerwowaną.

Viola zamknęła drzwi pokoju i stanęła parę kroków od Corinne, poza kręgiem światła.

- Jestem zdenerwowana, to prawda, a ty nie? - I nie czekając na odpowiedź mówiła dalej: - Nie rozumiem, dlaczego policja tak ocenia sprawę Gervase'a. To bardzo dziwne. Wprawdzie nie powiedzieli tego, ale to oczywiste, że uważają, że został zamordowany. Nawet gdyby przyjąć, że to prawda, to kto chciałby go zabić? Kto mógłby zrobić coś takiego?

Corinne ziewnęła dyskretnie.

- Praktycznie każdy, kto miałby odwagę. Ja sama często miałam ochotę go zabić. Może my o tym nie wiemy, ale inni też mogli go nie lubić. Na przykład, ktoś z jego przeszłości. Czy tak, czy tak, nie widzę powodu, żebyś ty miała się tym martwić. Gervase nie żyje i koniec.

Viola zadrżała lekko.

- Twarda jesteś, Corinne. Biedny Gervase... nieważne, co zrobił czy powiedział, ale przecież nie żyje. Powinniśmy pamiętać o nim tylko dobre rzeczy.

- Bzdury. Niby dlaczego nie miałabym być twarda? Popatrz tylko, ile masz korzyści z tego, że jesteś miękka. - Uśmiechnęła się okrutnie. - Dam ci dobrą radę, moja miła. Przestań się martwić o Gervase'a.

Przez chwilę panowało milczenie, potem Viola powiedziała:

- Corinne, kiedy podsłuchiwałaś rozmowę Gervase'a z biurem detektywa, co mówił, czy wspominał o liście?

A więc ten cholerny detektyw rozmawiał z nią, pomyślała Corinne. Muszę się nim zająć. Głośno zaś odparła:

- Gervase był bardzo podekscytowany. Właściwie nie przypominam sobie, o czym mówił. Mnie interesowało tylko to, czy on naprawdę zamierzał nas śledzić. Tylko na tym się skupiłam. A i to głównie ze względu na ciebie.

- A dlaczego od razu po rozmowie nie przyszedł do mnie? Co robiłaś? Dokąd poszłaś? - Viola bacznie przyglądała się siostrze.

Corinne odparła niedbale:

- Włożyłam płaszcz przeciwdeszczowy, wyszłam do ogrodu i spacerowałam. Zastanawiałam się, co zrobić z pułkownikiem. Niezależnie od tego, co ty byś zrobiła. Rozważałam możliwość zagrożenia mu, że jeśli zatrudni detektywa, żeby mnie śledził, wyniosę się z domu. Ale... po namyśle doszłam do wniosku, że nie zrobię tego. Że najlepiej będzie, jeśli po prostu pójdę i powiem ci o tym, co usłyszałam. No i tak zrobiłam. A właściwie, co myślałaś, że robiłam?

- Nie wiem.

- Chyba nie zamierzasz popełnić jakiegoś głupstwa? - zapytała Corinne wesołym tonem. - Co ci chodzi po głowie, kochana? Czy aby na pewno nie robisz z igły wideł? Możesz mi wierzyć, wszystko się samo wyklaruje. Za parę dni policja zmęczy się zadawaniem pytań, na które otrzymuje odpowiedzi, które właściwie niczego nie wyjaśniają. A wtedy wyniosą się i uwierzą, że Gervase popełnił samobójstwo... bo tak było naprawdę. A tobie pozostanie pozbyć się tego głupiego detektywa, który tu się kręci, czyhając na okazję zarobienia na naszych kłopotach. I wszystko wróci do normalnego stanu - już bez Gervase'a - Bogu dzięki!

- Może uznasz, że to głupie, ale zamierzam powiedzieć prawdę ciotce Honorii.

- Tak? - powiedziała Corinne obojętnym tonem. - Sądzę, że potem będziesz się czuła o wiele gorzej. To niefortunny pomysł, szczególnie w tej chwili. Wyobraź sobie tylko, jakie konsekwencje mogą z tego wyniknąć! Pomyśl, co może się stać, jeśli powiesz o tym ciotce! Wybuchnie niesłychany skandal! - Corinne zaśmiała się cynicznie.

- Nie dbam o to. Zbyt długo już to trwa. Nie mogę dalej tego ciągnąć.

- A może to dlatego, że masz więcej płacić? - impertynenckim tonem zapytała Corinne. - Może gdybyś nie musiała tyle płacić, nie czułabyś się tak źle?

- Jak możesz mówić takie rzeczy? - powiedziała Viola zgnębnym tonem.

- Mogę i mówię, jak widzisz. A więc postanowiłaś porozmawiać z ciotką Honorią. Na twoim miejscu nie robiłabym tego. Jeszcze się przekonasz, że miałam rację.

- Dlaczego?

Corinne wstała. Podeszła do kominka, wzięła z pudełka papierosa i zapaliła go. Stała tyłem do ognia, patrząc na siostrę.

- Słuchaj, najwyższy czas, żebyśmy się porozumiały. Nie chcę przez to powiedzieć, że do tej pory nie rozumiałyśmy się doskonale. Rzecz jednak w tym, że jeśli komukolwiek stała się krzywda, to na pewno nie tobie, lecz mnie.

- Tak uważasz? Ciekawe. Zawsze przecież tego chciałaś, zawsze mówiłaś...

- Zgadza się - przerwała jej Corinne. - Chciałam tego i chcę, żeby nadal tak było. A jeśli pójdziesz do ciotki Honorii i opowiesz jej wszystko tylko po to, żeby uspokoić swoje pensjonarskie sumienie, nie licz na to, że cię poprę.

- Mój Boże, chyba nie chcesz powiedzieć, że...

- Owszem, zgadłaś. Powiem ciotce Honorii, że nic o tym nie wiedziałam. Zrzucę wszystko na ciebie - powiedziała Corinne ze spokojem. - I jak się wtedy będziesz czuła? Czy zdajesz sobie sprawę, że skoro ja o tym nic nie wiedziałam, to znaczy, że ty od lat żyłaś w oszustwie. Założmy, że

powiem, że nic nie wiedziałam, nie miałam nawet najmniejszego pojęcia, kto udowodni mi, że było inaczej? Nie sądzisz chyba, że mój przyjaciel wyda mnie albo ciebie, skoro oplaca mu się milczeć?

- Wiesz, są chwile, kiedy wydaje mi się, że jesteś najnikczemniejszą istotą na świecie.

- Możliwe, ale ja nie dbam o to, co ty o mnie myślisz. Posłuchaj dobrej rady i zrób, jak ci mówię. Nie sądzę bowiem, aby potrzebny był nam jeszcze jeden kłopot. Zważywszy wszystko, i tak już mamy ich dość.

- Czy naprawdę tak myślisz, jak powiedziałaś? Czy rzeczywiście, gdybym wyznała wszystko ciotce Honorii, zaprzeczyłabyś, że wiedziałaś o tym?

- Tak. Dokładnie to miałam na myśli. Byłam dotąd twoją dobrą przyjaciółką i będę nalegać, żebyś niczego nie zmieniała. Posłuchaj mojej rady... nie wywołuj wilka z lasu. A teraz, wybacz, chciałabym się przebrać.

Viola bez słowa odwróciła się i wolno wyszła z pokoju.

Callaghan przestał przemierzać swój salonik w hotelu Pod Dwoma Mnichami. Nalał sobie następną porcję whisky na cztery palce, zapalił nowego papierosa i spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Myślał o Gringallu. Gringall był absolutnie przekonany, że ktoś zabił pułkownika Stenhursta. I pewnie ma rację. Interesująca sytuacja, gdyż nikt nie miał oczywistego albo przynajmniej wystarczającego motywu, by go zamordować. Na dobrą sprawę, jedyną osobą, której pułkownik najbardziej przeszkadzał i która darzyła go największą antypatią, była Viola.

Ale istniał jeszcze ktoś, kto pomyślał o tym samym. Przypomniał sobie scenerię w pagodzie, gdzie leżały zwłoki pułkownika. Ktoś o nią zadbał; była zbyt staranna na prawdziwą. Pistolet leżał daleko poza zasięgiem ręki pułkownika, a chusteczka z inicjałami V.A. - bez wątpienia należąca do Violi - została niemal wciśnięta pod ciało. Jednym słowem, całkowita inscenizacja; tak starannie prze-myślana w każdym szczególe, że aż się prosiła, żeby ją zburzyć.

To, naturalnie, nie zmienia faktu, że ten ktoś zna sytuację. Dlatego można się spodziewać pojawienia się następnego fałszywego tropu, który naprowadzi Gringalla na Violę.

Co więc zamierza zrobić Gringall? Na to pytanie łatwo odpowiedzieć. Otóż Gringall na razie przyczai się, podda się wyrefinowanej bezczynności. Ponieważ Gringall - podobnie zresztą jak Callaghan - wierzył, że jeśli się da ludziom dość sznura, z czasem sami się powieszają. Pamiętając o tym, poczeka i zobaczy, co się wydarzy. Ktoś w końcu będzie musiał wykonać jakiś ruch; i wtedy pojawi się prawdziwy trop.

Callaghan skończył właśnie whisky, kiedy zadzwonił telefon. Dzwonił Nikolls.

- Mogę mówić?

- Możesz i mam nadzieję, że masz o czym.

- Mam i to dużo. Prawdziwy ze mnie policyjny pies. I oko, które nigdy nie śpi. Ale do rzeczy. Więc tak - ten klub Mardene, to bombowe miejsce, naprawdę. Myślałem, że on jest z drugiej strony Brighton, ale nie, to z tej strony, zaraz za Rottingdean. Jak tylko skręcisz w prawo z nadbrzeżnej drogi, zaraz jak miniesz wieś, jedziesz prosto, a potem skręcasz w pierwszą gruntową drogę w lewo i dojeżdżasz pod sam klub. Jedyne budynki w okolicy, jakieś dwie mile od morza.

- Rozumiem, a co z Maysinem?

- W porządku. Pamiętasz taką knajpę Żółta Kotwica?

- Miałbym nie pamiętać?

- Dobra. No więc tam pracował taki facet Tony Empli. Był starszym kelnerem. Aż pewnego dnia wyleciał z powodu jakiejś afery narkotykowej. Pamiętasz?

- Pamiętam.

- To dobrze. To ułatwia sprawę, bo Charlie Maysin to nikt inny tylko Tony Empli we własnej osobie.

- Skąd wiesz?

- Zaraz ci opowiem, jak było. Rozejrzałem się trochę po lokalu, a potem zacząłem rozmawiać z taką dziewczyną,

która tam pracuje. Jest maszynistką i jednocześnie sekretarką szefa. Okazało się, że znałem tę małą wcześniej. Zanim nauczyła się stukać na maszynie, była szatniarką w Mayflower. No więc, kiedy z nią rozmawiałem, na sali pojawił się Tony Empli. Nie widział mnie, ale ja go widziałem. Spytałem dziewczynę, kto to jest, bo domyśliłem się, że na pewno zmienił nazwisko. A ona powiedziała, że to Charlie Maysin. Spisałem się na medal, no nie, szefie?

- Owszem. Bądź w kontakcie z tą swoją dziewczyną.

- Taki mam zamiar. Umówiłem się z nią na dzisiejszy wieczór. Spotkamy się w Brighton. Zanim z nią skończę, będę znał odpowiedzi na wszystkie pytania, nie wyłączając tego, skąd ma to znamię na karku. To co, może warto by było otworzyć mi rachunek na koszty?

- Tylko nie przesadzaj. Nie wiemy jeszcze, kto nam zapłaci.

- Tak? To ładny bal! Chyba trzeba przyjąć innego klienta.

- Do kogo należy klub Mardene, Windy?

- Do niejakiego Luciena Donelly. O, to sprytny facet. Wydaje się, że prowadzi ten lokal ucziwie i pilnuje, żeby nie popaść w tarapaty. Nigdy nie miewa kłopotów z przedłużeniem licencji. Trzyma dobre alkohole i płaci wszystkie rachunki. Ta mała twierdzi, że jest lubiany przez wszystkich. To podobno fantastyczny facet, wiesz, taki czaruś. Kobiety za nim przepadają.

- Rozumiem, coś jeszcze?

- Pewnie. Teraz mam najsmakowitszy kąsek. Przycho-dzą tutaj dwie panny Alardyse - Viola i Corinne. Corinne jest członkiem klubu, a Viola bywa tu jako gość. Corinne wprost przepada za tym lokalem. Moja przyjaciółka sugeruje, że chyba coś tam jest między Donellym a Corinne. Podobno Corinne leci na niego. Zdaje się, że on na nią też.

- Doskonale. Na razie wystarczy. Przy okazji, może wiesz, gdzie mieszka personel klubu i Donelly?

- Owszem. Cały personel - kelnerzy, kucharze i reszta - mieszkają w Brighton. Zabierają się ostatnim autobusem z Rottingdean przy głównej ulicy. W te dni, gdy lokal jest

czynny dłużej, Donelly organizuje samochód, który ich odwozi. On sam mieszka w tym samym budynku, w którym mieści się klub, na pierwszym piętrze. Tam też ma swoje biuro... tam pracuje moja przyjaciółka.

- Dobra, Windy. Zabieraj się do swojej przyjaciółki, może jeszcze czegoś się dowiesz. Tylko nie przestrasz jej.

- Co?! Ja miałbym ją przestraszyć? - zaprotestował Nikolls najwyraźniej dotknięty. - Z moją techniką... No, to do zobaczenia... chyba jutro, bo dzisiaj wrócę późno.

Callaghan odłożył słuchawkę. Nalał sobie następnego drinka i zapalił nowego papierosa. Przyznał Nikollowski rację. Trzeba przyjąć nowego klienta.

Zjechał z głównej ulicy w Alfriston i spojrzął na zegarek. Skręcił na boczną drogę prowadzącą do Hangover. Była za kwadrans dziesiąta. Jechał wolno.

Noc była piękna. Zwolnił, gdy znalazł się na drodze graniczącej z Dark Spinney. W światłach samochodu dostrzegł postać idącą w jego kierunku. Była to Viola Alardyse. Podjechał na skraj trawy, zatrzymał się i wysiadł. Podszedł do niej. W świetle księżyca dostrzegł jej perłowoblada twarz. Jest bardzo piękna, pomyślał. Ale czy równie mądra?

Dotknął kapelusza i przywitał ją.

- Dobry wieczór panno Alardyse. Cieszę się, że panią widzę. Czas, żebyśmy znów porozmawiali.

Stała nieruchomo, przyglądając mu się spokojnie. Na czarną wieczorową suknię narzuciła futro z bobrów. Za-uważył, że na nogach miała lekkie pantofelki, teraz pobrudzone i wilgotne od mchu. A więc spacerowała po lesie, domyślił się.

- Niewiele czasu mam na rozmowę, ale chciałbym powiedzieć pani jedno. W pani najbliższym otoczeniu znajduje się ktoś, kto nie jest pani przyjazny, ktoś, kto pani bardzo nie lubi.

- Doprawdy?

- Tak. Czy w związku z tym chciałaby pani coś przedsięwziąć?

- Co pan przez to rozumie?
- Wyjaśnię pani. Najwyższy czas, żeby się pani dowiedziała. Kiedy spotkałem Sallinsa i on mi powiedział, że pani ojczym nie żyje, poszedłem do pagody, żeby zobaczyć zwłoki. Może mi pani wierzyć, że pułkownik nie popełnił samobójstwa. Został zabity. Po pierwsze, pistolet leżał daleko od niego, po drugie - gdyby się sam zastrzelił, dookoła rany byłyby ślady prochu. Takich śladów nie znaleziono. Nie zawsze muszą być ślady prochu, ale w przypadkach samobójstw zazwyczaj są.
- Rozumiem.
- Gdybym pracował dla pani, nie oparłbym się podejrzeniu, że ktoś chciał obciążyć panią tym zabójstwem.
Spojrzała na detektywa. Jej wzrok wyrażał zdumienie.
- Komu by mogło na tym zależeć?
- Nie wiem. - Callaghan wrzucił ramionami: - Mogę się tylko domyślać. Otóż przypuszczam, że miała pani motyw, aby chcieć usunąć pułkownika ze swej drogi. Była pani na niego zła. Kłóciła się pani z nim.
- Ależ to śmieszne. Nawet zakładając, że wszystko to prawda, że go nie lubiłam - co nie jest zgodne z prawdą - dlaczego miałabym chcieć go zabić?
- Nie interesuje mnie, czy pani chciała go zabić, czy nie. Mnie interesuje fakt, że ktoś go zabił. I interesuje mnie to, że ktoś rozmyślnie tak to wszystko upozorował, żeby przypisano to zabójstwo pani.
- Mój Boże, czy to możliwe?
- Co pani robiła tego wieczoru, kiedy zabito pułkownika? Domyślałam się, że po opuszczeniu mojego biura wróciła pani tutaj, mam rację?
- Tak, ma pan rację. Wróciłam, odstawiłam wóz i wypilałam herbatę.
- A co potem?
- Potem poszłam na spacer do lasu. - Wskazała ręką za siebie.
- Przypuszczam, że wyszła pani zieloną furtką, tą w murze?
- Zgadł pan.

- Czy ktoś panią widział?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Gdzie była reszta domowników tego popołudnia?

- Nie wiem. Sądzę, że wszyscy byli poza domem. Nie interesowało mnie to. Byłam zła. Rozmawiałam z panem i ta rozmowa nie poprawiła mi humoru. Poszłam na spacer, ponieważ zamierzałam przed kolacją przeprowadzić z ojczymem poważną rozmowę. Kiedy wracałam, spotkałam pana. A w domu usłyszałam, co się stało.

Callaghan włożył rękę do kieszeni i wyjął małą, koronkową chusteczkę. Pokazał ją Violi i zapytał:

- Czy ona należy do pani?

- Skinęła głową.

- Tak... ale dlaczego?...

- Znalazłem ją pod ciałem pułkownika.

Stała patrząc na niego, ściskając w ręce kawałek batysty obszytego koronką. Była przestraszona. Twarz jej pobladła, pod oczami pojawiły się cienie.

- I zabrał ją pan?

- Zabrałem chusteczkę i przesunąłem broń.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Nie jestem pewien, ale chyba z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ wszystko wyglądało mi na inscenizację. I ta chusteczka, według mnie, została tam specjalnie podłożona. Tak jakby ktoś był pewien, że tym razem była pani na tyle wściekła na pułkownika, żeby chcieć się go pozbyć. Wyglądało to tak, jakby ktoś wszystko zaaranżował. Dlatego postanowiłem zaryzykować.

- Narażał się pan na niebezpieczeństwo.

Callaghan nic nie odpowiedział

- Chce pan to? - Wyciągnęła ku niemu chusteczkę.

- Tak, zatrzymam ją, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu. Chyba nie powinniśmy tutaj stać. Jeszcze ktoś nas dostrzeże z jakiegoś samochodu z szosy. A to nie byłoby rozsądne.

- Chyba ma pan rację. - Odwróciła się i zaczęła iść wiejską drogą w kierunku drzew. Szedł obok niej.

- Nie powiedział pan, jaki był drugi powód.

Callaghan uśmiechnął się w ciemności.

- Sam nie wiem jeszcze - powiedział. - Może porozmawiamy o tym innym razem. Na razie radzę pani zachować ostrożność. Zanim zacznie pani rozmawiać z kimś z domowników, proszę się upewnić, że to przyjaciel.

- Uważa pan, że ktoś usiłuje rzucić na mnie podejrzenie?

- Tak przypuszczam. Sądzi pani, że to niemożliwe?

- Nie wiem - powiedziała znużonym głosem. - Jestem już zmęczona ciągłym zastanawianiem się. - Zatrzymała się nagle w cieniu drzew. - Myślałam o tym, żeby z panem porozmawiać. Pan mi może pomóc.

- Nasz klient nie żyje, mamy więc czas dla innego - odpowiedział z uśmiechem.

- Jest panu wszystko jedno, dla kogo pan pracuje?

- Dopóki klient płaci rachunki...

- Chyba powinnam być panu bardzo wdzięczna, panie Callaghan.

- Nie wiem. Lepiej, żeby się pani z tym nie spieszyła. Ale jeśli wie pani coś, o czym ja powinienem wiedzieć, to lepiej, żeby to pani zrobiła jak najszybciej. Znam Gringalla. Chyba przesłuchał już wszystkich domowników i coś mi się zdaje, że nie był zadowolony z uzyskanych informacji. To nie ma znaczenia, że wyjechał. Będzie dalej węszył i wyciągał różne sprawy. Zawsze uważałem, że między klientem a prywatnym detektywem powinna obowiązywać jedna zasada: prawda, cała prawda i nic tylko prawda. Zanim więc powie mi pani cokolwiek, proszę się poważnie zastanowić, panno Alardyse.

Uśmiechnęła się gorzko.

- Sądzi pan, że mogłabym teraz mówić coś niepoważnie? Kiedy wszystko jest tak straszliwie poważne?

- No, mogło być gorzej. Aha, przy okazji, powinna pani to wiedzieć. W czasie rozmowy z Gringallem nie powiedziałem mu wszystkiego, o czym rozmawialiśmy u mnie w biurze. Gdyby wiedział, że przyjechała pani do Londynu w celu - uśmiechnął się - ostrzeżenia mnie, żebym nie przyjmował żadnych zleceń od pani ojczyma, a przede wszystkim, jak naprawdę przebiegała nasza rozmowa, uznałby, że miała

pani silną motywację, aby pragnąc usunąć ojczyzna ze swej drogi. Zdając sobie z tego sprawę, postanowiłem coś z tym zrobić.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- I co pan zrobił?

- Wymyśliłem taką oto historyjkę. Powiedziałem Gringallowi, że rzeczywiście zachowanie ojczyzna nie podobało się pani i to nie tylko wobec niej samej, ale w ogóle. Zasugerowałem, że ojczym zachowywał się od jakiegoś czasu dziwnie i ta dziwność osiągnęła swój punkt kulminacyjny właśnie tego wieczoru przy stole, czego wyrazem była kłótnia. Następnie powiedziałem, że przyszła pani do mnie, ponieważ chciała pani, żebym przyjechał do Dark Spinney, obserwował pułkownika i zorientował się w jego zamiarach.

Callaghan wyjął z papierośnicy papierosa i włożył do ust. Ale nie zapalił.

- Moja historyjka miała dwie zalety - mówił dalej. - Po pierwsze, usuwała z myśli Gringalla dodatkowy motyw, a po drugie, w pewnym sensie uzasadniała teorię, że ojczym popełnił samobójstwo. Proszę o tym pamiętać. Proszę też pamiętać, że jeśli zamierza pani ze mną porozmawiać, powinna to pani zrobić jak najszybciej. Mam przeczucie, że wkrótce coś się wydarzy. Chciałbym, o ile to możliwe, zaoszczędzić pani przykrości.

- To miło z pana strony. Dziwny z pana człowiek, przyzna pan.

- Tego nie wiem.

- Panie Callaghan, jak spotkaliśmy się teraz, pan się gdzieś wybierał. Kiedy pan będzie wracał?

- Trudno mi powiedzieć. Przypuszczam, że między jedenastą a jedenastą trzydzieści, może nieco później... najpóźniej za kwadrans dwunasta.

- Świetnie. Za kwadrans dwunasta będę czekała na pana po drugiej stronie zielonej furtki. Otworzę zatrask. Kiedy pan przyjdzie, pójdziemy razem do domu. Wszyscy będą już spali.

- Dobrze, będę.

Dotknął kapelusza i odszedł pozostawiając ją pod drzewami.

Z drogi prowadzącej nadbrzeżem Callaghan skręcił na drogę z Rottingdean do Brighton. Jechał teraz w głąb lądu. Skręcił w lewo na niebrukowaną drogę. Po pięciu minutach dostrzegł dom, o który mu chodziło. Stał po prawej stronie drogi pośród niewielkiego skwerku. Kolisty podjazd prowadził pod imponujący portyk. Zaparkował w cieniu krzewów.

Zaczął iść podjazdem. Gdzieś w domu grał gramofon lub adapter. Słysząc było głosy. Z lewej dostrzegł korty i basen. Nie było tam nikogo.

Skręcił w bok, obok kortów; dom musiał być kiedyś imponującym wiejskim dworem. Z tyłu znajdowało się podwórze. Drzwi domu były otwarte, światło z wnętrza rzucało jasne refleksy na kamienne podwórze.

Callaghan przysiadł na stopniu jakiegoś samochodu. Zapalił papierosa. Czekał. Po pół godzinie w drzwiach ukazały się postacie - kobieta i mężczyzna. Minęli korty tenisowe i poszli dalej podjazdem. Callaghan słyszał ich głosy coraz bardziej niknące w oddali. Minęło jeszcze dziesięć minut. Ktoś wyszedł z jasno oświetlonych drzwi; zatrzymał się na chwilę. Był to wysoki, szczupły mężczyzna z małymi, czarnymi wąsikami, w czarnym, miękkim kapeluszu. Miał na sobie płaszcz z szerokimi ramionami, wcięty w tali. Stał, pogwizdując. Callaghan widział, jak wyjął z kieszeni papierosnicę i zapalił papierosa. Potem zaczął iść.

Callaghan wstał i szybko ruszył za nim. Kiedy mężczyzna skręcił za róg domu, Callaghan zrównał się z nim.

- Dobry wieczór, Tony.

Mężczyzna zatrzymał się, odwrócił, spojrzął na Callaghana i powiedział:

- To pomyłka. Nazywam się Maysin.

- Żadna pomyłka. Nazywasz się Tony Empli. Musimy porozmawiać.

- Nie wiem, o czym chciałby pan ze mną rozmawiać.

- To zrozumiałe, że nie wiesz. - Callaghan uśmiechnął

się. - Powiem ci, o czym chciałbym z tobą pogadać, a ty powiesz mi to, co chcę wiedzieć.

- No to słucham - rzucił Empli bezczelnym tonem.

- Nazywam się Callaghan i jestem prywatnym detektywem. Wiesz o tym, bo kiedyś już się spotkaliśmy. Pamiętasz, co się wydarzyło w klubie Pod Żółtą Kotwicą, Tony?

Empli wzruszył ramionami.

- A co mnie obchodzi, co się wydarzyło w klubie Pod Żółtą Kotwicą? - Jego angielszczyzna była prawie perfekcyjna. - Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- To miła bajeczka. Może policja nawet w to uwierzyła, bo miała akurat na oku coś większego. Ale jeśli myślisz o tej aferze z narkotykami, to nie trafiłeś. Mnie chodzi o coś innego.

- A o co?

- W tym samym mniej więcej czasie zaginęła pewna dziewczyna... bardzo ładna dziewczyna... nazywała się, o ile pamiętam, Carlotta Eames. Przychodziła do Żółtej Kotwicy. Rodzicom zostawiła list, w którym napisała, że wyjeżdża na wieś. I nigdy więcej już jej nie zobaczyli. Podejrzewali, że mała uciekła i wyszła za mąż.

Empli odezwał się ze zniecierpliwieniem:

- Naprawdę? A co to ma wspólnego ze mną?

- Zaraz się dowiesz. Napisała do mnie list. W trzy miesiące po tym, jak uznano ją za zaginioną. List przyszedł do mnie z Buenos Aires. Kiedy go przeczytałem, doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli jej rodzina uwierzy, że wyszła za mąż albo umarła. Postanowiłem nie pokazywać im tego listu.

- Rozumiem... to pewnie jakiś interesujący list - powiedział Empli niepewnym głosem.

- O, możesz mi wierzyć, że cholernie interesujący. Również o tobie było tam parę interesujących rzeczy.

- Tak? To ciekawe.

- Zaraz ci powiem. Zapewne słyszałeś o samobójstwie pułkownika Stenhursta z Dark Spinney? W wieczór poprzedzający to wydarzenie pułkownik zadzwonił do mojego biura i miał się ze mną później skontaktować. I próbował,

ale ja nie odebrałem telefonu. Ktoś, pewna kobieta, zaprawiła narkotykiem moją whisky. Otrzymała za to pieniądze od mężczyzny, któremu ty nadałeś tę robotę. Interesuje mnie, czy to był twój pomysł, czy też ktoś cię do tego namówił. Myślę, że to jednak nie był twój pomysł. Może zechcesz mi na to odpowiedzieć?

Empli milczał. Stał i patrzył na Callaghana zwięzonymi z wściekłości oczyma.

- Nie ma potrzeby się złościć. Jedyne wyjście dla ciebie to zacząć mówić. Jeśli nie będziesz mówił, powiem ci, co zrobię. Otóż pokażę list od Carloty Eames nadinspektorki Gringallowi. Może nawet podpowiem mu, że maczałeś palce w paru niewyjaśnionych sprawach, jakie miały ostatnio miejsce w tym okręgu. Zasugeruję mu, żeby z tobą pogadał. A wiesz, Tony, co będzie, jeśli Gringall pogada z tobą. Leżysz. Pewnie wrócisz za kratki. Chyba tego nie chcesz?

- Co mnie, do licha, to wszystko obchodzi. - Empli wzruszył ramionami. - Dość mam tej całej sprawy. Dość mam tej knajpy. To ja zadzwoniłem do Grellina. Ale nic nie mówiłem o żadnej babce i zaprawianiu drinka. Powiedziałem mu tylko, żeby nie pozwolił odebrać panu tego telefonu. Nic więcej nie wiem, poza tym, kto mi płaci.

- W porządku, Tony. A więc szef cię o to prosił?

Empli skinął głową.

- Zgadza się. Niech pan idzie i pogada z nim.

- Może pójde. A wiesz, co ty tymczasem zrobisz?

- Nie, ale pan mi powie.

- Zgadłeś. Pójdiesz do domu, spakujesz walizkę i wyniesiesz się stąd. Jasne? Nie chcę cię tu więcej widzieć. Jeśli jeszcze raz spotkam cię tutaj, postaram się, żebyś miał kłopoty. Jasne?

Empli odparł cicho:

- Jasne. Kawał z ciebie drania, Callaghan.

- Nie powinieneś żywić do mnie urazy. Wiem, najchętniej wbiłbyś mi nóż w plecy. Ale wiesz, że tego nie możesz zrobić. Natomiast zrób, jak ci radzę. Jeśli cię tu jeszcze spotkam, przepadłeś. A teraz spływaj.

Empli stał przez chwilę patrząc na Callaghana, potem zaklął paskudnie, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Callaghan stał na skraju kortów, zaciągając się dymem. Czul się niemal szczęśliwy.

Potem poszedł wolno wzdłuż domu, wyszedł na podjazd i trzymając się cały czas cienia odnalazł miejsce, gdzie zostawił samochód. Wsiadł do wozu, zapalił papierosa i zaczął rozmyślać o Corinne.

Corinne to bogaty materiał do rozmyślań. Jeśli nawet nie jest tak piękna jak Viola, stanowi interesującą osobowość. Bez wątplenia. Usiłował złożyć poszczególne, dziwaczne fragmenty układanki w całość. Nadać sens dziwnym i raczej niezrozumiałym wydarzeniom.

Czasami w życiu staje przed człowiekiem zadanie niczym niewiadoma „x” w algebrze. I na ogół, ta nieznaną wielkość kryje odpowiedź na pytanie - dlaczego? Żeby poznać „x”, trzeba znać motyw. Motywy, które kryły się w sprawie „Dark Spinney” były dziwne i tajemnicze. A może nie? Może były jasne, jeśli się znało niewiadomą „x”?

Callaghan znał parę faktów. Innych musiał się domyślać. Jasne było, że tego wieczoru, gdy przy kolacji wybuchła kłótnia, Corinne wyszła do holu. Wiedziała, że ojczym zamierzał dzwonić do detektywa. Podniosła słuchawkę telefonu w holu, słyszała rozmowę ojczyma z Nikollsem. I słyszała, jak Nikolls radził pułkownikowi, aby szukał Callaghana później, w klubie Światło Nocy. Potem działała szybko. Musiała działać szybko.

Widocznie wyszła i zadzwoniła do swojego przyjaciela Luciena Donelly'ego. Powiedziała mu, że mniej więcej za pół godziny ojczym zamierza dzwonić do klubu Światło Nocy. I że nie wolno dopuścić do tej rozmowy, trzeba ją w jakiś sposób uniemożliwić. Donelly zapewne obiecał zrobić, co będzie mógł. Przypuszczalnie pogadał z Emplim, który przypomniał sobie, że La Valiere jest członkiem klubu Światło Nocy i że można do niej dotrzeć przez Grellina. Empli zadzwonił do Grellina, a ten już dalej wszystko

załatwił. La Valiere wpuściła prochy do drinka i sprawa załatwiona.

Ale po co? Czym kierowała się Corinne? Jeżeli to ona była inicjatorką tego planu - a wszystko wskazuje na to, że tak - to musiała mieć jakiś powód, żeby nie dopuścić do tej rozmowy telefonicznej. Z pewnością zdawała sobie sprawę, że pułkownik z czasem i tak skontaktuje się z detektywem. Z tego by wynikało, że zależało jej po prostu na zyskaniu na czasie. Po co?

Na to pytanie nasuwają się dwie odpowiedzi. Corinne mogła myśleć, że jeśli następnego dnia przetnie przewód telefoniczny, to pułkownik nadal nie będzie mógł się skontaktować z detektywem. Jeśli tak, to można domniemywać, iż wiedziała, że pułkownik nie będzie nazajutrz wychodził z domu. Bo gdyby wyszedł, mógłby zadzwonić z innego aparatu.

A jeśli z jakiegoś powodu wiedziała lub przypuszczała, że pułkownik nie wyjdzie tego dnia z domu, to czy miała również powody, aby przypuszczać, że wieczorem nie będzie żył, a co za tym idzie, nie będzie zainteresowany dzwonieniem do kogokolwiek?

Druga odpowiedź była bardziej wiarygodna. A może Corinne chciała zyskać na czasie jedynie po to, aby dowiedzieć się, jaka była treść listu? Musiała słyszeć, że pułkownik wspomniał o nim. Po oświadczeniu, że musi spotkać się z Callaghanem, powiedział do Nikollsa: „Otrzymałem pewien list”. Z powodu tego listu był zły, może zdenerwowany albo przestraszony. Corinne musiała wywnioskować, że między listem a postanowieniem skontaktowania się z detektywem istnieje jakiś związek. A więc list dotyczył Corinne albo Violi, a przypuszczalnie ich obu.

Czy Corinne uznała, że za wszelką cenę musi dowiedzieć się, co jest w tym liście, zanim pułkownik będzie miał okazję porozumieć się z detektywem?

Ta teoria wydaje się sensowna. W każdym razie, myślał siedząc w ciemnościach, od czegoś trzeba zacząć. Dlaczego nie od tego?

Księżyc zaszedł za chmurę. Było zupełnie ciemno.

Callaghan słyszał pośród nocnej, wiejskiej ciszy szum pojazdów odjeżdżających podjazdem sprzed klubu. Żaden z nich nie przejechał obok niego. Za bramą skręcały w prawo, na równoległą do nadbrzeża drugorzędną drogę prowadzącą do Brighton. Domyślił się, że klub zamykano na noc. Ostatni klient odjechał.

Zapalił nowego papierosa. Nadszedł czas, żeby przystąpić do działania. Masz prawo się domyślać. A jeśli się pomylisz, to nie szkodzi - próbuj jeszcze raz. Uruchomił silnik, zawrócił i wjechał na podjazd. Zatrzymał się przed portykiem, wszedł po szerokich schodach, zadzwonił. Stał, rozluźniony, z papierosem w kąciku ust, w czarnym miękkim kapeluszu przekrzywionym zawiadaczająco na bakier; czekał na otwarcie z przyjaznym wyrazem twarzy.

Drzwi się otworzyły. Hol był nadal rześkie oświetlony, ale muzyka już ucichła i w domu panowała cisza. W drzwiach stał facet w alpakowym płaszczu. Był barczysty, miał pełną twarz bez wyrazu. Przyglądał się gościowi obojętnymi, rybimi oczyma. Callaghan pomyślał, że wygląda jak zawodowy bramkarz z pierwszej lepszej knajpy w okolicy Shaftesbury Avenue.

- Chciałbym rozmawiać z panem Donellym.

- Może by pan mógł, ale... już późno. Pan Donelly poszedł na górę, do siebie. Zresztą klub jest zamknięty. A co, jutro będzie gorszy dzień?

- O ile mi wiadomo, to nie - odparł wesoło Callaghan. - Ale dzisiejszy też nie jest najgorszy... jak dotąd. Idź i powiedz panu Donelly'emu, że pan Callaghan chce się z nim widzieć. Tylko pospiesz się.

Mężczyzna w alpakowym płaszczu przechylił się przez próg. Uśmiechnął się i w ogóle wyglądał na zadowolonego z życia.

- Patrzcie, patrzcie, to ci dopiero frant! Nie lubisz siebie, co? Zrób to! Zrób tamto! A może mi powiesz, dlaczego miałbym robić to, co mi każesz?

- To dobre pytanie - odparł Callaghan. - I powinno znaleźć odpowiedź. Jest ich wiele. A oto jedna z nich.

- I Callaghan wydmuchał obłok dymu w twarz mężczyzny.

Po czym błyskawicznie zrobił krok do tyłu, podniósł nogę, wycelował gdzieś poniżej pępka mężczyzny i pchnął mocno.

Mężczyzna padł plecami na podłogę holu. Callaghan wszedł do środka i cicho zamknął za sobą drzwi.

- Jak chcesz, to zaczynaj burdę, ale ja i tak zobaczę się z Donellym, choćbym ci przedtem miał wybić wszystkie zęby.

Alpakowy mężczyzna podniósł się ciężko z podłogi. Przyjrzał się Callaghanowi; zmierzył go od stóp do głów okiem profesjonalisty i powiedział:

- Dobra, powiem mu. Ale jeśli nie będzie chciał z tobą gadać, dam ci taki wycisk, że popamiętasz.

Odwrócił się, przeszedł przez hol i zniknął w słabo oświetlonym korytarzu po drugiej stronie holu. Callaghan zgasił papierosa i czekał.

Minęły dwie czy trzy minuty. Najpierw pojawił się alpakowy facet, za nim szedł wysoki szczupły mężczyzna. Podeszli do Callaghana.

Alpakowy facet powiedział:

- To ten. Nie znam go. Nie jest członkiem klubu. Ale wydaje mu się, że jest twardy.

Szczupły mężczyzna roześmiał się.

- Panie Callaghan, nie wiem skąd, ale mam wrażenie, że pana nazwisko nie jest mi obce. Proszę wybaczyć temu grubianinowi. Z natury jest bardzo podejrzliwy i nie lubi ludzi, którzy nie mają karty wstępu, a pchają się do klubu. Nazywam się Donelly. Zdaje się, że chciał pan ze mną mówić?

Callaghan pomyślał, że Donelly jest zbyt doskonały, żeby mógł być prawdziwy. Miał świetną figurę - gibką, wysmukłą. Jego twarz, z wyjątkiem może osobliwego napięcia mięśni wokół oczu - była wprost zabójczo przystojna. Usta, kości policzkowe i szczęki mogłyby z powodzeniem być dziełem artysty rzeźbiarza. Ten niemalże doskonały wizerunek bohatera romantycznego uzupełniały czarne falujące włosy i mały wymuskany wąsik. Tylko oczy były dziwne - jasnoniebieskie, pozbawione wyrazu.

- Zależało mi na spotkaniu szczególnie właśnie z panem - powiedział Callaghan uśmiechając się. - Myślę, że panu też, ponieważ jestem przyjacielem Corinne Alardyse.

Zapanowała cisza. A po chwili Donelly powiedział:

- Hm... to dziwne, bo ona nigdy mi o panu nie wspominała.

- To możliwe. Być może, należą do tych przyjaciół, których woli zachować w cieniu. Niewykluczone, iż w ogóle nie wie, że mnie zna. A mimo to, ja nadal jestem jej przyjacielem - na dobre i na złe. - Callaghan uśmiechnął się zuchwale.

- To bardzo interesujące - stwierdził zimno Donelly. - A właściwie, to o co tu...?

- Czy musimy rozmawiać w obecności tego gburą? - zapytał Callaghan wskazując mężczyznę w alpakowym płaszczu. - Nie zamierzam rozmawiać przy nim. Jeśli mamy mieć słuchaczy, mogę zaproponować lepsze miejsce.

- Czyżby? - rzucił Donelly niedbale. - Można wiedzieć, jakie?

- Sądzę, że biuro głównego inspektora policji w Brighton byłoby odpowiednie - odparł Callaghan z uśmiechem.

Mężczyzna w alpakowym płaszczu wycedził jadowitym tonem:

- Tu cię mamy. A nie mówiłem? Policyjny kapuś!

- Zamknij się, George - powiedział Donelly wesoło. - A mnie się podoba pan Callaghan. Chce rozmawiać, więc będzie. Proszę tędy, panie Callaghan.

Odwrócił się i przeszedł przez hol. Callaghan podążył z nim korytarzem wyłożonym dywanem do małego, dobrze urządzonego pokoju na końcu korytarza. W kominku jasno płonął ogień. Klub Mardene to kosztowny lokal, myślał Callaghan; widać tu grube pieniądze. Ciekawe, skąd pochodzą.

Donelly podszedł do szafki i zapytał:

- Whisky z wodą? Przepraszam za George'a. On ma uraz na punkcie późnych gości. Zdarza się, że czasem ktoś

nienależący do klubu chce wpaść na drinka. George tego nie lubi, bo to oznacza kłopoty z policją.

Podał szklanekę Callaghanowi i wskazał mu fotel. Callaghan usiadł myśląc jednocześnie, że pan Donnelly - mimo swego doskonałego wyglądu - to wyjątkowo zimny, sprytny i prawdopodobnie bardzo niebezpieczny osobnik.

Donnelly zamieszał drinka dla siebie i też usiadł.

- No... to wypijmy za nasze zdrowie. W czym kłopot? Jeśli jest oczywiście jakiś kłopot.

- Postaram się mówić jak najkrócej. Jestem prywatnym detektywem. Przyjechałem do Alfriston, ponieważ pułkownik Stenhurst zamierzał mnie zatrudnić. Jak pan wie, on nie żyje. A teraz pracuję dla jego rodziny i wydaje mi się, że pan mógłby wyjaśnić pewną drobną sprawę.

- A więc pracuje pan dla rodziny... - powiedział Donnelly. - Co to wszystko ma znaczyć?

- To nieważne, ponieważ bez względu na to, co to znaczy, fakty pozostają faktami. A oto one. Dotyczą również pana. W czwartek wieczorem po kolacji pułkownik Stenhurst zadzwonił do mojego biura. Chciał rozmawiać ze mną osobiście i prosić mnie, abym jak najszybciej do niego przyjechał. Powiedziano mu, że nie ma mnie w biurze, ale jeśli ma pilną sprawę, może zadzwonić do mnie pod inny numer. Ktoś słuchał tej rozmowy. Ten ktoś to, moim zdaniem, panna Corinne Alardyse. Domyśliła się, że pułkownik będzie później jeszcze raz do mnie dzwonił i - z powodów sobie tylko znanych - postanowiła do tego nie dopuścić. W każdym razie, nie wtedy. Myślę, że chciała zyskać na czasie. Mniejsza o to. Albo sama tu przyjechała, albo zadzwoniła do pana z prośbą, aby pan się tym zajął. Powiedziała panu, gdzie będę. Pan rozmawiając z Tonym Empli, obecnie Charlie Maysinem, dowiedział się, że zna on pewną kobietę, La Valiere, która jest członkiem klubu, gdzie miałem wtedy być. La Valiere zaprawiła mi whisky tak, że nie byłem w stanie odebrać telefonu. Czy do tej pory wszystko jest jasne?

- Absolutnie. Proszę mówić dalej. Muszę przyznać, że to, co pan mówi, jest wprost pasjonujące.

- Cieszy mnie to. Następnego dnia linia telefoniczna w Dark Spinney została uszkodzona. Przypuszczam, że została przecięta. W każdym razie, ponieważ nie mogłem rozmawiać z pułkownikiem przez telefon, postanowiłem tutaj przyjechać. Niestety... znów nie mogłem z nim porozmawiać. Ponieważ jak przyjechałem, on już nie żył.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że pułkownik doszedł do wniosku, iż woli raczej popełnić samobójstwo, niż spotkać się z panem Callaghanem? - Donnelly uśmiechnął się złośliwie, pokazując przy tym równe, białe zęby.

- Sądzi pan, że on popełnił samobójstwo?

- Czyżby było inaczej?

- W tej chwili nie ma to znaczenia. Ważne jest natomiast pytanie: kto wpadł na pomysł, żeby nie dopuścić do rozmowy pułkownika ze mną w ubiegły wtorek? Ciekaw jestem, czyj to był pomysł, pana czy Corinne Alardyse?

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - odparł Donnelly pogodnie. - Ja po prostu nie wiem, o czym pan mówi. W życiu nie słyszałem podobnych bzdur. Skąd pan wziął tę śmieszna historię?

- Po pierwsze, od La Valiere, następnie od faceta, do którego dzwonił Empli, niejakiego Grellina, wreszcie od samego Empli - wyrecytował gładko Callaghan. - Empli powiedział mi nie dalej zresztą jak dziś wieczorem, że działał zgodnie z pana instrukcjami. No więc?...

- Empli to głupiec. Będę musiał z nim poważnie porozmawiać. Napije się pan?

- Nie, dziękuję. A jeśli chodzi o Empli, nie będzie pan już miał okazji z nim rozmawiać. Nie sądzę, żeby tu gdzieś jeszcze był. - I Callaghan uśmiechnął się pogodnie.

Donnelly podszedł do szafki i przygotował sobie następnego drinka. Callaghan zauważył na jego twarzy mroczny cień.

- Mam coś na Empli. I mógłbym się postarać to wyciągnąć. To paskudny typ, nędzny pasożyt wykorzystywany przez takich jak pan w interesach takich jak ten. Ostrzegłem go, że jeśli go tu jeszcze spotkam, postaram się, żeby znalazł się za kratkami. I nie żartowałem.

Donelly oparł się o szafkę i powiedział z lekkim uśmieszkiem:

- Coś mi się zdaje, że pan Callaghan potrafi być twardy, jeśli chce. Straszysz mnie pan?

- Myśli pan, że mi na tym zależy? - Callaghan zaciągnął się dymem. - Jeśli muszę, umiem być twardy. A teraz nawet jeszcze nie zacząłem. Ale skoro pan sobie życzy...

Donelly wypił swoją whisky.

- To bardzo miło z pańskiej strony, że tak się pan interesuje moimi prywatnymi sprawami. Ale będąc na pańskim miejscu, nie robiłbym tego.

- Nie? A co mi pan robi, jeśli nie przestanę się interesować?

- Jeszcze nie wiem. Ale bądź pan spokojny, znajdę skuteczny sposób. W każdym razie, nie zamierzam dać się zastraszyć jakiemuś pierwszemu lepszemu pętałowi zwanemu prywatnym detektywem, który próbuje wyciągnąć trochę szmalu, wtykając nos w nie swoje sprawy. - Po tych słowach Donelly podszedł do kominka i nacisnął dzwonek.

Callaghan nie odezwał się. Zapalił nowego papierosa i z całym spokojem zaciągnął się dymem. Pojawił się alpako- wy facet. Donelly, wskazując na Callaghana rozkazał:

- George... możesz zrealizować swoje marzenie. Wyrzuć go!

George uśmiechnął się

- Już się robi. Wiedziałem, że to policyjny kapuś. No, jazda chłopie. - I ruszył w stronę Callaghana.

W następnej chwili wydarzyło się wiele rzeczy jednocześnie. Kiedy George wyciągnął swoją wielką łapę, żeby chwycić Callaghana za kołnierz, Callaghan w tym samym momencie złapał go - z pozoru bardzo delikatnie - za nadgarstek. George zesztyniał. Po chwili zaczął wyć. A kiedy Callaghan, nie ruszając się z fotela mocniej ścisnął nadgarstek George'a, wycie zamieniło się w skowyt. Po twarzy George'a spływał pot. Ugięły się pod nim kolana.

Callaghan wstał. Puścił nadgarstek mężczyzny i zanim ten zdążył zorientować się, co się dzieje, wymierzył mu zgrabny, krótki cios w żołądek; po czym, gdy George leciał głową do przodu, poprawił ciosem w usta. George stracił dwa zęby i z rozkrwawionymi wargami opadł na podłogę i stracił przytomność.

- Kiepski ten twój George, Donelly. Powinieneś sobie sprawić lepszego wykidajkę.

- Panu się wydaje, że taki z pana cholerny cwaniak, co, panie Callaghan? Myśli pan...

- Do tej pory myślałem, teraz zaczynam wiedzieć to i owo. Dobranoc, Donelly.

Callaghan zrobił krok nad rozciągniętym ciałem George'a, którego schludny alpakowy płaszcz był z lekka poplamiony krwią; otworzył drzwi i wyszedł.

Minął korytarz, potem hol i wyszedł frontowymi drzwiami. Wsiadł do samochodu i powoli ruszył podjazdem, następnie skręcił w kierunku Alfriston.

Zza chmur wyjrzał księżyc. Było chłodno, ale dzięki blaskowi księżycy, pogodnie.

Lagonda z cichym pomrukiem silnika sunęła drogą. Wiatr kłuł Callaghana w twarz. Blask księżycy wysrebrzał! pastwiska upodabniając je do krajobrazu z pocztówek Bożonarodzeniowych.

Teraz musi się coś zdarzyć, myślał Callaghan. Donelly, mimo wyglądu amanta, ma głowę na karku. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby jej użyć. A przecież na niekonwencjonalne pytanie, dlaczego Corinne tak zależało na odsunięciu spotkania detektywa z pułkownikiem, mógł wymyślić zupełnie proste wyjaśnienie. Można było przedstawić z pół tuzina całkiem niewinnych powodów.

Donelly nie potrudził się, aby skłamać. Właściwie nawet nie okazał zainteresowania pytaniem. Wysiłił się tylko na nieuprzejme zaprzeczenie, to wszystko. Był więc przekonany o swojej silnej pozycji; że ma mocne karty, że jest w porządku i w każdym razie nie ma się czego obawiać.

A jednak coś będzie musiał zrobić. Cokolwiek. Nawet

jeśliby to miało być tylko telefoniczne ostrzeżenie Corinne, aby była ostrożniejsza.

Biorąc wszystko pod uwagę - podsumował Callaghan - był to przyjemny wieczór.

Kwadrans po jedenastej Callaghan otworzył boczne drzwi hotelu Pod Dwoma Mnichami i wszedł na górę do swojego pokoju. Otworzył drzwi saloniku i z uśmiechem dostrzegł pannę Patrycję Alardyse siedzącą w fotelu obok kominka.

Patrycja wystroiła się na tę okazję. Miała wełniane żakiet i spódnice, zgrabne buty z niewyprawionej skóry, mały wełniany kapelusik nasunięty na jedno oko. Na drugim fotelu leżał tweedowy płaszcz.

- Co za miła niespodzianka. Jak dawno tu jesteś? I jak się tu dostałaś? - powitał ją Callaghan.

- Zdażyłam jeszcze przed zamknięciem bocznych drzwi. Wślizgnęłam się i poszłam prosto na górę. Wiedziałam, że w hotelu mają tylko jeden apartament, i domyśliłam się, że ty go dostałaś. Po prostu usiadłam i czekałam. Musiałam. Za chwilę wybuchnie tu bomba.

- A to dlaczego?

Patrycja zniżyła głos:

- Slim, znalazłam ten list.

- Dobra robota, Patrycjo. Gdzie go znalazłaś? U Corinne?

Skinęła głową.

- Tak. To okropne, Slim. Nie wiem, co zrobimy, jeśli to prawda, ale...

Gdzie był schowany? I jak go znalazłaś?

- Corinne wieczorem wyjechała. Widziałam przez okno, jak brała samochód z garażu. Ma Forda 10, wersję turystyczną, który otrzymała na urodziny od Violi. W baku było około galona benzyny, więc gdy zobaczyłam, że dolewa jeszcze jedną bańkę, domyśliłam się, że nie będzie jej dłużej. Daj mi papierosa, Slim.

Podał jej papierosa i zapalił. Patrycja mówiła dalej:

- Wślizgnęłam się do jej pokoju... mam klucz... i podeszłam do małego, starego biurka, stojącego w kacie. Są tam dwie boczne szuflady. Jedna ma podwójne dno. Wiedziałam o tym, bo już tam kiedyś węszyłam. Szuflady były zamknięte, ale udało mi się je otworzyć przy pomocy noża do papieru. List był w szufladzie z podwójnym dnem. Został wcisnięty pod pierwsze dno. Zaadresowany był do Gervase'a, a nadano go w Brighton, w poniedziałek wieczorem.

Otworzyłam go, przeczytałam i omal nie padłam z wrażenia. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest to prawdziwy worek z niespodziankami.

Otworzyła brązową, skórzaną torebkę, wyjęła kopertę i podała ją Callaghanowi.

- Czytaj...

Callaghan obejrzał kopertę. Nosiła stempel „Brighton” i datę z ubiegłego poniedziałku. Zaadresowana była na maszynie. Pułkownik Gervase Stenhurst, Dark Sinney, Hangover koło Alfriston.

Otworzył kopertę i wyjął z niej złożoną kartkę białego papieru maszynowego. Zaczął czytać.

Szanowny panie pułkowniku!

Sądzę, że nadszedł czas, aby pan, jako jeden z opiekunów majątku Dark Spinney, dowiedział się, że aktualna spadkobierczyni - panna Viola Alardyse - wyszła za mąż 23 sierpnia 1939 roku w Urzędzie Stanu Cywilnego w Kensington przy Marloes Road, za pana Ruperta Ellinghama Sharpama.

W świetle powyższego, jest rzeczą oczywistą, że prawo do dziedziczenia majątku i dochodów z umowy powierniczej powinny być odebrane panie Violi Alardyse z dniem jej ślubu i przekazane - zgodnie z poleceniem zawartym w testamencie pani Stenhurst - panie Corinne Alardyse, która przez blisko sześć lat była pozbawiana należnego jej dziedzictwa.

Kiedy pan już przemyśli te informacje i podejmie odpowiednie kroki, być może zatelefonuję do pana.

Przyjaciel rodziny

- No i co? Nie miałam racji, że to worek z niespodziankami?

- Jestem skłonny zgodzić się z tobą. Poczekaj chwilę.

Poszedł do sypialni i zaraz wrócił z maszyną do pisania i kwadratowym szkłem powiększającym. Położył anonim na stole, a na nim szkło powiększające. Wziął arkusz papieru i spisał wszystkie te litery, które się czymkolwiek różniły od pozostałych. I tak „a” było lekko zniekształcone z jednej strony, „t” opadało nieco poniżej linii, literki „r”, „e”, „i” kładły się w lewo lub w prawo, co było widoczne przy powiększeniu. Callaghan pisał przez kilka minut. Potem wziął arkusz papieru, wkręcił do maszyny, usiadł i przepisał anonim. Gdy skończył, oryginał włożył do koperty i zwrócił Patrycji.

- Wracaj jak najszybciej do Dark Spinney. Połóż list tam, skąd go wzięłaś, zanim Corinne wróci do domu. Pospiesz się, Patrycjo.

Patrycja wstała, włożyła płaszcz i powiedziała:

- Dobrze, Slim. Ale, na miłość boską, pilnuj Violi, dobrze? Ależ wpakowała się w kabałę. Nikt z nas przez te wszystkie lata nawet się nie domyślał.

- Dobrze... dobrze... ale teraz już leć.

Stojąc w drzwiach powiedziała bez tchu:

- Jeśli to prawda, Viola będzie splukana. Po prostu splukana. Zostanie bez grosza. Nawet ty możesz nic nie dostać...

- Pospiesz się. Agencja Detektywistyczna Callaghana nigdy nie martwi się o pieniądze... no, w każdym razie... nie za bardzo... - uśmiechnął się - zadzwoń do mnie jutro rano. Tylko nie z domu.

- Dobrze, to na razie, Slim.

I zniknęła.

Callaghan spojrzął na zegarek, następnie poszedł do szafki i wyjął bumelkę whisky. Przytknął szyjkę butelki do ust i pociągnął Spory łyk. Zapalił papierosa.

W sumie, to był bardzo przyjemny wieczór, pomyślał.

Próba sił

Zegar na kościele w Hangover wybił za kwadrans dwunastą, gdy Callaghan otworzył zieloną furtkę w murze okalającym Dark Spinney. Wszedł w alejkę, cicho zamykając za sobą furtkę. W odległości paru kroków dostrzegł Violę idącą w jego kierunku. Była w futrze i szalu na głowie.

Callaghan pomyślał: wpadłaś w niezłą kabałę, moja śliczna, i zdaje się, że to cię gnębi. Ciekawe, dlaczego, do licha, to zrobiłaś? Czyżby Sharpham coś na ciebie miał? A może wiedział? Tak czy tak, jeśli nie będziesz miała szczęścia, przepadłaś.

Głośno zaś powiedział:

- Przyjemny wieczór, prawda? Zimny. Ale romantyczny. - Uśmiechnął się do niej. - W taką noc na ogół coś się zdarza.

- Jak na mój gust, za dużo już się wydarzyło, panie Callaghan. Chodźmy do domu, chciałabym z panem porozmawiać.

Podążył za nią zwirowaną alejką do bocznego wejścia. Przeszli przez hol, potem korytarzem do pokoju, gdzie wcześniej rozmawiał z panną Wymering. W kominku wesoło płonął ogień.

- Jeśli ma pan ochotę, na barku jest whisky i papierosy.
- Viola zrzuciła futro.

Pod spodem miała domową suknię z aksamitu w kolorze gołębioszarym z wiśniową szarfą, na nogach atłasowe pantofelki na wysokim obcasie. Callaghan zapalił papierosa.

Patrzył na nią przez płomień zapalniczki, myśląc - wspa-
niała z ciebie babka. Masz wszystko. Niestety, ani wygląd,
ani majątek nie na wiele ci się zdadzą. To dziwne, ale bar-
dzo mi cię żal.

- No więc, o czym będziemy rozmawiać panno Alardy-
se?

- Już mam dość tych wszystkich kłamstw i udawania.
Nie wiem, co zrobić. W ciągu ostatnich paru dni tak się
martwiłam, iż myślałam, że zwariuję.

- Proszę usiąść i odprężyć się. Nigdy nie jest tak źle, że-
by nie mogło być gorzej.

Potrząsnęła głową i powiedziała cicho:

- Nie sędzę. Nie sędzę, żeby mogło być gorzej, niż jest.
Z własnej winy znalazłam się w straszliwym położeniu i nie
sędzę, żeby było jakieś wyjście.

- Musi pani wierzyć, że jest! W przeciwnym razie nie
rozmawiałaby pani ze mną. Ludzie nie rozmawiają z pry-
watnymi detektywami, jeśli wierzą, że sami potrafią wyjść z
tarapatów. Tylko wtedy, gdy szukają wyjścia i nie mogą
znaleźć sami, do akcji wkraczamy my.

Usiadła skrzyżowawszy nogi, i znużonym gestem oparła
jasną głowę na oparciu fotela.

Callaghan z uznaniem odnotował, że ma piękne stopy i
kostki. Małe, kształtne stopy, wspaniale ukształtowane
kostki. Została wyposażona we wszelkie zewnętrzne atry-
buty dobrego urodzenia, z których żaden, niestety, nie miał
w tym momencie praktycznej wartości.

Jej piękne oczy patrzyły poważnie wprost w jego twarz.
Domyślał się, że zapewne rozważa teraz, czy może zaryzy-
kować i powiedzieć mu wszystko. Czy, jeśli powie, nie po-
padnie w nowe tarapaty. Podszedł do kominka. Stał
naprzeciw niej z łokciem wspartym o kominek; stał z pa-
pierosem w kąciку ust i przyglądał się dziewczynie.

- Panie Callaghan, muszę coś zrobić i to szybko.
Zwłaszcza po śmierci ojczyma stało się to konieczne. Ale
nie mam najmniejszego pojęcia, co mam zrobić. Nie mogę
już myśleć. Głowa mi od tego pęka. Oddaję się w pana ręce
w nadziei, że w ten sposób uda mi się uniknąć skandalu. To

jedyne, co mogę zrobić. I wcale nie jestem pewna, czy dobrze robię. Nie wiem, czy mogę panu zaufać.

Callaghan uśmiechnął się:

- Rozumiem. Nie wie pani, czy może mi zaufać, ale jest pani w tak trudnej sytuacji, że musi zaryzykować.

Szuka pani wyjścia z trudnej sytuacji i zamierza ze mną rozmawiać tylko dlatego, że nie ma pewności, czy może mi zaufać.

- Nie rozumiem.

Wzruszył ramionami.

- Gdyby pani mi zaufała, mogłoby to oznaczać, że wie pani o mnie wszystko. Gdybym się domyślał, że pani wie o mnie wszystko, i uważa mnie za tego, któremu można zaufać, szybko by się pani przekonała, że wcale się dla pani nie nadaję. A to dlatego, że nie jestem człowiekiem, któremu można w pełni zaufać, że jeśli trzeba, ryzykuję, że zrobiłbym to, czego żaden z pani godnych zaufania przyjaciół nie miałby odwagi zrobić. I właśnie dlatego siedzimy tutaj i rozmawiamy.

- Być może - odparła. - Chociaż ciotka Honoria ufa panu. Lubi pana. A jeśli chodzi o mnie... cóż, to przecież nie jest ważne, czy pana lubię czy nie.

Callaghan uśmiechnął się i stracił popiół z papierosa w ogień kominka.

- Nie, właściwie to nie ma znaczenia. Chociaż kto wie. A naprawdę liczy się tylko to, czy ja panią lubię.

Poruszyła się, trochę zaniepokojona, i spytała:

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami i odparł niedbałym tonem:

- Gdybym pani nie lubił, nie podejmowałbym ryzyka pracy dla pani. Ktoś musi zaryzykować. Ale w pani przypadku ten problem nie istnieje, bo lubię panią. Są chwile, kiedy jest pani cholernie nierozsądna, ale wszystkie kobiety bywają od czasu do czasu nierozsądne. Przystąpmy więc do sprawy. Proszę zapalić papierosa, będzie pani łatwiej mówić.

Dał jej papierosa i przypalił.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, potem Viola zaczęła mówić.

- Powiem panu wszystko. Tuż przed wojną, w 1939 roku pojechałam do Londynu na miesięczne wakacje. Jeśli powiem, że byłam niedoświadczoną, młodą kobietą, to zapewne teraz zabrzmiałoby to śmiesznie. Kiedy jeszcze żyła matka, wiodłam życie, które można by nazwać samotniczym.

- Doprawdy?

- W Londynie poznałam pewnego mężczyznę. Był to Rupert Sharpham. Wydał mi się czarujący i niezwykły. Teraz już wiem, że nie kochałam go, jednakże szalenie mnie fascynował. Trudno to wytłumaczyć, ale byłam całkowicie zdominowana przez jego osobowość.

- To się zdarza. Rozumiem.

Zawahała się przez moment, a potem ciągnęła dalej:

- Wyszłam za niego w tydzień później. Jeden Bóg wie, dlaczego. Kiedy teraz wracam myślami do tamtych dni, wydaje mi się, że byłam chyba szalona. Wzięliśmy ślub po południu, a w godzinę później wróciłam do domu. Umówiliśmy się, że spotkamy się w Londynie za dwa tygodnie.

- Proszę mi powiedzieć... czy jak pobieraliście się, Sharpham wiedział wszystko o pani i jej rodzinie? Czy wiedział, że była pani główną spadkobierczynią i że pewnego dnia będzie pani miała duży majątek?

- Nie, nie powiedziałam mu tego.

- Dlaczego?

- Może to zabrzmiałoby dziwnie, ale widzi pan, moja matka była bardzo nieszczęśliwa w swoim drugim małżeństwie. Sądzę, iż uważała, że ojczym poślubił ją dla pieniędzy. Stała się cyniczna i zgorzkniała. Zawsze powtarzała, że to nieszczęście dla dziewczyny, jeśli ma pieniądze. Pieniądze bowiem przyciągają nieodpowiedni typ mężczyzn.

- Rozumiem. Postanowiła pani nie mówić Sharphamowi, a on, mimo iż wiedział, że pani nie ma pieniędzy, nadal pragnął, żeby pani za niego wyszła?

Skinęła głową.

- I co dalej?

- Nigdy więcej już go nie widziałam. Tydzień później wybuchła wojna. On sam natychmiast zgłosił się do RAF-u. Był pilotem. Zginął w 1944 roku, dwa tygodnie po śmierci mojej matki.

- Rozumiem. A więc w chwili śmierci pani matki, była pani zamężna?

Skinęła głową.

- Na tym właśnie polega cały problem - odparła zniechęconym głosem.

Spoglądając na żarzący się koniec swojego papierosa, Callaghan powiedział:

- Nie musi mi pani mówić o testamencie. Znam go. Czytałem. W gruncie rzeczy odziedziczyła pani majątek, zatajając prawdę, albowiem w chwili śmierci matki, kiedy jej testament wchodził w życie, była pani zamężna, chociaż mąż zmarł dwa tygodnie później. Nieważny jest również fakt, że pani z nim nie żyła. Liczy się zawarty związek małżeński.

Skinęła głową.

- Niestety, kiepsko to wygląda, prawda?

- No, nie najlepiej.

- Pewnie źle pan o mnie myśli, ale niech pan się postara zrozumieć. Jak już wspomniałam, byłam niedoświadczona i głupia. W 1943 roku matka spisała swoją ostatnią wolę, w której wyraźnie postanowiła, że gdybym w chwili jej śmierci była zamężna, majątek należy przekazać Corinne, ja natomiast będę dostawać jedynie trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie. Natychmiast po śmierci matki - kiedy formalnie dowiedziałam się o istnieniu jej ostatniej woli - usiadłam i napisałam do mojego męża. Był wtedy w obozie jenieckim we Włoszech. Napisałam mu o wszystkim i o tym, że ponieważ wyszłam za niego za mąż, będę miała tylko trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie.

- Czy dostała pani odpowiedź na ten list?

- Nie, nigdy nie dostałam od niego żadnej wiadomości.

W miesiąc po śmierci mojej matki dostałam zawiadomienie, że zginął w czasie ucieczki z obozu jenieckiego.

- Dziwny typ z tego Sharphama. Chociaż... może nie taki znowu dziwny.

- Istnieje prawdopodobieństwo, że kiedy spotkaliście się przed wojną w Londynie, on wiedział, kim pani jest, a także wiedział o istnieniu testamentu. Miał nadzieję, że pewnego dnia odziedziczy pani ten majątek. I założę się, że był zawiedziony, gdy się dowiedział, że przez małżeństwo z nim nie będzie pani dziedziczyć. Na pewno mu się to nie podobało - Callaghan uśmiechnął się złośliwie.

- Nie wiem. Ja tak mało go znałam.

- Oczywiście, nie mogła pani o nim wiele wiedzieć. A co było potem? Staliśmy na tym, że w dwa tygodnie po śmierci pani matki w 1944 roku, przypuszczalnie jeszcze zanim nastąpiło poświadczenie autentyczności testamentu na pani korzyść, pani mąż został - zabity. Postanowiła pani, że skoro on nie żyje, nie ma sensu wywoływać wilka z lasu i przyjęła Dark Spinney. Tak było?

- Nie. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Nie wątpię, że uważa mnie pan za okropną egoistkę i że zataiłam prawdę tylko dlatego, żeby odziedziczyć Dark Spinney i pieniądze. Ma pan pełne prawo tak myśleć.

- Rzecz nie w tym, co ja myślę, ale w tym, jaka jest prawda. Naturalnie - Callaghan spojrzął na dziewczynę z boku - mogła pani mieć jak najbardziej słuszny powód, żeby zataić przed opiekunami fakt, że była pani zamężna w chwili śmierci matki.

- Powiedziałam im... a właściwie jednemu z opiekunów. Callaghan uniósł brwi.

- O, nie! - wykrzyknął. Skinęła potwierdzająco głową.

- Powiedziałam ciotce, która wraz z pułkownikiem i adwokatem matki należy do rady opiekuńczej. Wyznałam, że w chwili śmierci matki byłam zamężna i nie miałam prawa dziedziczyć. Że to prawo przechodzi na Corinne. Wszystko powiedziałam.

- To musiała być dla niej nowina! Jak zareagowała?

- Błagała mnie, żebym się nie przyznawała... żebym nic nie mówiła. Oświadczyła, że najważniejsze, żeby posiadłość

i pieniądze przypadły mnie. Wprawdzie formalnie byłam mężatką, ale faktycznie nią nie byłam. Gdyby mój mąż został zabity trzy tygodnie wcześniej - tydzień przed śmiercią matki, zamiast dwa tygodnie po jej śmierci - byłabym w pełni uprawniona do dziedziczenia.

- Czy to był jedyny argument, jaki ciotka pani wysuwała?

Viola pokręciła przecząco głową.

- Nie. Drugi, o wiele istotniejszy argument dotyczył Corinne.

- A co Corinne miała z tym wspólnego?

- Corinne to dziwna dziewczyna. Nie jest do nas podobna. Zawsze trochę niekonwencjonalnie traktowała mężczyzn. Miała wiele przygód, niekiedy z podejrzanymi typami. Nie wyobraża pan sobie, jak ciotce trudno jest ją upilnować. Kiedy powiedziałam ciotce, że jestem zamężna, ciotka orzekła, że za żadną cenę nie można dopuścić do tego, aby Corinne dostała Dark Spinney i pieniądze.

- Chyba rozumiem. Inaczej mówiąc, panna Wymering wiedziała dość o Corinne, aby mieć pewność, że Corinne wszystko by zaprzepaściła.

- Właśnie tak samo myślała ciotka. Uważała, że dla Corinne będzie lepiej, jeśli wszystko zostanie po staremu. Najwyżej mogę jej dorzucić od siebie jakąś pensję. I że tak dla nas wszystkich będzie najlepiej. Robiłam, co mogłam, żeby jej się nie działo krzywda - mówiła Viola zgnębionym tonem. - Dawałam jej pieniądze, samochód, wszystko, czego tylko zapragnęła. Myślałam, że postąpiłam słusznie. Przysięgam Bogu, że żałuję.

- Ktoś kiedyś powiedział, że piekło jest wybrukowane dobrymi intencjami - powiedział Callaghan z uśmiechem. - Żadna z was - ani pani, ani panna Wymering - nie kierowałyście się złymi intencjami. Tyle, że działałyście niezgodnie z prawem, bez względu na motyw. A swoją drogą, ciekawe, jak by zareagowała Corinne, gdyby wiedziała. Mogłaby uznać, że ją okradłyście.

- Nie, nie myślałaby tak - powiedziała Viola półgłosem.

- Nie zna pan jeszcze dalszego ciągu.

Callaghan wrzucił niedopałek do ognia.

- A więc jest jeszcze dalszy ciąg. Chętnie bym się napił, jeśli pani pozwoli. - Podeszedł do barku; zmieszał whisky z wodą sodową, zapalił nowego papierosa i wrócił przed kominek. - Posłuchajmy więc, co było dalej.

- Gdzieś tak w marcu 1945 roku, w ostatnim roku wojny, przysłała do mnie Corinne, bardzo podekscytowana... jeśli Corinne zdolna jest naprawdę do ekscytacji. W czasie wojny Corinne pracowała w Domu dla Rekonwalescentów RAF-u, w pobliżu Hurstmonceaux. Należała do Kobiecego Ochotniczego Oddziału Pomocniczego. W tym domu spotkała mężczyznę, który był w obozie jenieckim we Włoszech razem z Rupertem Sharpem. Ten mężczyzna uciekł z obozu razem z moim mężem i po jego śmierci udało mu się przedostać do naszych. Powiedział Corinne, że wie o moim małżeństwie z Rupertem. Wiedział wszystko o naszym związku. Oświadczył jej, że jeśli nie dostanie pieniędzy, i to dużych pieniędzy, opowie wszystko radzie opiekuńczej.

Callaghan puścił kółko z dymu i powiedział:

- Klamka zapadła. A jak to wszystko przyjęła Corinne?

- Jej stanowisko zaskoczyło mnie. Spodziewałam się, że będzie wściekła, a tymczasem nie tylko się nie złościła, ale po raz pierwszy w życiu była dla mnie bardzo miła. Oświadczyła, że nieważne, co było, ten człowiek musi milczeć. Wcale jej nie zależy na posiadłości i pieniądzach. Byłam przecież dla niej taka szczodra. Przede wszystkim nie można pozwolić, żeby taki skandal wyszedł na jaw i żeby dowiedział się o tym ojczym. Za wszelką cenę nie wolno do tego dopuścić.

- I zaczęła pani płacić?

Spojrzała w ogień. W jej oczach znowu błysnęły łzy.

- Zaczęłam płacić. I od tamtej pory płacę. Ostatnio jego wymagania coraz bardziej rosną. Corinne występuje w roli łącznika między nami. Daję jej pieniądze, a ona przekazuje jemu. - Westchnęła. - Od dawna spodziewałam się, że coś się musi stać.

- A co się stało?

- Nie mogę dalej tego ciągnąć. W wieczór poprzedzający śmierć pułkownika, jeszcze przed tą sceną przy stole, rozmawiałam z Corinne. Powiedziała mi, że on domaga się znów większej sumy. Wtedy oświadczyłam, że mam już dosyć, jestem zmęczona tą całą historią. Postanowiłam powiedzieć o wszystkim ojczymowi. Zapukałam do drzwi jego gabinetu, ale on był zły i zdenerwowany, więc zrezygnowałam. A następnego dnia już nie żył. Potem rozmawiałam z Corinne. Powiedziałam, że nie mogę tego dłużej ciągnąć i że zamierzam wyznać wszystko ciotce Honorii. Naturalnie, rozumie pan, że przez cały czas musiałam ukrywać, że ciotka już wie. Jej reakcja była zdumiewająca.

- Co powiedziała?

- Powiedziała, że taka sytuacja, jaka jest, odpowiada jej jak najbardziej i że wcale nie chce jej zmieniać. Ostrzegła mnie, że jeśli powiem opiekunom, ona zaprzeczy, jakoby cokolwiek o tym wiedziała. A wreszcie, że przez wszystkie te lata ją okradałam. Nie mogę jej pojąć.

- Może uważa, że lepiej na tym wychodzi, jeżeli nic się nie zmienia. Ale panią to stawia w przykrej sytuacji.

Callaghan rzucił niedopałek papierosa do ognia. Do końca whisky i usiadł na osłonie kominka.

- Cieszę się, że powiedziała mi pani całą prawdę, bo wiedziałem tylko niewielką część.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Wiedział pan? Skąd?

Callaghan włożył rękę do kieszeni i wyjął napisaną na maszynie kopię listu.

- Kiedy pułkownik dzwonił do mnie na dzień przed śmiercią, wspomniał o liście, który otrzymał. Z całą pewnością list ten miał coś wspólnego z kłótnią przy stole. Zapewne nadszedł późniejszą pocztą i pułkownik w drodze do swojego pokoju wziął go ze stolika w holu. Tak się składa, że wiem, co zawiera ten list. Mam jego kopię. Proszę. - Wręczył jej kartkę papieru.

Viola szepnęła:

- Mój Boże... więc on wiedział?

- Tak, ale nie zdążył nikomu powiedzieć. Teraz już nie powie.

- To prawda. Panie Callaghan, w jaki sposób udało się panu zdobyć ten list?

Callaghan pomyślał szybko, a potem zaczął kłamać ze szczerością, którą potrafił przywołać na każde zawołanie.

- Pułkownik był sprytniejszy, niż sądziliście. Kiedy po raz drugi zadzwonił i nie udało mu się ze mną skontaktować, włożył ten list do koperty i wysłał na mój biurowy adres. List otrzymałem następnego dnia po południu.

- Posiada więc pan oryginał?

- Tak, mam go w sejfie w biurze. Czy teraz pani rozumie, w jak paskudnej sytuacji się znalazła? Niezależnie od spraw związanych z majątkiem.

Viola zeszczywniała.

- Myśli pan, że...

Callaghan wstał. Patrzył teraz na nią z góry.

- Jeszcze pani nie rozumie, jak to się wszystko sumuje? Jest pani osobą posiadającą doskonały motyw, aby pragnąć usunięcia pułkownika ze swej drogi. Zakładając, oczywiście, że znała pani treść tego listu. Sęk w tym, że ktoś inny zadał sobie trud usunięcia go.

- Ale ja nie znałam treści tego listu. Skąd mogłam wiedzieć?

- Ja pani wierzę, ale znajdują się tacy, którzy nie uwierzą. Którzy będą przekonani, że pułkownik natychmiast po otrzymaniu listu przeprowadził z panią rozmowę. - Uśmiechnął się. - Dobrze się jednak stało, że zabrałem tę pani chusteczkę.

Viola wstała. Patrząc na niego, powiedziała wolno:

- Ale nie myśli pan chyba...

- Nie, ja nie myślę, ale co pomyśli ława przysięgłych?

Viola zachwiała się lekko. Callaghan podszedł do barku, nalał trochę whisky z wodą sodową i podał jej.

- Proszę to wypić.

Wzięła szklankę i napiła się trochę.

- W porządku, zajmę się pani sprawą, ale pod jednym warunkiem. Będzie pani robiła dokładnie to, co powiem.

Musimy rozegrać to bardzo ostrożnie, w przeciwnym razie drogo za to zapłacimy. Nie wolno pani nikomu nic mówić.

- Ale co się stanie? Co...? - spytała szybko.

Callaghan uśmiechnął się.

- Stanie się wiele rzeczy, mam nadzieję, że stanie się coś po mojej myśli. A od pani wymagam jedynie, aby zachowała pani spokój. Proszę też nie płacić więcej temu szantażyście. I nie przejmować się jego bezwzględnością i pogrozkami. Kiedy Corinne powie, że on domaga się pieniędzy, pani odpowiedź powinna brzmieć: nic z tego.

- Zrobię, jak pan mówi. Ale przypuścimy, że on zrealizuje swoje pogrozki i zacznie mówić...

Callaghan oświadczył spokojnie:

- Nie będzie mówić.

Przez chwilę milczała, a potem powiedziała:

- Cokolwiek pan zrobi, pewnego dnia i tak to wyjdzie na jaw. Musi.

Skinął głową.

- Możliwe, że pewnego dnia tak się stanie. Oliwa zawsze na wierzch wypływa, ale możemy się postarać, żeby to się stało wtedy, kiedy my będziemy chcieli.

- Gdy to nastąpi, panie Callaghan, nie będę miała pieniędzy. A przypuszczam, że jest pan drogiem detektywem.

- Nawet pani sobie nie wyobraża, jak! Każę sobie słono płacić za swoje usługi, panno Alardyse.

- Skąd pan wie, że otrzyma pan honorarium? - zapytała żalonym tonem.

- Nie wiem - uśmiechnął się do niej. - Potraktuję to jako zajęcie ekstra w czasie urlopu. A poza tym, lubię panią.

- To miło z pana strony. A jeśli nie otrzyma pan żadnych pieniędzy?

Callaghan wyciągnął rękę, ujął dziewczynę pod brodę, uniósł jej twarz ku górze i pocałował w usta.

- Niech to będzie zaliczka. Dobranoc. I proszę się nie martwić. Agencja Detektywistyczna Callaghana nigdy nie zawodzi swoich klientów... no... powiedzmy... rzadko!

Wyszedł. Viola słyszała, jak drzwi w holu zamknęły się cicho za nim.

Stała bez ruchu, z rękami wspartymi o kominek, zapalona w ogień. Potem nagle usiadła, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła gorzko płakać.

Byla dziesiąta rano następnego dnia, gdy Callaghan się obudził. Leżał w łóżku, z rękami pod głową, i patrzył w sufit. Sięgnął po papierosy i zapalniczkę; zapalił, puścił parę kólek z dymu i przyglądał się, jak żeglują przez pokój.

Zdaje się - myślał - że kłótnia przy kolacji w Dark Spinney dała początek serii wydarzeń, które mogą zaprowadzić Bóg wie dokąd, a znaleźć finał - jeśli się temu nie zapobiegnie - w Głównym Sądzie Kryminalnym. Z Agencją Detektywistyczną Callaghana w charakterze rekwizytów „przed i po”.

Uśmiechnął się sarkastycznie. Podoba ci się ta kobieta. Sposób jej poruszania się; to, jak mówi i jak się zachowuje; dlatego podjąłeś ryzyko. A wiesz przecież, co ryzykujesz, że jeśli raz zaryzykujesz, będziesz musiał dalej ryzykować. Takie jest życie.

Zaczął myśleć o Corinne. Interesująca osobowość. Piękna dziewczyna, posiada wszystko, czego pragną młode kobiety, ale nie lubi jej własna rodzina. Ona sama - zgodnie ze słowami Patrycji - także nikogo nie lubi. Dlaczego Corinne jest taka zgorzkniała? Czym wyjaśnić jej szczególny stosunek do życia? Może jest nazbyt doświadczona? Młoda kobieta lubiąca przygody. Czasami - jak twierdzi Viola - z podejrzanymi typami. Nieszczęśliwa, niezadowolona z życia kobieta. Pragnąca osiągnąć wszystko od razu. A jeśli sprawy stoją źle, jeśli się coś dzieje nie po jej myśli, potrafi być bardzo nieprzyjemna.

Na myśl o sytuacji, jaka powstała między Viola i Corinne, Callaghan uśmiechnął się trochę cynicznie. Biorąc wszystko pod uwagę, jego zdaniem Viola nie zrobiła dobrego interesu. Namówiona do czegoś, czego nie chciała, a więc do zatajenia faktu małżeństwa, postawiła się w sytuacji

idealnej dla szantażysty. Humorystycznym aspektem całej sprawy, jeśli w ogóle można to było tak potraktować - było to, że to właśnie z Corinne - którą Viola pozbawiła dziedzictwa - skontaktował się szantażysta i następnie używał jako łączniczkę.

Czy Corinne miała rzeczywiście tak czarny charakter, jak ją malowano? Patrycja twierdzi, że Corinne nikogo nie lubi. Tym samym nie lubi Violi. A jeśli tak, to miała świetną okazję, żeby dać upust nieprzyjaznym uczuciom wobec siostry. Wystarczyło, żeby ujawniła przed opiekunami historię małżeństwa siostry, a kłamka by zapadła. Viola straciłaby prawo do dziedziczenia i na dodatek znalazła się w niezręcznej sytuacji. Może - zastanawiał się - Corinne nie była jednak taka zła.

Wstał z łóżka. Miał na sobie górę od piżamy z popielatego jedwabiu w czarne kwiatki. Zaczął spacerować po sypialni tam i z powrotem, ciesząc się porannym słońcem, które wpadało przez otwarte okno na brudny dywan. Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili wszedł Nikolls.

Zamknął za sobą drzwi.

- Masz tu coś do picia? - zapytał - jakoś mi słabo.

Callaghan odpowiedział zimno:

- Wiem, wiem, ta twoja zwykła poranna słabość! Tam, w szafce stoi butelka.

Nikolls podszedł do szafki i wyjął butelkę. Nalał sobie sporą porcję i wypił ją jednym haustem. Westchnął.

- No, teraz lepiej. Gdybyś tak harował w nocy, jak ja, też by ci było słabo.

- A przynajmniej powiedziała coś?

Nikolls skinął głową. Usiadł w fotelu, wyjął Lucky Strike'a i zapalił.

- Tak... ta mała ma bystre oko. Praca w szatni londyńskiego klubu nocnego to dobra szkoła. Mówi, że w tym klubie Mardene jest taki nieco dziwny układ.

- Tak? A co sądzi o Donellym?

- Jeśli chodzi o niego, to jest trochę niezdecydowana. Lubi go niby, ale twierdzi, że jest trochę dziwny. Nie wie, na czym to polega, ale tak jest. Gość ma forszę. Prowadzi

lokal bez zarzutu, a baby lecą na niego, jak pszczoły do miodu. Chłopak ma wszystko, co trzeba.

- Ma kogoś?

- Tak, Corinne Alardyse. Ona ma bzika na jego punkcie. Moja przyjaciółka twierdzi, że wystarczy zobaczyć, jak ona na niego patrzy, żeby mieć pewność, że skoczyłaby za nim w ogień.

- A czy ona wie o innych kobietach?

- Pytałem ją o to. Podobno nie. Donelly to sprytny gość. Nigdy nie dopuszcza do tego, żeby lewica wiedziała, co robi prawica. Poza tym, ona nie spotyka innych dam, które tam przychodzą. Sądzę, że ma na boku jedną, może ze dwie dziewczyny w Brighton. Nieźle się chłopak zabawia.

- Jak myślisz, gdzie teraz może być twoja przyjaciółka? Czy pracuje w tym klubie rano?

- Owszem. Przychodzi za piętnaście dziesiąta, przegląda korespondencję i sprawdza rachunki z poprzedniego dnia. Donelly przychodzi koło dwunastej.

Callaghan spojrzął na zegarek.

- Zadzwoń do niej. Wymyśl jakąś historyjkę. Niech ci coś przepisze na maszynie.

- Dobra. A o co chodzi? O maszynę do pisania?

- Tak. Przyjrzałem się temu listowi do Stenhursta. Może został napisany na maszynie Donelly'ego.

- Już dzwonię. - I Nikolls podszedł do telefonu.

Callaghan zniknął w łazience. Nikolls wykręcił numer, chwilę czekał, a potem powiedział:

- To ty, malutka? Jak się dzisiaj czujesz? Cudowna była noc, co? Tak... wiem... wiem. Zawsze jestem taki po kilku podwójnych... raczej namiętny. Przed laty znałem pewną włoską księżną... która twierdziła... aha... nie wiedziałem, że ci to w nocy opowiadałem. Słuchaj, zrobisz coś dla mnie? No więc tak... w Brighton mieszka pewien facet, który jest mi winien trochę forsy. Chcę do niego napisać oficjalny list i podać termin zwrotu pieniędzy w ciągu czterech, pięciu dni. A jeśli mi nie zwróci, to mój adwokat się tym zajmie. Napisz to na maszynie, dobra? Podaj taki adres:

Hotel Pod Dwoma Mnichami, Alfriston. Teraz podyktuję ci list. Masz na czym zapisać?

*Szanowny pan Willie Strevens
1214 Kings Road, Brighton*

Szanowny panie Strevens!

Niniejszym zawiadamiam pana, że jeśli do przyszłego czwartku nie zwróci mi pan 37 funtów, które pożyczył pan ode mnie w czerwcu, oddam sprawę w ręce adwokata, który podejmie przeciwko panu odpowiednie kroki, zgodnie z przepisami prawa.

Pański oddany...

- Przepisz to na maszynie, mała, i zaadresuj kopertę. Tak... dobrze, świetnie. Myślę, że to go porządnie wystraszy. Wpadnij po pracy do hotelu i zostaw go dla mnie, żeby bym mógł podpisać i wieczorem wysłać. Dzięki... moja słodka.

Nikolls wydobyl z piersi dźwięk, który miał być wzniosłym westchnieniem, a przypominał ryk wieloryba, który wypłynął na powierzchnię wody, aby zaczerpnąć powietrza.

- Na samą myśl o tobie dostaję zawrotu głowy, mała. Być może jutro się spotkamy. Zadzwoń rano. Do zobaczenia, malutka.

Nikolls podszedł do drzwi łazienki i zawołał:

- Wszystko gra. Już pisze list... po południu go tutaj podrzuci.

Callaghan przerwał mycie zębów i wyszedł z łazienki.

- Windy, wsiadaj do samochodu i jedź do Londynu. Umów się z Franem, Johnem Elliotem, Stevenssem i Lullworthem, o ile już wyszedł z wojska. Wiem, że te chłopaki potrafią dokonać cudów, jeśli użyją wszystkich swoich możliwości.

- Tak?... A w czym rzecz?

- 23 sierpnia 1939 roku w Urzędzie Stanu Cywilnego na Marloes Road w Kensington Viola Alardyse poślubiła niejakiego Ruperta Sharphama.

Nikolls zagwizdał.

- Ale numer! I co tu można wiedzieć o kobiecie? I to ona odziedziczyła majątek, tak? No... no!

- Tak. Parę tygodni po wybuchu wojny Sharpham wstąpił do RAF-u. Był pilotem. Zginął w czasie ucieczki z obozu jenieckiego we Włoszech w 1944. Chcę, żebyś go sprawdził. Chcę wiedzieć o nim wszystko. Koszty się nie liczą. Najważniejszy jest czas.

- Dobra.

- Mam też dla ciebie zadanie specjalne. Jak już będziesz w Londynie, spotkaj się z Aynesworthem. On ma dobre stosunki w Ministerstwie Lotnictwa. Załatw z nim tak, żeby ci udostępnił całą dokumentację Sharphama z okresu, kiedy latał. Postaraj się o kopie wszystkich dokumentów. Ale migiem, Windy.

- W porządku. A co będzie z moją małą?

- Nie przejmuj się małą. Wytrzyma. Ruszaj.

- Już dobrze, dobrze.

Przy drzwiach zatrzymał się jeszcze.

- Ktoś kiedyś powiedział, że rozstania umacniają uczucia. Mam nadzieję, że ten frajer miał rację. Nie chciałbym, żeby ktoś wtargnął na moje terytorium w czasie, gdy ja będę szlifował bruki w Londynie.

Callaghan włożył szlafrok i zapalił papierosa. Zaczął przechadzać się po pokoju; zatrzymał się, żeby pociągnąć z butelki sporą porcję whisky. Niedobrze jest pić alkohol na pusty żołądek, pomyślał. Napił się jeszcze raz. Zaczął rozmyślać o Sharphamie. Jaki to był człowiek? Może zakochał się w Violi Alardyse? Dlaczego nie? To można zrozumieć. Może wcale go nie obchodziło, że była spadkobierczynią. Ale, załóżmy, że go obchodziło; załóżmy, że uznał, iż trafił mu się tłusty kasek. Ale nawet jeśli tak, to przecież nie mógł znać treści testamentu. Nie mógł wiedzieć, że sam fakt poślubienia Violi zmniejszy jego dochody do trzystu pięćdziesięciu funtów rocznie. Nie mógł znać testamentu, ponieważ jego treść została ujawniona dopiero po śmierci pani Stenhurst.

Callaghan uśmiechnął się. Sharpham musiał być bardzo

zdziwiony, gdy we włoskim obozie jenieckim otrzymał list od Violi, w którym obwieściła mu całą prawdę.

Zadzwonił telefon. To Patrycja. Jej głos był pogodny i wesoły.

- Dzień dobry, Slim. Masz dla mnie jakieś zlecenia na dzisiaj?

- Jak się pani miewa, madame X?

- Świetnie. Życie jest takie ekscytujące! Muszę ci powiedzieć, że masz klasę, Slim. Jest w tobie coś z George'a Rafta albo Clarka Gable'a. Nie jestem pewna...

- Dziękuję, Patrycjo. Ale skoro to dla ciebie jedno i to samo, wolałbym pozostać sobą. A teraz do rzeczy... Co sły-chać w Dark Spinney?

- Niewiele. Naturalnie, nie dzwonię z domu. To by było nierozsądne. Jestem w budce przy drodze do Alfriston. Zaistniała tylko jedna drobna sprawa. Zdaje się, że Corinne zaczęła się tobą interesować.

- Niemożliwe! Dlaczego tak sądzisz?

- Po pierwsze, dziś rano była dla mnie bardzo miła. Pytała o ciebie. Wiedziała, oczywiście, że byłeś tutaj. Wie, że widziałeś zwłoki Gervase'a. No i to, że nadal tutaj jesteś. Myślę, że zastanawia się dlaczego.

- Może to tylko ciekawość.

- Nie sądzę. Przyszło mi do głowy, że ona chętnie by z tobą porozmawiała. Wie, że mieszkasz w hotelu Pod Dwoma Mnichami. Może cię widziała. Pytała mnie, co robisz, gdzie chodzisz, pomyślałam więc, że na wszelki wypadek - gdyby rzeczywiście chciała z tobą pogadać - powiem jej, że rano idziesz sobie spacerkiem drogą do Hurstmonceaux i koło południa wstępujesz na drinka do gospody Pod Koroną. Myślę, że jeśli naprawdę chce z tobą pogadać, to może tam być o tej porze.

- Mądrze zrobiłaś, Patrycjo.

- Ale pamiętaj o jednym - ciągnęła Patrycja - jeśli będziesz z nią rozmawiał, bądź ostrożny.

- Dobrze, ale powiedz mi, dlaczego mam być taki ostrożny?

- Ponieważ Corinne jest bardzo przebiegła, Slim. Jest

sprytniejsza od stada małp i przy tym piękna, ma taką spokojną, mroczną urodę. Ponadto posiada wiele wdzięku i jeśli postanowi kogoś uwieść, nikt jej się nie oprze. Mogę się domyślać - mówiła dalej swobodnym tonem - że zastosuje raczej technikę Ingrid Bergman z filmu *Saratoga Trunk*. Nie wiem, czy widziałeś ten film, ale Ingrid była tam cudowna - po prostu demoniczny, superatrakcyjny wamp.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Obiecuję, że będę ostrożny. A przy okazji, jak się miewa panna Wymering?

- O ile wiem, całkiem dobrze. W gruncie rzeczy, cały dom dochodzi jakoś do równowagi.

- To dobrze. Może się orientujesz, jakie plany ma Corinne na południe?

- Jak ją znam, to pojedzie albo do Brighton, albo do Eastbourne. Zazwyczaj po południu bierze samochód i wyjeżdża. Rzadko wraca wcześniej niż na kolację. Często zastanawiałam się, dokąd ona jeździ. Zdaje się, że bardzo lubi prowadzić.

- Dobrze. Jeśli dzisiaj też wyjedzie, zostaw tę zieloną furtkę w murze niezamkniętą na zatrzask, tak abym mógł wejść.

- Cudownie, Slim. Chcesz się ze mną zobaczyć?

- Nie, tę przyjemność mogę sobie zostawić na później. Pamiętaj, jeśli po południu Corinne wyjedzie, zostaw furtkę zamkniętą tylko na klamkę.

- Dobrze, będę pamiętała. Czy to już wszystko?

Patrycja pożegnała się i rozłączyła. Callaghan wyczuł w jej głosie lekki zawód.

Tuż po dwunastej Callaghan skręcił z głównej ulicy; dalej była już tylko pobrużdżona, wiejska droga prowadząca do gospody Pod Koroną. Ciekaw był, czy przypuszczenie Patrycji było trafne. Jeśli Corinne chciała go poznać, to chodziło jej albo o to, żeby się czegoś dowiedzieć, albo żeby coś dla niej zrobić.

Przypuszczał, że Corinne chciała się czegoś dowiedzieć. Skręcił do długiej, niskiej salki barowej, podszedł do małego

okienka w kącie sali, gdzie przyjmowano zamówienia. Zamówił podwójną whisky z wodą sodową. Kiedy podano mu drinka, odwrócił się i ruszył w stronę okna.

Nagle usłyszał czyjś głos:

- Dzień dobry, panie Callaghan!

Był to głos bardzo niski, miękki, o podniecającej barwie.

Corinne, niemal niewidoczna za jednym z oparć ławy pod oknem, siedziała wychylona do przodu, z głową figlar nie zwróconą ku niemu, a jej piękna, pociągła twarz promieniowała wdziękiem i prostotą.

Zdjął kapelusz i z zadowoleniem odnotował, że w całej sali barowej oprócz nich nie było nikogo.

- Dzień dobry, panno Alardyse. Cieszę się z naszego spotkania. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że się spotkamy.

- Tak? Proszę mi powiedzieć dlaczego.

Przyjrzał się jej i doszedł do wniosku, że jest całkowitym przeciwieństwem Violi. Zarówno jej ciemne włosy, jak i szarozielone oczy, piękne i więcej niż pociągające, nosiły niepowtarzalne piętno jej indywidualności.

Ubrana była w zieloną suknię z miękkiego sztruksu i futro ze śnieżnych panter. Dobry kolorem, zielony, szyfonowy szal na głowie dopełniał całości. Figura i nogi bliskie doskonałości, doszedł do wniosku.

- Słyszałem, że jest pani bardzo piękną kobietą. Ale nie wyobrażałem sobie, że może istnieć taka uroda.

Roześmiała się.

- Czy to nie cudowne? Kiedy usłyszałam o panu, byłam pewna, że będę się pana bała. I proszę, spotykamy się, a ja ani trochę się nie boję. A nawet uważam, że jest pan całkiem czarujący. Proszę, niech pan siada i napije się ze mną.

- Dziękuję. - Usiadł obok niej na dębowej ławie. Podał jej papierosa i przypalił.

- Bardzo się cieszę, że pan tu dzisiaj przyszedł. Pragnęłam z panem porozmawiać, odkąd dowiedziałam się, że pan przyjechał. Oczywiście, jeśli pan chce, żebym...

- Naturalnie, z przyjemnością pani wysłucham. Dlaczego miałbym nie chcieć?

- No cóż, zastanawiam się, czy pracuje pan dla mojej rodziny. Gdyby nie był pan zbyt zajęty, może zrobiłby pan coś i dla mnie.

- Z chęcią. A o co konkretnie chodzi?

Jednocześnie Callaghan myślał: Sprytna z niej sztuka. Nie marnuje słów. Od pierwszej chwili zmierza prosto do celu i w dodatku jej słowa brzmią wiarygodnie. Dobra jest.

Odwróciła się do niego. Ruch był tak niespodziewany, jakby nagle podjęła jakąś decyzję. Położyła swą małą dłoń na jego dłoni i powiedziała:

- Już wiem, co o panu myśleć - budzi pan sympatię i zaufanie. O mnie się mówi, że jestem impulsywna, że zbyt pochopnie wyciągam wnioski. Może to i prawda. Ale w pana przypadku wiem, że się nie mylę.

- Sądzę, że jest pani zbyt uprzejma. - Zapalił papierosa, upił trochę whisky. - Istnieje jednak coś, co powinna pani wiedzieć, zanim posunie się pani dalej. Jest takie stare porzekadło, które mówi, że lekarzowi, adwokatowi i bankierowi nie należy kłamać. Ta sama zasada powinna się odnosić również do prywatnych detektywów. - Callaghan uśmiechnął się do Corinne.

Odwzajemniła uśmiech.

- Nie mogłabym pana okłamywać. Jest w panu coś takiego... coś... no, po prostu coś, co zmusza do mówienia prawdy. Na nic by się nie zdało kłamać.

Callaghan milczał myśląc, że Corinne w ciągu czterech minut zdołała mu przekazać, że jest tym jednym, jedynym mężczyzną na świecie, na którego czekała. Zrobiła to szybko i sprytnie. Dobra jest, trzeba to przyznać.

- To, co chcę panu powiedzieć, ma oczywiście ściśle poufny charakter. Chciałabym, żeby pan coś dla mnie zrobił. To może być trudne, ale niekoniecznie musi. Nie wiem. Ale jestem pewna, że znajdzie pan sposób, żeby tego dokonać. Nie mam wątpliwości, że nie brakuje panu sprytu. I chyba nie będzie mi pan miał za złe, jeśli zaproponuję, że

zostanie pan sowicie wynagrodzony za swą prace.

- Dziękuję. Oczywiście, że nie wezmę pani tego za złe zakładając, że przyjmę to zlecenie.

- Wobec tego powiem panu, o co chodzi. Wie pan już, że tego wieczoru, gdy pułkownik usiłował zadzwonić do pana, w wigilię swojej śmierci, przy stole miała miejsce nieprzyjemna scena. Pułkownik Stenhurst był bardzo staroświecki i raczej nie grzeszył mądrością. Uważał, że obie z Violą jesteśmy latawicami i zadajemy się z mężczyznami, których on nie aprobował. Słyszał pan o tym?

- Mniej więcej - odparł wymijająco.

Corinne mówiła dalej:

- W gruncie rzeczy, przy kolacji ojczym zachował się raczej głupio. Straszyl mnie i Violę, że każe nas śledzić. Po kolacji, kiedy poszedł do swojego pokoju, ja zostałam w holu. Słyszałam brzęk telefonu, gdy ojczym zadzwonił u siebie. Domyśliłam się, że dzwoni w naszej sprawie. Może nawet do detektywa. - Corinne uśmiechnęła się promiennie do Callaghana. - Miałam rację, on chciał się porozumieć z panem.

- Skąd pani wie?

Uśmiechnęła się i powiedziała z przesadnie skromną miną:

- Zrobiłam bardzo brzydką rzecz. Podniosłam słuchawkę w holu i słuchałam. Słyszałam, że rozmawiał najpierw z kimś z pana biura i doradzono mu, aby zadzwonił później do klubu. Najbardziej zaintrygowało mnie jednak to, że wspomniał o otrzymaniu jakiegoś listu.

- To panią tak zaciekawiło?

Skinęła głową, po czym wstała, wzięła obie puste szklanki i poszła do okienka z zamówieniami. Poruszała się szybko i z wdziękiem.

Po chwili wróciła.

- Wzięłam dla siebie podwójne martini, a dla pana podwójną whisky z wodą sodową. Słyszałam, jak pan zamawiał. I proszę, mówmy sobie po imieniu. Mam wrażenie, jakbyśmy się znali od lat.

- Dziękuję Corinne. Mam na imię Slim.
- Pięknie. Czarujące imię, Slim. Mam mówić dalej? Kiedy usłyszałam, że otrzymał jakiś list, ogromnie mnie to zaintrygowało. Zaraz powiem, dlaczego. Otóż poczta zazwyczaj przychodzi przed kolacją i dostajemy ją w swoich pokojach, w czasie gdy się przebieramy. Ale tego dnia listy przyszły później i lokaj Sallins zostawił je w holu. Ojczym musiał więc wziąć list po drodze do siebie i po przeczytaniu natychmiast zadzwonił do ciebie. Gdy tylko usłyszałam, że mówi o liście, domyśliłam się, że to tajemnicze pismo musi mieć jakiś związek z tym, co się wydarzyło przy stole i groźbą śledzenia nas. Rozumiesz, Slim?
- Doskonale - powiedział, zaś w duchu pomyślał: ona jest diablo dobra. Na początek zamierza mi wcisnąć tyle prawdy, aby ta mogła udźwignąć stek kłamstw, którymi uraczy mnie później.
- Musiałam więc - ciągnęła Corinne - zrobić dwie rzeczy. Postanowiłam nie dopuścić do tego, żeby ojczym zobaczył się z detektywem w naszej sprawie czy też w sprawie tego listu, zanim nie dowiem się, co on zawiera. Czułam, że powinnam to wiedzieć i że niewykluczone, że Viola też powinna o tym wiedzieć. - Jej głos stał się poważny. - I bardzo się cieszę, że o tym pomyślałam ze względu na Violę.
- Mów dalej, to bardzo ciekawe.
- Przede wszystkim, musiałam powstrzymać ojczyma przed rozmową z tobą. Zrobiłam paskudną rzecz. Przecięłam przewód telefoniczny, żeby nie mógł korzystać z telefonu, dopóki nie zostanie naprawiony. Wtedy poczułam się trochę lepiej.
- Domyślałam się, że w ten sposób zyskałaś czas do namysłu.
- Zgadłeś, Slim. Dokładnie tak. Miałam czas, żeby się zastanowić.
- Ale poza przecięciem przewodu telefonicznego nie podejmowałaś żadnych dodatkowych kroków, żeby powstrzymać ojca przed skontaktowaniem się ze mną? - spytał Callaghan niedbałym tonem.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma. Zauważył, że te oczy są bardzo piękne. Szarozielone, wyraziste, bardzo niewinne.

- Oczywiście, że nie, Slim. Cóż mogłam, poza tym, zrobić? Nic więcej nie można było... prawda?

Zgodził się z nią. Corinne mówiła dalej:

- Potem musiałam zajrzeć do tego listu. Czulałam, że muszę. Poczekalam więc, aż Gervase się położył i kiedy już w całym domu zapanowała cisza, zakradłam się do jego gabinetu. List leżał na tacy na jego biurku. Przeczytałam i przeżyłam straszliwy szok. Byłam tak wstrząśnięta, że prawie nie wiedziałam, co robię.

- Takie straszne to było?

- Straszne, Slim. Chyba nie słyszałeś o testamencie naszej matki, ale jeśli tak, to wiesz, że ta z nas, która wyjdzie za mąż, traci prawo do dziedziczenia i pozostaje jej tylko trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie. Zgodnie z wolą matki Viola była główną spadkobierczynią i nikt nie wiedział, że ona jest zamężna!

- Wielkie nieba! Naprawdę?

- No... tak było napisane w tym liście. Był to anonim podpisany przez „Przyjaciela rodziny”. Pisał, że Viola poślubiła pewnego mężczyznę w 1939 roku, a przyjmując spadek, złamała warunki testamentu matki i mnie odsunęła od dziedziczenia.

Callaghan zagwizdał cicho.

- To niedobrze.

- Właśnie. To pozwala zrozumieć, dlaczego Viola stała się taka bojaźliwa. Mogę sobie wyobrazić, że Gervase wpadł w prawdziwą furję, kiedy przeczytał ten list. Teraz rozumiem, dlaczego chciał rozmawiać z detektywem.

- Tak? To zaczyna być ciekawe, a dlaczego?

Corinne przysunęła się do Callaghana. Czuł jej miękkie udo obok swojego. Zniżyła głos:

- Przede wszystkim, zaczął się zastanawiać, kto napisał ten list. Myślał przypuszczalnie o skandalu, jaki by wybuchł, gdyby wiadomości się rozeszły i okazały się prawdziwe.

Dlatego najpierw chciał ustalić, czy to prawda, następnie odszukać nadawcę listu i coś z nim zrobić.

- No dobrze, załóżmy, że udałoby mu się ustalić nadawcę listu i co dalej?

Corinne wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna, ale znając ojczyma, jego paniczną obawę przed najmniejszym skandalem, mogę sobie wyobrazić, że zapłaciliby za milczenie autorowi listu.

- Nie sądzisz, że to nie najlepsze wyjście? Co innego nie znosić skandali, a co innego stać się współnikiem wydziedziczenia ciebie. Bo skoro Viola jest zamężna, majątek powinien przypaść tobie.

- Ja o to nie dbam, wierz mi. Ja ją tak kocham, że cokolwiek by zrobiła, nie miałabym jej tego za złe. Byłabym szczęśliwa, gdyby wszystko mogło pozostać po dawnemu i nic bym nie powiedziała.

- Być może, ale pułkownik wtedy o tym nie wiedział. Oczywiście ty też nie miałaś zielonego pojęcia, że Viola jest zamężna, prawda? To znaczy, zanim przeczytałaś ten list.

Potrząsnęła głową i otworzyła szeroko oczy.

- Nigdy, Slim. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Mów dalej. To bardzo pasjonująca historia.

- Prawda? Ja uważam, że to jest raczej romantyczna historia. No więc... przeczytałam list, włożyłam go z powrotem do koperty i położyłam tam, gdzie leżał. Potem po cichutku wróciłam do swego pokoju. Tak się martwiłam o Violę, że nie wiedziałam, co robić.

- Powiedziałaś jej o tym?

- Nie. Doszłam do wniosku, że nie powinnam. Jeśli to nie jest prawda, to list nie miał znaczenia. A jeśli to prawda, po co miałam niepokoić biedactwo. Bo przecież to jasne, że skoro cały czas mieszkała tutaj, musiały istnieć jakieś nieporozumienia między nią a jej mężem. Postanowiłam nic jej nie mówić.

Callaghan skinął głową z uznaniem.

- A potem, następnego dnia, pułkownik się zabił.

- Niestety - powiedziała ze smutkiem. - Ten biedny, stary człowiek, który nie tolerował żadnego zamieszania,

skandali i tym podobnych rzeczy, musiał dojść do wniosku, że za wiele już tego wszystkiego i postanowił skończyć z sobą. Biedny, kochany Gervase...

Z oczu Corinne popłynęły łzy. Wytarła je małą, uperfumowaną chusteczką.

- A co potem?

- Potem... gdy dowiedziałam się, że nie żyje, zrozumiałam, że muszę działać szybko. Bez względu na to, jak się sprawy potoczą, muszę zrobić wszystko dla ratowania Violi. Wiedziałam, że przecinając przewód telefoniczny uniemożliwiłam ojczymowi kontakt z tobą, i miałam pewność, że nikt z rodziny - poza autorem listu, ojczymem, który nie żyje, i mną - nie wiedział o istnieniu tego listu. Zakradłam się więc do pokoju Gervase'a. Na szczęście, list nadal leżał na biurku. Wzięłam go i ciągle go mam. Nikt więc nie wie. Dosłownie nikt.

- Z wyjątkiem ciebie i autora listu.

Corinne skinęła głową.

- Właśnie. I teraz nadchodzi moment, kiedy ty możesz mi pomóc. Proszę, pomóż mi, Slim.

Corinne przysunęła się jeszcze bliżej Callaghana. Czuł subtelny, podniecający zapach jej perfum. Nie ma co, trzymaj się stary, pomyślał.

- Jak mógłbym ci pomóc?

- Zaraz ci powiem, Slim. Mam ten list. Mam go przy sobie, w kieszeni płaszcza. Napisano go na maszynie, a na kopercie jest stempel Brighton. Chciałabym, żebyś ustalił, kto go wysłał, kim jest autor. Żebyśmy mogli go powstrzymać przed działaniem na szkodę Violi, a ona mogła czuć się bezpiecznie.

- Czy nie domyślasz się... nic ci nie przychodzi do głowy, kto mógł wysłać taki list?

Potrząsnęła głową.

- Oczywiście, to tylko przypuszczenie... - powiedziała po chwili - intuicja, czy jak to nazwać, ale niedaleko Brighton jest taki klub Mardene, którego właścicielem jest facet o nazwisku Donelly, Lucien Donelly. Byłyśmy tam z Violą raz czy dwa i wiesz, Slim, czuję że ten Donelly to

niebezpieczny typ. Nie wiem dlaczego, ale gdy tylko zobaczyłam ten list, natychmiast pomyślałam o nim. Od razu mi się przypomniał. Jak myślisz, jest w tym coś, czy po prostu jestem głupia?

- Nigdy nie wiadomo. W każdym razie, będzie od kogo zacząć. Daj mi ten list, Corinne.

Wyjęła list z kieszeni płaszcza i podała go Callaghanowi. Callaghan przeczytał i schował list do kieszeni.

- Mogę cię zapewnić, że sprawdzę wszystkie maszyny do pisania w tym klubie. A to będzie delikatna robota.

Wiem, że potrafisz to zrobić, Slim. Wiem, że to zrobisz. Jeśli moje podejrzenie się sprawdzi, będziemy mogli zająć się Donellym. Będziemy mogli zatroszczyć się o Violę.

- Tak? A w jaki sposób?

- Zastanowimy się. Coś wymyślimy. Ale najpierw musimy znaleźć autora listu.

Corinne wstała.

- Muszę już iść, Slim. Pewno już w domu za mną tęsknią. Gdybyś chciał się ze mną skontaktować, zadzwoń do Dark Spinney i powiedz, że dzwoniś od Vonesa z Brighton. To sklep, często tam u nich kupuję.

- Zrobię, co będę mógł. Będę cię informował na bieżąco.

- Dziękuję, Slim, jesteś taki miły. Naprawdę dziękuję. Załatwisz to, a zrobię dla ciebie wszystko... wszystko. - Rzuciła mu wielce obiecujące spojrzenie.

- Postaram się.

Wyjęła z kieszeni jeszcze jedną kopertę.

- Tu jest pewna suma, Slim. To na początek. Jeśli będziesz potrzebował więcej, powiedz. *Au revoir*, mój drogi.

Corinne wyszła z baru. Callaghan słyszał, jak uruchamiała samochód. Podeszedł do okienka i poprosił o podwójną whisky z wodą sodową. Wrócił na ławę. Usiadł i otworzył drugą kopertę. Wewnątrz znajdowało się piętnaście pięciofuntowych banknotów. Zapalił papierosa, Uśmiechnął się i powiedział do siebie:

- A niech to diabli!

Fałszywy trop

Callaghan skręcił z High Street i podążał w kierunku Hangover. Popołudniowe słońce świeciło jasno, słychać było śpiew ptaków. Co za wymarzone wiejskie popołudnie - myślał - po prostu sielankowa sceneria - jeśli oczywiście ktoś lubi sielankową scenerię. Uśmiechnął się cynicznie. Kłopoty dopadają człowieka tak samo na wsi, jak wszędzie indziej.

A że szykują się kłopoty, o tym był absolutnie przekonany. Jasne jak słońce, że są tuż, tuż. I to nie byle jakie.

Zaczął się zastanawiać nad mentalnością osobnika - ktokolwiek nim był - który napisał anonim do pułkownika. I w jakim celu to zrobił? Naturalnie po to, żeby sprowokować jakąś akcję. Autor chciał, żeby ktoś - a tym kimś była Viola Alardyse - poczuł się zagrożony. Jaki będzie jego następny ruch?

Przed wszystkim, on (lub ona) poczeka, co nastąpi w konsekwencji śmierci pułkownika. Będzie czekać cierpliwie albo niecierpliwie, aż pośród rzeczy pułkownika zostanie znaleziony list. A co będzie, jeśli list nie zostanie znaleziony i nic się nie zdarzy?

Z całą pewnością, rozumował Callaghan, autor anonimowego listu wymyśli coś innego. Ponieważ pułkownik nic już nie może działać, do akcji musi zostać wciągnięty ktoś inny. Komu przypadnie ta rola? O ileż prostsze byłoby życie, gdyby na pytania można było odpowiadać z taką samą łatwością, z jaką się je zadaje.

Zaczął myśleć o Donellym. Sumował wszystko, co o nim

słyszał, i to, co sam wiedział. A więc, przede wszystkim, Donelly jest bardzo pewny siebie. Nie jest człowiekiem, którego łatwo przestraszyć. Łączy go coś z Corinne. Przyjaciółka Nikollsa podejrzewa, że Corinne jest w nim zakochana, a nawet nieco zwariowana na jego punkcie. A jednak podejrzewa go. Nawet sugeruje, że to on napisał ten list. Chce się upewnić. No dobrze, przypuśćmy, że ma rację. Przypuśćmy, że się okaże, że Donelly napisał ten list... co wtedy zrobi?

Zaczął zastanawiać się nad motywami. Jeśli Donelly napisał ten list, jakie kierowały nim motywy? Oczywiście chodziło mu o pozbawienie Violi majątku, a więc i pieniędzy, dzięki czemu Corinne stałaby się bogatsza. Czyżby Donelly liczył na to - jeśli to on napisał list - iż łatwiej mu będzie wyciągnąć pieniądze od Corinne niż od Violi? Wątpliwe. Corinne była twarda, a Viola płaciła bez szemrania.

Wzruszył ramionami. Budowanie teorii, owszem, ma pewne zalety. Czasami teorie pomagają. Ale tylko działanie daje wyniki.

Zielona furtka w murze okalającym Dark Spinney nie była zamknięta na zatrask. Callaghan otworzył ją, wszedł do ogrodu i zamknął za sobą. Skierował się żwirowaną alejką w stronę domu.

Z bocznych drzwi wyszła Viola. Callaghan zdjął kapełusz.

- Mamy piękne popołudnie i cieszę się, że panią widzę, bo chciałem porozmawiać.

- Ja także. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy coś z tym wszystkim zrobić.

- Na przykład co?... - Callaghan uniosł brwi.

Zaczęła iść wolno alejką.

- Chodzi mi o ten pomysł, że mogłabym być podejrzana o zabicie ojczyma... a motywem miał być testament, tak? Ponieważ Gervase odkrył, że byłam zamężna, więc doszło między nami do kłótni i go zabiłam. Czy tak może brzmieć oskarżenie?

- Przypuszczam, że tak. Ale ponieważ nie spotkała pani pułkownika po powrocie z mego biura, nie wiem, jak mogła

go pani zabić. A w takim razie motyw w ogóle przestaje być ważny.

- To bardzo miło, że pan tak sądzi, ale rzecz w tym, że nikt poza mną nie wie, że nie spotkałam ojczyrna. Jak już panu wspomniałam, byłam przygnębiona i poszłam na długi spacer do lasu, ale nikogo nie spotkałam. Nikt nie może potwierdzić, że tam byłam. Mogłam go zabić, miałam wystarczający motyw.

Callaghan uśmiechnął się.

- Zdaje się, że zaczyna się pani żałamywać. Proponuję, żebyśmy się nie martwili tym, czy miała pani motyw, czy nie. Liczy się tylko fakt, że pani tego nie zrobiła, ale zrobił to ktoś inny. Na razie, na pani miejscu, zapomniałbym o tym.

- Podnosi mnie pan na duchu. A co chciał mi pan powiedzieć?... o co zapytać?

- Czy był tutaj pan Gringall? Czy jeszcze o coś pytał? Czy macie jakieś wiadomości z policji?

Potrząsnęła głową.

- Wiem jedynie, że śledztwo zostało ponownie odroczone. Nie rozumiem dlaczego.

Callaghan pomyślał: to sprawka Gringalla. Nadal szuka. Ciągłe niezadowolony. Ciekawe, jaka będzie tym razem jego linia dochodzenia. Głośno zaś powiedział:

- No cóż... nie ma się czym przejmować. Absolutnie.

- Chciałabym w to wierzyć. Wydaje mi się, że jest wiele powodów, żeby się przejmować. Przede wszystkim Corinne. Jej postawa jest bardzo dziwna. Nie wiem, co robić.

- Jeśli ma pani wątpliwości, najlepiej nic nie robić - poradził Callaghan wesołym tonem. - Typowa nadwrażliwość. Po prostu wysiadły nerwy... to wszystko. Proszę pamiętać, że obiecała pani mnie słuchać, a ja polecam nic nie robić. - Zapalił papierosa.

- Gdzie znajdę Sallinsa? Chciałbym z nim porozmawiać.

- Jest zapewne w swoim pokoju. Proszę zejść schodami

na dół, jego pokój jest z prawej strony. Powinien być tam, gdyż po południu odpoczywa.

- Dzięki. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. - Uśmiechnął się do niej i poszedł w kierunku domu.

Sallins leżał na łóżku, gdy Callaghan otworzył drzwi jego pokoju. Wyglądał na bardzo starego, zmęczonego człowieka. Na szafce nocnej leżał ołówek i arkusz papieru kancelaryjnego.

- Niech pan nie wstaje, Sallins. Nie chcę panu przeszkadzać. Proszę się odprężyć, najwyraźniej potrzebny panu odpoczynek.

- O, tak, proszę pana. Muszę przyznać, że jestem trochę zmęczony i zaniepokojony. To wszystko takie straszne i takie przygnębiające.

Callaghan skinął głową potwierdzająco.

- Przypuszczam, że policja rozmawiała z panem?

- Byli dla mnie bardzo mili. Mili i uprzejmi. Obawiam się jednak, że nie mieli ze mnie pożytku. Niewiele im mogłem powiedzieć.

Callaghan uśmiechnął się.

- Zdumiałby się pan, ile pan może powiedzieć policji nawet o tym nie wiedząc. Co pan myśli o Gringallu?

- To bardzo czarujący dżentelmen. Uprzejmy i mrozsądny. Chyba uważa, że pułkownik sam się zabił. To straszna rzecz, proszę pana, ale wolę już w to wierzyć, niż że ktoś go zabił.

Callaghan skinął głową, myśląc jednocześnie: Akurat! Gringall miałby wierzyć, że pułkownik sam się zabił. Ciekawe, jak daleko Gringall powiodł starego tą ogrodową ścieżką; i jak dalece Sallins, ukołysany uprzejmością i wdziękiem Gringalla, którymi umiał posługiwać się na zawołanie - dał się wciągnąć do opowiadania i snucia przypuszczeń.

- Sallins, chcę panu zadać tylko jedno pytanie. Kiedy poszedł pan do domu, żeby zadzwonić na policję, po tym, jak spotkaliśmy się w ogrodzie i pan powiedział mi o pułkowniku, co pan wtedy zrobił? Czy od razu pan zadzwonił, czy też jeszcze komuś powiedział o tym, co się stało?

- Powiedziałem pannie Wymering, proszę pana. Byłem już w holu i właśnie miałem dzwonić, kiedy spostrzegłem ją na schodach. Podszedłem bliżej i powiedziałem jej o pułkowniku. Wtedy ona oznajmiła, że zaraz tam pójdzie, żeby zobaczyć pułkownika. Dopiero potem zadzwoniłem na policję.

- Ciekawe, dlaczego jej nie spotkałem? Jeśli poszła prosto do pagody, to powinna przejść obok mnie.

- Bo szła inną drogą, proszę pana. Kiedy jej powiedziałem o pułkowniku, była na podeście pierwszego piętra. Zawróciła i poszła korytarzem do wyjścia od tyłu domu, a potem ścieżką do pagody.

- Rozumiem. I wtedy dopiero pan zadzwonił?

- Tak, proszę paña. Wtedy zadzwoniłem na policję.

- W porządku. Jestem panu wdzięczny, Sallins.

Callaghan wyszedł z pokoju cicho zamykając za sobą drzwi i powoli wspiął się po krętych schodach do holu. Nie wygląda to dobrze. W każdej chwili mogą się nam zwalić na głowę kłopoty.

Szedł właśnie przez hol do bocznego wyjścia, gdy usłyszał, że ktoś go woła.

- Halo, Slim!

Była to Patrycja. Stała na szczycie głównych schodów. Miała na sobie prostą lnianą sukienkę i przesadnie skromny wyraz twarzy.

- Zejdź tutaj Patrycjjo. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Zbiegła ze schodów. Zatrzymała się na trzecim stopniu od dołu, patrząc na niego z góry. Po chwili odezwała się cicho:

- Slim... jesteś cudowny. Przepadam za tobą i nikomu nic do tego.

- To dobrze - Callaghan uśmiechnął się do niej. - Słuchaj, Patrycjjo, czy któryś z przesłuchujących cię do tej pory policjantów pytał, czy tego wieczoru, gdy zmarł ojczym, widziałaś Violę?

Pokręciła głową.

- Byłam bardzo zawiedziona. Właściwie oni o nic mnie

nie pytali. Równie dobrze mogłabym być wiejskim gamoniem.

- Czy z domu można zobaczyć tę ścieżkę za zieloną furtką, wiesz, tę, która prowadzi do lasu, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy?

- Owszem, z mojego pokoju. Bez trudu.

- Świetnie. Pamiętaj, że tego wieczoru, gdy twój ojczym został zabity, widziałas Violę idącą na spacer. Było to mniej więcej o siódmej piętnaście lub w pół do ósmej. Zapamiętasz?

- Tak, zapamiętam Slim - odpowiedziała poważnie.

- Rozumiem, o co chodzi. - Zeszła ze schodów i stanęła blisko niego.

- Chyba nie myślisz, że ktoś mógłby podejrzewać... - w jej oczach pojawiły się łzy.

- Nie myślę. - Spojrzał na nią z uśmiechem. - Ale ktoś mógłby blefować. Nigdy nie wiadomo i dlatego wolę mieć asa schowanego w rękawie. Nie zapomnisz, co ci powiedziałem?

- Nigdy. Gdzieś tak o siódmej piętnaście lub w pół do ósmej podeszłam do okna w swoim pokoju i zobaczyłam Violę, która właśnie wyszła przez zieloną furtkę i udała się ścieżką do lasu. Tak będę mówić.

- Dobrze. I dziękuję ci za radę w sprawie Corinne. Ucieszyliśmy się sobie interesującą pogawędkę.

- Nie, naprawdę? Jakie to podniecające! Czy było przyjemnie? Uwodziła cię? Prawda, że sprytna?

- Tego nie wiem. Ale mogę ci powiedzieć, że pracuję dla niej.

- Coś takiego! Dobry jesteś, Slim. Naprawdę. A więc pracujesz również dla Corinne!

- Słuchaj Patrycjjo. Przykro mi, że robię coś poza plecami Violi, ale jestem do tego zmuszony. Gdybym działał w tej sprawie wprost i powiedział jej, co zamierzam zrobić, nie jestem pewien, czyby nie pokrzyżowała moich zamiarów. Rozumiesz, jest niespokojna i trochę przestraszona.

Patrycja przytaknęła skinieniem głowy.

- Więc co mam zrobić?

- Czy znasz bank Violi? Może realizowałaś czasem jej чеки

- Często.

- Chodzi mi o taką operację. Wpadnij jutro rano, niby przypadkiem, do tego banku i powiedz, że Viola zapodziała gdzieś banknoty, które niedawno podjęła. Zapytaj, czy mają może ich numery. Na pewno będą mieli. Zapisz je i postaraj się, żeby Viola nic o tym nie wiedziała.

- Zrobione, znam dobrze kasjera. Jest bardzo miły i wcale nie uzna tego za dziwne. Viola mogłaby mnie poprosić o taką przysługę.

- Zapisz te numery na osobnej kartce, włóż ją do koperty i zostaw dla mnie Pod Dwoma Mnichami. Postaraj się zrobić to jutro rano, ale na miłość boską, bądź ostrożna.

- W porządku, kolego. Jeśli tylko można to załatwić, załatwię.

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Do zobaczenia!

Callaghan wyszedł bocznymi drzwiami.

Patrycja stała jeszcze chwilę u stóp schodów rozmyślając o Callaghanie. Westchnęła ciężko, nieco teatralnie. Doszła do wniosku, że jest po prostu zakochana. Po prostu zakochana. Nie tak, jak sto jeden razy przedtem, ale na całego, zupełnie inaczej.

Postanowiła pójść do swojego pokoju, zjeść do końca czekoladki i pomyśleć o tym.

Byla godzina szósta. Callaghan siedział w opustoszałej sali barowej, spoglądając na wiszącą naprzeciwko jakąś reprodukcję o tematyce sportowej, i rozmyślał. To były czasy - dobre, stare, złe czasy, kiedy byli tylko policjanci z Bow Street, żadnych Gringalli, policyjnych laboratoriów czy prywatnych detektywów. Życie musiało być wtedy interesująco nieinteresujące.

Przypomniał sobie ołówek i arkusz papieru kancelaryjnego na nocnym stoliku Sallinsa. Niewątpliwie ślad po panu Gringallu. Tak, taka była bowiem metoda pracy Gringalla, który dawał świadkom dużo czasu do myślenia oraz

ołówkę i arkusz papieru kancelaryjnego, aby mieli na czym myśleć. Callaghan zauważył firmowy znak na papierze. Ten arkusz pochodził z policji, a Sallins usilnie próbował przypomnieć sobie coś, na czym Gringallowi zależało.

Dopił whisky, wstał i udał się wyłożonym dębem korytarzem w kierunku schodów. Przy pojemniku z listami przystanął. Była w nim koperta zaadresowana na maszynie do Nikollsa i gruby telegram dla niego.

Wziął obie przesyłki i poszedł do pokoju. Usiadł w fotelu i otworzył kopertę od przyjaciółki Nikollsa z klubu Mardene. Zawierała napisany na maszynie list, o który prosił ją Nikolls.

Callaghan rzucił na niego okiem i zagwizdał cicho. Nie było najmniejszej wątpliwości - anonimowy list do pułkownika Stenhursta został napisany na tej samej maszynie.

A więc to Donelly. Wyszło sztydło z worka. Donelly chciał coś sprowokować. Niewątpliwie już coś sprowokował i z łatwością sprowokuje jeszcze coś nowego, chyba że się go uda powstrzymać.

Callaghan zapalił papierosa i otworzył telegram od Nikollsa.

*john elliot odkrył stop r sharpham na początku 1937
był uwikłany w aferę ze starszą kobietą dla szmalu sprytny przystojniak lew salonowy obdarzony wdziękiem pies na kobiety stop przyjechał z capetown w pld afryce gdzie pracował jako instruktor tańca w rosehill dance hall stop przybył do anglii 1938 z pewną sumą pieniędzy niewiadomego pochodzenia zaczął latać pod koniec 1938 otrzymał licencję pilota cywilnego nikt nie wie dlaczego stop informacja dotycząca naszej klientki prawdziwa stop aynesworth używa wpływów żeby otrzymać pełną dokumentację związaną ze służbą w lotnictwie i/lub inne powiązania stop więzę z tym nadzieję i czekam do jutra stop*

nikolls

Callaghan zaczął się przechadzać po pokoju. Z kącika ust zwisał mu niedbale zgasły papieros. A więc Sharpham

to typ żigolaka - lew salonowy, sprytny, czarujący, z resztką pieniędzy, które otrzymał od starszej kobiety i posiadający na swym koncie romantyczną przygodę z pilotażem. Callaghan zaczął rozumieć, dlaczego Viola dała się na to złapać. Wzruszył ramionami.

Podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie ze swoim biurem w Londynie. Usłyszał afektowany głos Effie Thompson.

- Jak tam, Effie, co u ciebie słyhać?

- Dziękuję, dobrze, panie Callaghan. - A po krótkiej pauzie: - Mam nadzieję, że u pana także?

- Nie najgorzej. Weź notatnik i notuj, Effie.

- Jestem gotowa, panie Callaghan.

- Zamów Capetown w Południowej Afryce, najlepiej w godzinach biurowych, wtedy dostaniesz połączenie najpóźniej w trzy, cztery godziny. Połącz się z Johnem Friquetem. Podaję ci jego adres. „Detektyw, Manzanilla, Capetown”. Porozmawiaj z nim samym, a gdyby go nie było, z jego żoną Eleanor. Powiedz mu, żeby piorunem zebrał i przekazał mi wszelkie możliwe informacje o Rupercie Sharpamie, który w 1938 roku lub wcześniej był zatrudniony w lokalu Rosehill Dance Hall w Capetown. Powiedz mu, że koszty się nie liczą, i przypomnij, że ma wobec mnie dług wdzięczności, już on wie za co. Niech się uwija i zadzwoni do ciebie, jak tylko zdobędzie coś istotnego. Zanotowałaś?

- Tak, panie Callaghan. Zaraz zabieram się do roboty.

- W porządku, Effie. - Callaghan rozłączył się.

Wyrzucił niedopałek do kominka, zapalił nowego papierosa i zaczął spacerować po pokoju.

Minął kwadrans. Callaghan był tak pogrążony w myślach, że ani nie usłyszał stukania do drzwi, ani nie zauważył nawet, jak się otwierają. Był więc zaskoczony, gdy niespodziewanie stanął twarzą w twarz z nadinspektorem Gringallem.

Gringall stał w drzwiach z błakającym się na ustach uśmiechem, trzymając w ręce miękki filcowy kapelusz i patrzył na Callaghana.

- Halo, Slim.

- O, co za niespodzianka, wejdz Gringall. Czym ci mogę służyć?

Gringall cicho zamknął za sobą drzwi. Wszedł głębiej do pokoju i położył kapelusz na stole. Następnie usiadł na krześle wskazanym mu przez Callaghana.

- Nie wiem, Slim... nie wiem, czy możesz coś dla mnie zrobić, ale myślę, że powinieneś się przynajmniej postarać.

- Znasz mnie na tyle, żeby wiedzieć, że dla ciebie zrobię wszystko. A o co chodzi?

- Potrzebne mi konkretne dowody. Może ty będziesz mógł mi pomóc. Widzisz, ten lokaj z Dark Spinney to stary człowiek, który bardzo ciężko przeżywa całą tę historię. Nie chciałem za bardzo go męczyć i dałem mu sporo czasu, żeby sobie wszystko przypomniał.

- Tak też przypuszczałem.

- Rzecz w tym - ciągnął Gringall - że gdy pokazałem mu zdjęcie ciała pułkownika, wykonane przez policję na miejscu przestępstwa, staruszek był nieco zdumiony.

- Tak? Ciekawe dlaczego.

- Zaczął sobie przypominać dlaczego. Zauważył pewną różnicę. A nawet kilka różnic.

- To interesujące. Chcesz powiedzieć...?

- Chcę powiedzieć, że ciało na tym zdjęciu znajdowało się w innej pozycji niż wtedy, gdy on je znalazł. Nie mówiąc o jeszcze paru rzeczach. Na przykład, był bardzo zdziwiony, gdy zobaczył tę chusteczkę w ręce pułkownika. Twierdzi z całą pewnością, że pułkownik nie miał chusteczki w ręce. Jest przekonany natomiast, iż widział inną chusteczkę, albo pod, albo tuż obok ciała. Mówi też, że pistolet leżał w pewnej odległości od pułkownika, a nie tak blisko, jak na zdjęciu.

- Czy jest tego wszystkiego pewien?

Gringall skinął głową.

- Owszem, jest. Nie wygląda to dobrze, prawda? Trochę się martwię o twoją klientkę.

- Dlaczego?

- Kiedy Sallins znalazł pułkownika, udał się ścieżką

prowadzącą do domu. Ale po drodze spotkał ciebie. Ty poszedłeś do pagody, a on do domu. Gdy był już w holu, zobaczył na szczycie schodów pannę Wymering. Powiedział jej, co się wydarzyło. Wtedy ona udała się korytarzem na pierwszym piętrze, potem zeszła do drzwi na tyłach domu i udała się do pagody, by zobaczyć pułkownika. Po niej przyszli tam jedynie przedstawiciele lokalnej policji i do chwili naszego przybycia jeden z nich był cały czas przy zwłokach. Nikt więcej nie wchodził już do pagody. W tej sytuacji można wyciągnąć tylko jeden wniosek.

- Tak? Jaki? - zapytał Callaghan myśląc jednocześnie, że zaczyna być gorąco.

- Oczywiście wniosek jest taki, że panna Wymering z siebie tylko wiadomych powodów przesunęła pistolet, do ręki pułkownika włożyła chusteczkę, wytarłszy uprzednio odciski palców z kolby, a także usunęła tę drugą chusteczkę, którą widział Sallins. Musiała to wszystko zrobić ona, bo chyba nie ty, Slim. Z jakiego powodu miałbyś coś takiego robić?

- Masz rację. Ale z jakiego powodu ona by to zrobiła?

- Oto pytanie. Ani przez chwilę nie przypuszczam, że panna Wymering miała coś wspólnego ze śmiercią pułkownika. W gruncie rzeczy wiemy, że nie mogła. Ale mogła zrobić to, co najwidoczniej zrobiła, ponieważ chciała kogoś osłonić.

- Do czego zmierzasz, Gringall? Kogo chciała osłonić i dlaczego?

Gringall wyjął krótką fajeczkę z korzenia wrzośca i zaczął ją starannie napełniać tytoniem z miękkiego kapciucha. Nie spieszył się. Kiedy fajka była już nabita, przypalił ją i pociągnął z wyraźną przyjemnością.

- Oczywiście, nie mówię ci wszystkiego, Slim. Jest parę drobiazgów, których nie znasz, bo nie rozmawiałeś z pułkownikiem, prawda?

- Nie, nie miałem okazji, wspominałem ci o tym.

- No tak, zdaje się, że pułkownik rzeczywiście był zaniepokojony, gdy do ciebie dzwonił. Z początku chciał z

tobą rozmawiać na temat jakiegoś drobnego incydentu, ale chyba po kolacji, gdy szedł na górę, otrzymał jakiś list.

Callaghan uniósł brwi.

- List?

- Tak, anonimowy list, w którym donoszono mu o czymś, co bardzo go zdenerwowało. Przypuszczam, że chciał porozmawiać z tobą również i o tym.

- Otóż to. Ciekawe, co było w tym liście?

- Mogę ci powiedzieć, bo wiem.

Callaghan zrobił zdziwioną minę.

- Wiesz? Skąd, do diabła, wiesz?

- Autor tego listu nie był zachwycony śmiercią pułkownika. Słusznie domyślając się, że informacja z listu nie zostanie wykorzystana, wysłał jego kopię tym razem do mnie.

- A, to coś nowego. Na jaki temat był ten list? - spytał obojętnym tonem.

- To zabawny list. Z jego treści wynika, że panna Viola Alardyse wyszła za mąż w 1939 roku, a więc odziedziczyła Dark Spinney wraz z pieniędzmi nieprawnie. Ot i wszystko.

Callaghan wzruszył ramionami.

- Pewnie ktoś sobie zażartował. Mało to ludzi pragnie sprowokować jakieś wydarzenie anonimami? Jeszcze jeden bałwan, który coś kombinuje.

- Nie - zaprzeczył Gringall przypalając wygasłą fajkę. - To nie jakiś tam bałwan. To ktoś, on lub ona, kto wiedział, co mówi. Sprawdziłem tę informację i okazała się prawdziwa. Niezbyt dobrze to wygląda, co?

- Zgoda, niezbyt dobrze, ale nie rozumiem, jakie to może mieć teraz znaczenie?

- Wiesz przecież, Slim. - Gringall pociągnął z fajki. - Wstrzymałem śledztwo, ponieważ nie miałem odpowiednich dowodów dla prokuratora. Nigdy nie wierzyłem, że pułkownik popełnił samobójstwo. Został zamordowany. A mordercy zawsze mają motyw. Staram się znaleźć choćby jeden. I to może być właśnie ten.

Callaghan nie odezwał się. Podeszedł do okna i patrzył na spokojną ulicę, myśląc jednocześnie: Ciekawe, jak, u licha, rozegrasz tę partię. Zdaje się, że to już koniec gry.

- Autor tego anonimu - mówił Gringall dalej - wydaje się mieć jakieś informacje. Najpierw napisał do pułkownika, ale pułkownik nie żyje, więc w obawie, że cała sprawa może spalić na panewce, pisze jeszcze parę listów. O ile wiem, mógł napisać do panny Wymering. A jeśli tak, mielibyśmy wytłumaczenie, dlaczego usiłowała coś pozmieniać przy zwłokach pułkownika. Dlaczego usunęła chusteczkę, którą widział Sallins, a także zmieniła położenie pistoletu i dlaczego po wytarciu śladów linii papilarnych włożyła chusteczkę do ręki pułkownika.

- Uważasz, że chciała osłonić Violę Alardyse, która odziedziczyła niezgodnie z prawem majątek, miała odpowiedni motyw, żeby zabić pułkownika?

Gringall odparł spokojnie:

- Nic nie uważam. Wiem jedynie, że do moich obowiązków należy przedłożenie prokuratorowi wiarygodnych dowodów. Muszę ustalić, w jaki sposób zginął pułkownik. Nie do mnie, lecz do prokuratora należy wydanie orzeczenia. Ja muszę zrobić wszystko, żeby mu pomóc.

- To tylko jedna z możliwości. Ale muszę powiedzieć, że to cholernie głupie podejrzewać Violę Alardyse, że miała motyw, aby usunąć Stenhursta. Co za śmieszny pomysł.

Gringall wzruszył ramionami.

- Znam morderców i morderczynie, którzy byli szalenie miłymi ludźmi. Ty też, Slim. Nigdy nic nie wiadomo. Ponadto, fakty są faktami.

- Racja. Fakty są faktami. Cóż zatem zamierzasz zrobić?

- Mogę zrobić tylko jedno - odparł Gringall wolno. - Zraz pojedę do Dark Spinney, żeby szczerze porozmawiać z panną Wymering. Powiem jej, co mówi Sallins, i pokażę zdjęcie zrobione przez policję. Zapytam, dlaczego zmieniła położenie broni i chusteczki. Powiem jej także, że wiemy wszystko o małżeństwie Violi Alardyse. Zapewnię ją, że jeśli

chodzi o mnie, to sprawa obchodzi mnie tylko o tyle, o ile ma związek z zabójstwem. Nie jestem zainteresowany, kto i dlaczego zawarł związek małżeński. Nie jestem prawnikiem, lecz oficerem policji prowadzącym śledztwo w sprawie morderstwa. Jeśli jest rozsądna, zacznie mówić. Jeśli to ona przesunęła broń i chusteczkę i przyzna się do tego, w porządku, nie będę za to pociągał jej do odpowiedzialności. Chcę jedynie dowiedzieć się, dlaczego to zrobiła. Zwłaszcza interesuje mnie chusteczka. Może stanowić koronny dowód. Chusteczki często posiadają monogramy, określony zapach, czasem noszą ślad pomadki do ust.

Gringall przerwał i przez chwilę pociągał z fajeczki. Potem mówił dalej:

- Moim zdaniem, to ona pozmieniała położenie tych rzeczy. Skoro ty niczego nie ruszałeś, musiała to zrobić panna Wymering. W każdym razie liczę na to, że dowiem się sporo nowych rzeczy. Chyba że - tu spojrzął z wesołym błyskiem w oku na Callaghana - ty masz mi coś do powiedzenia... coś, o czym nie wspomniałeś, ponieważ myślałeś, że to nieważne. Albo coś, co uznałeś za prywatną sprawę swojej klientki. Rozumiemy się... Slim?

- Rozumiemy, ale cóż ja mogę ci powiedzieć? Nic.

- To przesądza sprawę. Wiem, że jesteś zbyt rozsądny, żeby zadzierać z policją. Wprawdzie w przeszłości, raz czy dwa balansowałeś na granicy prawa, ale tym razem to poważna sprawa. Chodzi o morderstwo. Utrudnianie bez względu na pobudki nie ujdzie ci na sucho, wiesz o tym?

- Wiem. Odnoszę wrażenie, jakbym kiedyś już to słyszał. Masz jeszcze coś?

- Nie. Chyba nie muszę ci przypominać treści naszej staroświeckiej Ustawy Policyjnej, że „Kto zataja informacje... itd”. Jeśli wiesz coś, co mogłoby pomóc policji, twoim obowiązkiem jest to ujawnić.

- Życie bywa ciężkie - westchnął Callaghan i uśmiechnął się do Gringalla. - Nie wiem nic. Gdybym wiedział, to bym ci powiedział. To wszystko.

Gringall wstał, podszedł do kominka, opróżnił fajkę, stukając ostrożnie o górny pręt osłony, po czym schował ją do kieszeni. Wyprostował się i odwrócił do Callaghana. Na jego twarzy pojawił się dobrotliwy wyraz.

- Dziwny z ciebie facet, Slim. Niezwykły. Nigdy nie rozumiałem cię dobrze, ale znam twoje metody pracy i wiem, że na dziesięć spraw, którymi się zajmujesz, dziewięć robisz bez przygotowania. Cholernie ryzykowałeś w sprawie Vendayne. Miałeś szczęście, że ci się udało wyjść z tego cało. Gdybyś nie ujawnił tego, co wiedziałeś, mieliśmy przygotowane milutkie oskarżonko dla ciebie. Wiem, dlaczego podjąłeś to ryzyko. Audrey Vendayne była piękną kobietą, a ty lubisz piękne kobiety.

Callaghan uśmiechnął się.

- A kto nie lubi pięknych kobiet?

- Masz rację, wszyscy lubimy, ale nie do tego stopnia, jak ty. Może się zdarzyć, że ci się to nie opłaci.

Callaghan westchnął i powiedział spokojnie:

- Czy słyszałeś o barbarzyństwie Kozaków. No cóż, oni nie mieli nic wspólnego z tobą. Gdzie twoja pałka gumowa, ty bezlitosny gliniarzu? Aha, może masz ochotę na jednego przed wyjściem?

- Daj, wypiję jednego na drogę - Gringall westchnął ze znużeniem.

Callaghan nalał do dwóch szklanek i podając Gringalowi, powiedział:

- Cały kłopot z wami, granatowymi, polega na tym, że nikomu nie wierzycie. Nawet jeśli ktoś mówi prawdę.

Gringall odstawił szklankę i wziął kapelusz.

- W porządku, panie George Washingtonie. Dziękuję za drinka. - I skierował się ku drzwiom.

- Może za tydzień będziesz ze mną rozmawiał przez żelazne kraty - Callaghan uśmiechnął się. - Bywaj, Gringall.

Gdy usłyszał odgłos uruchamianego wozu Gringalla, podszedł do telefonu. Wykręcił numer Dark Spinney i oczekiwał na połączenie. Uśmiechnął się, gdy usłyszał w słuchawce głos Patrycji.

- Madame X, jestem w tarapatach i potrzebuję pomocy. Gdzie twoja ciotka?

- Ciocia pojechała do Eastbourne i będzie dopiero po kolacji.

- Dobrze. Słuchaj więc uważnie. Przed chwilą wyjechał ode mnie do was nadinspektor Gringall. Chce rozmawiać z twoją ciotką. Proszę, żebyś go przyjęła. Powiedz mu, że ciotka wyjechała w odwiedzinach do chorej przyjaciółki, wymyśl zresztą, co chcesz, i że wróci dopiero jutro wieczorem albo nawet pojutrze rano. Potrzebuję trochę czasu, rozumiesz?

- Oczywiście, Slim. Ale czy on uwierzy?

- Musimy zaryzykować. Nawet jeśli nie uwierzy, to co może zrobić? Przecież nie będzie na nią czekał na progu.

- Dobrze, postaram się, żeby to brzmiało przekonująco. Czy jeszcze coś?

- Gdzie jest Corinne?

- W swoim pokoju. Ma ból głowy. Prawdziwy.

- Idź i powiedz jej, że jest do niej telefon z Eastbourne od Vonesa.

- Dobra, zaczekaj.

Callaghan czekał. Po chwili usłyszał głos Corinne.

- Corinne... tu Slim. W tej chwili nie mam czasu, muszę się spotkać z tobą wieczorem. Powiedz tylko gdzie. Mam dla ciebie pewną wiadomość.

- Tak? - Nastąpiła pauza, a po chwili Corinne spytała: - Znasz Crumbles? Tuż za Pevensey Bay? Jest tam dom zwany Klubem Oficerskim. Ma cztery kominy i stoi za osiedlem straży przybrzeżnej.

- Wiem, co masz na myśli. To miłutki dom. Parę lat temu mężczyzna o nazwisku Mahon zamordował w tym domu kobietę.

- Zgadza się - odparła Corinne. - Trzymaj się dróżki, która biegnie obok tego domu i prowadzi prosto do morza. Na plaży znajdziesz zacumowaną motorówkę. Nazywa się Mayflay. Będę tam na ciebie czekała o dziesiątej. Zabiorę cię na miłą przejażdżkę po morzu - dorzuciła nieco podniesionym głosem.

- Będę. Mayflay zacumowana na wysokości Klubu Oficerskiego o dziesiątej. Wracaj teraz do swego pokoju i nie wychodź. Zaraz zjawi się u was Gringall. Chyba nie chcesz go spotkać?

- Raczej nie. *Au revoir*, Slim... - po krótkiej chwili do-rzuciła: - mój drogi.

- Do zobaczenia - powiedział Callaghan i odłożył słuchawkę.

Przez chwilę stał patrząc na telefon. Następnie nalał sobie jeszcze jednego drinka, wypił go jednym haustem i zapalił papierosa.

Ogólnie rzecz biorąc - myślał - Gringall ma rację. Od lat ślizgam się na cienkiej tafli lodu. Pewnego dnia lód pęknie i to wcale nie będzie wesołe.

Tym razem lód jest wyjątkowo cienki.

Callaghan siedział za kierownicą swojego wozu przed hotelem Pod Dwoma Mnichami i rozmyślał. Życie przypomina trudną rozgrywkę brydżową. Czasami widuje się w gazetach rysunek z szachownicą, a pod nią podpis: „Jaki ruch wykona North?” Właśnie. Jaki ruch ma teraz wykonać North-Callaghan?

Zapalił papierosa i zaczął kasłać. Za dużo pałę, pomyślał. Uruchomił silnik i ruszył w kierunku Hurstmonceaux.

Była siódma trzydzieści, gdy przybył do Domu dla Rekonwalescentów RAF-u. Zastanawiał się, czy mu się powiedzie.

Siostra przełożona wyglądała tak, jak wyglądają zwykle osoby na jej stanowisku. Miała przyjemną powierzchowność, siwiejące włosy, twarz pogodną, wrażliwą i szczerą. Nie można powiedzieć, żeby była nieatrakcyjna.

Callaghan przybrał maskę niewinności, jak zwykle wtedy, gdy zamierzał posłużyć się lżejszym kompletem kłamstw.

- Siostro... wyłożę karty na stół. Nazywam się Callaghan, jestem prywatnym detektywem i prowadzę śledztwo w pewnej drobnej sprawie, o której - proszę mi wybaczyć - nie będę mówił. Czy zechce mi siostra pomóc?

Przyjrzała mu się i widocznie oględziny wypadły pomysłnie, uznała, że wygląda uczciwie, bo odpowiedziała:

- Pomogę, jeśli będę mogła. O co chodzi?

- Czy pamięta siostra niejaką pannę Corinne Alardyse, która pracowała tutaj, zdaje się w ostatnim okresie wojny?

Skinęła głową.

- Pamiętam bardzo dobrze. Skierowano ją tutaj z Kobiecego Ochotniczego Oddziału Pomocniczego. Piękna dziewczyna, dziewczyna o niezwyklej osobowości.

- Zgadza się. A może pamięta pani też pana Donelly, Luciana Donelly? Oficera RAF-u, który przyjechał tutaj na poszpitalną rekonwalescencję?

- O, tak - odparła przełożona i uśmiechnęła się do wspomnień. - Wszyscy interesowaliśmy się nimi. Byliśmy przekonani, że są w sobie zakochani, dopóki...

- Dopóki co?

Przez chwilę zawahała się, a potem ciągnęła dalej: - Naturalnie, pan Donelly był wyjątkowo miłym i atrakcyjnym mężczyzną. Miał doskonale maniery i był bardzo przystojny. Wszyscy spodziewaliśmy się, że coś z tego będzie, ale potem był ten wypadek samochodowy. Pan Donelly miał samochód i prowadził raczej nieostrożnie. Pewnego dnia zabrał Corinne Alardyse do Brighton. Jechali na jakieś przedstawienie. Potem... mówiło się, że zbyt dużo wypił przy obiedzie. U mężczyzny z tak starganymi przez wojnę nerwami, to było zrozumiałe. W każdym razie, wpadł na inny samochód. Wypadek był poważny i policja z Brighton postanowiła pociągnąć go do odpowiedzialności za niebezpieczną jazdę. Przyjechali tutaj, przesłuchiwali nas i rozmawiali z Corinne. Musiała przyznać, że pan Donelly nie był całkowicie sobą. Musiała to powiedzieć, ponieważ inni też go widzieli i uważali, że był po prostu pijany... W każdym razie... policja postanowiła wezwać ją na świadka i pamiętam, że Corinne bardzo się tym martwiła. Prawdę mówiąc, martwiła się tym nawet przesadnie. W ogóle traktowała całą sprawę zbyt poważnie.

- To zrozumiałe, skoro darzyła go sympatią.

- Może, ale nie do tego stopnia. W końcu postanowiła pojechać do Brighton do oficera zajmującego się tą sprawą i powiedzieć mu, że nie będzie zeznawać. Powróciła w dużo lepszym nastroju. Inspektor Manston, który prowadził tę sprawę, obiecał, że nie będzie jej wzywać na świadka, i dotrzymał słowa. Bardzo ją to uspokoiło.

- Rozumiem, a co było dalej?

- To był koniec romansu. - Przełożona uśmiechnęła się.

- Po tym wypadku Corinne jakby zmieniła zdanie na temat Donnelly'ego. Chyba uświadomiła sobie, że istnieje druga strona jego charakteru, która jej się nie podoba. Ich stosunki ochłodziły, a wkrótce potem ona wyjechała. Zdaje się, że pan Donnelly nadal przebywa gdzieś tutaj w sąsiedztwie. Prowadzi jakiś klub w pobliżu Rottingdean. Chyba to wszystko, co wiem, panie Callaghan.

Callaghan wstał i zwrócił się do przełożonej:

- Dziękuję, siostrze. Wprawdzie te informacje niewiele mi pomogą, ale doceniam siostry dobre chęci.

Siedząc już w samochodzie, zaczął rozmyślać: skoro powiedziałeś „a”, musisz powiedzieć „b”. Podpadłeś Gringallowi. Gringall siedzi ci właściwie na karku. Wie, że to ty przemieściłeś te przedmioty; wziąłeś chusteczkę, starłeś odciski palców i w ogóle wprowadziłeś policję w błąd. I tym razem Gringall ci nie daruje. W końcu uda mu się porozmawiać z panną Wymering, która zaprzeczy, że dotykała czy przesuwiała cokolwiek, a wtedy...

Callaghan westchnął.

...A wtedy nie będzie ci wesoło. Gringall wykona ruch i pan Callaghan z Agencji Detektywistycznej Callaghana znajdzie się w niezłych opałach.

Dlaczegoż by więc nie pójść na całego?

Callaghan położył stopę na pedale gazu; Lagonda skoczyła do przodu. Wyrównał prędkość do 50 mil na godzinę. W Brighton znalazł się tuż po ósmej.

Wprawdzie inspektora Manstona nie zastał już na posterunku, ale pojechał wprost do jego domu i od razu przystąpił do rzeczy.

- Nazywam się Callaghan i jestem prywatnym detektywem.

Pracowałem dla rodziny Alardyse, kiedy znaleziono ciało pułkownika Stenhursta. Może słyszał pan o mnie?

Manston wskazał mu krzesło, wyjął paczkę papierosów i dopiero jak zapalili, powiedział:

- Owszem, słyszałem o panu. Pan Gringall, który prowadzi tę sprawę, wspomniał mi o panu. Czym mogę służyć?

- Staram się pomóc panu Gringallowi. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Udało mi się podrzucić mu parę istotnych szczegółów. Chodzi mi teraz o pewien drobiazg, który mu obiecałem, że wyjaśnię. Wydaje mi się, że pan może mi pomóc.

- Jeśli będę mógł... - Manston skinął głową.

- Czy pamięta pan ten niebezpieczny wypadek drogowy - Oficer Lucien Donelly, lekko wstawiony, najechał na inny samochód. Była z nim panna Corinne Alardyse z Kobiecego Ochotniczego Oddziału Pomocniczego, która pracowała wtedy w Domu dla Rekonwalescentów w Hurstmonceaux. Chciał pan, żeby była świadkiem i wysłał jej pan wezwanie. Ale po tym, jak pana odwiedziła, zrezygnował pan z jej zeznań. Domyślam się, że podjął pan tę decyzję dowiedziawszy się, że Donelly jest jej mężem i że to nieetyczne, by żona świadczyła przeciwko mężowi.

- To prawda. Tak właśnie było. - Manston uśmiechnął się. - Ciekawe, skąd się pan dowiedział. No, chyba że ona sama panu powiedziała. W każdym razie, nie rozumiem, co to ma wspólnego ze sprawą Stenhursta?

- Istotnie, niewiele. - Callaghan wstał. - Ale Gringall prosił mnie, żebym to sprawdził. Dziękuję za pomoc.

Ucisnęli sobie ręce i Callaghan wyszedł.

Zawrócił w kierunku Alfriston. Jechał z dużą prędkością. Papieros spalał się szybko na wietrze. Na twarzy Callaghana gościł uśmiech.

A więc tak się sprawa miała. Corinne jest żoną Donelly'ego. I to Donelly napisał anonimowy list do pułkownika, a później kopię wysłał do Gringalla.

A więc to tak wygląda!

Callaghan zaparkował wóz w garażu hotelu Pod Dwoma Mnichami. Znalazł się w swoim saloniku i zaczął się po nim przechadzać. Nic się nie zgadzało. Absolutnie nic. Przypuszczalnie dlatego tak się nie zgadza, że brakuje jakiegoś drobnego detalu.

Obiecał Violi Alardyse, że powstrzyma Donelly'ego - jeśli okaże się, że to on jest autorem anonimu - przed dalszym działaniem. I cóż... Donelly wysłał pierwszy list, potem drugi do Gringalla, a jemu nie udało się temu zapobiec.

W dalszym ciągu rozmyślał o Violi Alardyse. Gringall twierdzi, że Callaghan wpada w tarapaty zawsze wtedy, gdy pomaga jakiejś pięknej kobiecie. Co za nonsens. Jeśli prowadził sprawy pięknych kobiet, to tylko dlatego, że jedynie pięknym kobietom coś się przytrafia. Tylko kobiety, których twarze przypominają rozdeptany kapeć, a nogi - rury kanalizacyjne, nie miewają kłopotów. No i czy zrobił coś dobrego dla Violi? Nic a nic. Jeśli w tej chwili, gdy zaczynał dla niej pracować, była w złym położeniu, to teraz jest w cholernie złym. Westchnął. Droga do piekła jest wybrukowana dobrymi intencjami.

Wzruszył ramionami.

Właśnie nalewał sobie drinka, gdy zadzwoniła Effie Thompson.

- Panie Callaghan, przed chwilą Nikolls przyniósł kopie raportów, które otrzymał od pana Ayneswortha na temat Ruperta Sharphama. Jutro rano przywiezie je panu. Są to zwyczajne raporty ze służby i z lotów oficera RAF-u. Są długie i zawierają rutynowe treści. Wyciągnęłam parę punktów, może pana zainteresują.

- Dobra dziewczynka. Czytaj.

- Są to głównie raporty z lotów, badania lekarskie i uwagi dotyczące służby w ogóle. Sharpham był chyba dobrym oficerem. Zanim się rozbił, był dwukrotnie ranny. Pierwszy raz został trafiony pociskiem smugowym na początku roku 1942 w ramię, a po raz drugi, pod koniec tego samego roku dostał postrzał w prawą rękę. Amputowano mu wówczas mały palec i na sześć miesięcy musiał przerwać latanie. Był wtedy w randze kapitana lotnictwa.

W 1943 awansował na dowódcę szwadronu. Słyszał pan wszystko?

- Tak. Mów dalej.

- Pan Nikolls twierdzi, że to, co teraz powiem, to kluczowa sprawa dla pana. Sharpham został zestrzelony i rozbił się we Włoszech w 1944 roku, kiedy leciał wojskowym samolotem zwiadowczym. Był z nim drugi pilot. Tym drugim pilotem był kapitan lotnictwa Lucien Donelly. Sharpham został lekko ranny, natomiast Donelly odniósł poważne obrażenia. Miał złamane prawe ramię, szczękę i nos. Również oczy ucierpiały i przypuszczano, że straci wzrok. Ale zdaje się, że w tym obozie jenieckim mieli dobrego chirurga, któremu udało się jakoś go połatać. Kiedy już poczuł się dobrze, obaj z Sharphamem zaplanowali ucieczkę. Uciekli z obozu, ale w trakcie przechodzenia przez strefę walk, Sharpham zginął od granatu. Donelly przedarł się do linii brytyjskich. Był w złym stanie, ale się wygrzebał. Ewakuowano go do Anglii i po leczeniu wysłano do Domu dla Rekonwalescentów RAF-u w Hurstmonceaux. Pan Nikolls twierdzi, że to są najważniejsze fakty, o które panu chodziło. Zamierza przywieźć panu pełne *dossier* jutro rano.

- Dobrze, powiedz mu, że nie musi się tak spieszyć. Mam już to, na czym mi zależało. Czy Friquet odezwał się z Capetown?

- Nie, ale obiecał, że zaraz się do tego zabierze, i natychmiast, jak coś znajdzie, zadzwoni.

- W porządku. Jak tylko coś będziesz wiedziała, daj mi znać. Do widzenia, Effie. - I Callaghan rozłączył się.

A więc to tak wygląda sprawa. Układanka zaczynała mieć sens.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Corinne ma czekać na niego na plaży o dziesiątej.

Nalał sobie drinka. W najbliższym czasie trzeba będzie ograniczyć picie. Tak, w najbliższym czasie.

Włożył płaszcz i czapkę i zszedł na dół do samochodu. Uruchomił silnik i zaczął myśleć o Corinne.

Przejażdżka z Corinne

Tuż po dziesiątej Callaghan zatrzymał Lagonę w odległości mniej więcej dwustu metrów od New Inn w Pevensy Bay przy Eastbourne Road. Zaparkował wóz na poboczu i ruszył w kierunku morza żwirowaną alejką prowadzącą obok rzędu domków straży przybrzeżnej. Była piękna noc. Crumbles - pustkowie z przykucniętymi tu i ówdzie samotnymi domkami - wyglądało spokojnie, niemal romantycznie w blasku księżyca. W odległości kilkudziesięciu kroków przed nim stał Klub Oficerski, ostatni budynek w szeregu domków straży przybrzeżnej, którego dach wieńczyły cztery kominy. Smutna, zdewastowana, opuszczona ruina, swym wyglądem potwierdzająca swoją złowieszczą przeszłość.

Callaghan pamiętał tę sprawę. To tutaj Patrick Mahon, przystojny, dobrze zbudowany Irlandczyk, zamordował kobietę, pociął ją na kawałki i spalił. Kilka tygodni później jakieś dziecko bawiące się pośród kamieni przed domem znalazło ludzką rękę i wtedy została puszczona w ruch machina prawa, która zatrzymała się dopiero przy szafocie.

Dróżka mijała budynek i biegła dalej aż do morza. Spro minut upłynęło, nim dojrzał Corinne siedzącą na dziobie dinghi na plaży. Za nią, na długiej cumie, widać było motorówkę.

Kiedy zbliżał się do niej, Corinne wstała i wyszła mu naprzeciw. Miała na sobie spodnie, jedwabny szalik i płaszcz z flaneli. Chustka z żorzęty przykrywała jej ciemne włosy. W świetle księżyca wyglądała ładnie.

Corinne wyciągnęła do niego rękę.

- Slim, słodki jesteś. Jak to miło z twojej strony, że zadajesz sobie tyle trudu.

- Cieszę się, że mogę ci pomóc. - Uśmiechnął się do niej. - Poza tym, jesteś moją klientką i płacisz mi za to.

- Nie powinieneś tak mówić. - Spojrzała na morze.

- Przejedziemy się? Jest taka piękna noc.

- Czemu nie?

Corinne wsiadła do dingi, Callaghan zepchnął łódkę z plaży i zwinnie do niej wskoczył. Ona chwyciła wiosło i przepłynęli parę metrów, które dzieliły motorówkę od brzegu. Weszli na pokład. Callaghan przywiązał dingi na rufie.

Corinne uruchomiła silnik i skierowała łódź w stronę otwartego morza. Długa, wysmukła łódź o świetnym silniku.

- To twoja łódź? - zapytał Callaghan.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, należy do Luciena Donnelly'ego, mojego chłopaka. - Namówiłam go, by ją kupił. Uwielbiam morze. Niestety, on nie. Kiedyś udawało mi się go czasami namówić na przejażdżkę. Teraz na ogół pływam sama.

- Wolisz być sama?

- Bo ja wiem?

Mijali teraz pasmo fal przybrzeżnych, mniej więcej czterysta metrów od brzegu. Prowadziła łódź bardzo sprawnie.

- Dobrze sobie radzisz. Czy ona nie jest zbyt wąska jak na morze? Wygląda na jednostkę rzeczną.

- Jest bardzo szybka. Trzeba się z nią obchodzić ostrożnie. Inaczej łatwo się wywraca. Pokażę ci.

Wykonała obrót, ustawiła łódź burtą do nadchodzącej fali. Mayflay drżała przez moment, przechyliła się pod kątem $\pm 35^\circ$, a wtedy Corinne wykonała jeszcze jeden obrót i łódź wróciła do poprzedniego położenia.

- Ona jest jak kobieta. Trzeba z nią postępować łagodnie, w przeciwnym razie może się stać nieprzyjemna.

- Corinne roześmiała się.

Callaghan wyjął papierośnicę.

- Zapalisz? - spytał.

- Nie, dziękuję. Ale ty zapal. Powiedz mi, Slim, dowiedziałeś się czegoś na temat listu? - Jej głos był obojętny.

- Tak, udało mi się ustalić, że twoje podejrzenie było słuszne. To Donnelly napisał list.

Zapanowało milczenie. Corinne wydała jakiś świszczący dźwięk. Jak podrażniona żmija, pomyślał Callaghan.

- Wesz... tchórzliwa świnka!

- Jesteś zaskoczona?

Znowu nastąpiła krótka pauza, a po chwili Corinne odparła:

- Nie, chyba nie. Zmieniłam zdanie... jednak zapalę.

Podszedł do niej i dał jej papierosa; stulił dłoń, żeby osłonić ogień z zapalniczki. Powiał zimniejszy wiatr. Łódź pędziła teraz przez wzburzone morze. Spokojne przy brzegu, tutaj kipiało.

Zapanowało milczenie. Zdawało się, że minęło sporo czasu, nim Corinne odezwała się znowu:

- Slim, spodziewam się, że wiesz dużo o kobietach i mężczyznach...

Wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek wiedział. Każdy mężczyzna i każda kobieta stanowią oddzielny przypadek i powinno się ich oceniać wedle indywidualnych wartości. A dlaczego pytasz?

- Zastanawiam się, czy będziesz w stanie zrozumieć to, co jest między mną a Lucieniem. Moją skłonność ku mężczyźnie, którego jednocześnie nienawidzę.

- Ktoś kiedyś powiedział, że miłość jest siostrą nienawiści.

Corinne mówiła cichym głosem:

- Tak, to jest właśnie to. Mężczyzna i kobieta, którzy się nienawidzą, a jednocześnie nie mogą się od siebie uwolnić. Przypuszczam, że zabrzmi to śmiesznie, ale ja nadal, mimo wszystko, szaleję za nim.

- Wierzę, że musiałaś szaleć. Inaczej nie wyszłabyś za niego.

- Na Boga, a więc wiesz o tym! - parsknęła chrapliwym śmiechem. - Slim, całkiem niezły z ciebie detektyw. Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Pojechałem do Hurstmonceaux do Domu dla Rekonwalescentów. Uciałem sobie rozmówkę z przełożoną pielęgniarką. Opowiedziała mi o wypadku samochodowym, jaki mieliście z Donellym, i o tym, jak policja przysłała ci wezwanie, żebyś była świadkiem, a potem zrezygnowała z ciebie. Domyśliłem się, że musiałaś im powiedzieć, że jesteś jego żoną. Żona nie może zeznawać w sądzie przeciwko mężowi. I dlatego policja zrezygnowała z ciebie.

- Spryciarz z ciebie, Slim. Prawdziwy spryciarz. Odkryłeś więc, że wyszłam za mąż za Donelly'ego. Nikt poza nami, urzędnikiem, który udzielał nam ślubu, i tego policjanta nic o tym nie wie. A policjant nie ma powodu mówić. Gdybym teraz przewróciła łódź, nasza tajemnica poszłaby na dno wraz z tobą.

Callaghan uśmiechał się do Corinne. Ona też była uśmiechnięta. Siedziała na rufie, odchylona do tyłu, z jedną ręką na mosiężnym sterze. Istny diabeł w spodnicy.

- To raczej ty byś utonęła. Ja jestem dobrym pływakiem. Ale gdybym miał utonąć, zadbałbym o to, żebyś poszła ze mną na dno. Dość już narozrabiałaś.

- Czyżby? Naprawdę narozrabiałam? Jeszcze zobaczymy. Powiedz mi lepiej, Slim, dlaczego on napisał ten list. I skąd wiesz, że to on?

Callaghan zapalił nowego papierosa.

- Mam próbkę pisma wykonaną na maszynie z jego biura. Dotarliśmy do jego sekretarki, dziewczyny, która u niego pracuje. Defekty czcionek w liście anonimowym pokrywają się z defektami próbki, którą zdobyliśmy. Możesz mi wierzyć, to Donelly wysłał anonim.

- No dobrze, ale po co?

- Mnie też na początku intrygowało to pytanie. Nie mogłem zrozumieć. Teraz chyba zaczyna mi się rozjaśniać.

- No więc... mów - powiedziała Corinne ponagłajaco.

- Resztę sobie sama dopowiesz. Ja widzę to tak: Spokonaś Donelly'ego w Domu dla Rekonwalescentów.

Zakochałaś się w nim. Nic w tym dziwnego. Jest typem mężczyzny, który może się podobać każdej kobiecie - ujmujący, dobrze wychowany, robiący wrażenie. Wiedział o małżeństwie Violi z Sharphamem, zawartym w 1939 roku. Powiem ci, skąd o tym wiedział. Lucien Donelly latał z Sharphamem jako drugi pilot. Razem ich zestrzelono. Razem znaleźli się w obozie jenieckim we Włoszech. W tym czasie Sharpham otrzymał list od Violi, w którym doniosła mu o testamencie matki. O tym, że ponieważ wyszła za niego za mąż, nie będzie miała pieniędzy. Sharpham z kolei zwierzył się Donelly'emu. Kiedy Donelly wylizał się jako tako z odniesionych ran, obaj postanowili uciec. Uciekli z obozu, ale wtedy walki toczyły się już na terenie Włoch i musieli przejść przez linię frontu. Sharphamowi się nie powiodło. Został zabity od wybuchu granatu. Resztę możesz sobie chyba sama dopowiedzieć?

- Rozumiem - odparła wolno.

- To łatwe. Donelly został z informacjami, za którymi kryły się pieniądze. Nie przypadkiem zjawił się w Domu dla Rekonwalescentów w Hurstmonceaux. Poprosił, żeby go tam wysłano. Chciał się dowiedzieć, co się dzieje w Dark Spinney. No i dowiedział się. Dowiedział się, że Viola mimo małżeństwa z Sharphamem jest panią Dark Spinney i odziedziczyła pieniądze matki. Wtedy poznał ciebie i z miejsca wpadłaś mu w oko. Czy można mu się dziwić? Po pierwsze, jesteś piękną kobietą, po drugie, zamierzał za twoim pośrednictwem zapewnić sobie stałe dochody bez żadnych zobowiązań. Sprytny gość ten Donelly. Równie zły jak ty. Dobraliście się w kocu maku.

Zaśmiała się jadownicie.

- Masz rację... nie lada z nas niegodziwcy!

Callaghan ciągnął dalej:

- Zakochałaś się w nim. Kiedy zaproponował ci małżeństwo, myśl ta przypadła ci do gustu. Oto bowiem pojawił się w twoim życiu - mimo całego doświadczenia i licznych przygód - pierwszy mężczyzna, w którym się naprawdę zakochałaś. Poślubiłaś go więc i dopiero wtedy on

opowiedział ci całą historię. Miał cię w garści. Co byś zyskała, gdyby Violę pozbawiono dziedzictwa? Co byś z tego miała, że prawda wyszła na jaw? Ty też nie mogłabyś dziedziczyć, ponieważ przez małżeństwo złamałaś warunek testamentu. Niezłe sobie z siebie zakpił. Znowu rozległ się krótki, syczący dźwięk.

- Proste, prawda? - Potem zrobił następny ruch: szantaż wobec Violi. Dla niej była to ciężka próba, bo ona nie chciała tych pieniędzy. Wyznała ciotce całą prawdę, ale panna Wymering namówiła ją do zatajenia wszystkiego. Sharpam już nie żył, a poza tym przecież de facto nigdy nie była jego żoną, mimo iż w chwili odczytywania testamentu formalnie była mężatką. Poszła więc do Violi i powiedziała, że spotkałaś Donnelly'ego, który zna całą prawdę. Namówiłaś ją, żeby płaciła i ona zaczęła płacić.

- Zgadza się - powiedziała Corinne niemal obojętnym tonem. - Ohydna historyjka, co?

- No, nie najpiękniejsza. Zastanawiam się, dlaczego to zrobiłaś - zapytał beznamiętnym tonem.

- Naprawdę nie wiem. - Corinne zamilkła jakby zastanawiając się nad pytaniem, potem powiedziała: - Przypuszczam, że było wiele przyczyn. Przede wszystkim, był Donnelly, a ja oszalałam na jego punkcie. - Zaśmiała się. - Dowcip polega na tym, że nadal szaleję. Szaleję, a jednocześnie nienawidzę go. A z Violą to inna sprawa. Ona ma w sobie coś, co doprowadza mnie do szału. Wiem, co to. Ona jest po prostu lepsza ode mnie... przyzwoita, uczciwa i dobra. Przez cały czas trwania tej historii powinnam się czuć jak prawdziwa dziwka. Viola robiła mi prezenty, dawała pieniądze, samochody, cokolwiek zapragnęłam... a wszystko po to, żebym nie miała uczucia, że coś straciłam. - Corinne wzruszyła ramionami. - A ja czułam się przez to jeszcze gorsza. Należę do osób, którym dobrze robi przyzwoitanie. - Zaśmiała się gorzko. - Jediną osobą, która zna tę stronę mojej natury, jest mój mąż. O, jakżeż biegły jest w zadawaniu psychicznych tortur.

- W porządku, wszystko to pięknie, ale do czego zmierza

Donelly? O co mu chodzi? Wysłał następny anonim... kopię pierwszego.

- Nie! Czyż on nie jest cudowny? Czy widziałeś kiedyś coś podobnego? Co za wspaniałe opanowanie. Naprawdę wspaniałe. To taki gość, co lubi wrywać motylkom skrzydełka. Absolutna i skończona gnida! Powiedz... do kogo wysłał ten list? Do ciotki Honorii? A może do Johna Galashielsa, tego adwokata?

- Ani do ciotki, ani do Galashielsa. Wysłał ten list do nadinspektora Gringalla ze Scotland Yardu, który prowadzi śledztwo w związku ze śmiercią twojego ojczyma. Sam Gringall mi to powiedział.

- Slim, zamiary Donelly'ego są jasne. Niedawno powiedziałam mu, że Viola ma dość tej całej historii. Donelly domaga się coraz więcej pieniędzy. Nie zrobił fortuny na tym klubie. Lubi mieć pieniądze, dają mu bowiem poczucie władzy. Poznaje w klubie kobiety, atrakcyjne kobiety. - Corinne zaśmiała się. - Nie ludzę się, że jestem jedyną kobietą w jego życiu. Ale ja go rozumiem. Gdybym była mężczyną, byłabym taka sama.

Callaghan rzucił niedopałek w morze. Zapalił następnego papierosa.

- Nigdy w życiu nie słuchałem nikogo z taką przykrością jak ciebie - powiedział. - Sadystyczna bestyjka z ciebie, nie ma co!

Roześmiała się nieprzyjemnie.

- Naprawdę, kochanie? Jakie to zabawne! Trzymaj się, zawracamy!

Łódź zakręciła szerokim łukiem. Kiedy znalazła się burzą do fali, strumień rozpylonej wody zalał ich oboje. Corinne dodała gazu. Motorówka pomknęła do brzegu.

Corinne odezwała się niedbałym tonem:

- Przypuszczam, że Donelly zorientował się, że Viola dostała już za swoje. Że ma dość całej tej historii. On jest niezłym psychologiem. Zrozumiał, że jak Viola się załamie, przestanie milczeć. Dlatego wymyślił coś innego. Wie, że należą do takich, co to muszą mieć zawsze pieniądze. Złapał mnie w potrzask. Jestem jego żoną. Gdyby Viola została

wydziedziczona, majątek automatycznie przejdzie na mnie, chyba że ktoś' odkryje, że jestem mężatką. A kogo to obchodzi? Nikt, z wyjątkiem członków rodziny i Galashielsa nie zna warunków testamentu. Donelly wie, że ja nic nie powiem, że przyjmę, co mi się należy, i że - przede wszystkim - on na tym skorzysta. Cóż za przyjemniaczek!

Zapanowało milczenie. Callaghan patrzył przed siebie, na długie pasmo kamienistej plaży, parę domów i domków.

Corinne wyłączyła silnik. Mayflay łagodnie płynęła ku brzegowi. Po chwili Corinne odezwała się:

- Wyrzuc kotwicę. Zatrzymamy się tutaj. Chodź i usiądź obok mnie, Slim. Chcę z tobą porozmawiać.

- Niech będzie. Mam zwyczaj próbowania wszystkiego.

Wyrzucił kotwicę za burtę i przeszedł do niej na rufę.

Położyła rękę na jego dłoni.

- Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił, Slim. Mówię teraz od serca, szczerze. Chodzi o coś dobrego. Zastanawiam się, czy zechcesz. Tylko ty możesz to zrobić.

- A cóż to takiego? Jeśli tylko będę mógł, zrobię. To dziwne, ale tym razem wierzę, że mówisz prawdę.

- Chcę, żebyś go porządnie sprzął. Chcę, żebyś pojechał do Mardene, do tej jego meliny, i dał mu wycisk. Wystarczy raz. Jeśli ty to zrobisz dla mnie, ja też coś zrobię dla ciebie. Będziesz zadowolony, zobaczysz.

- Tak? A co?

- Teraz ci nie powiem, ale przyrzekam, że będziesz zadowolony. Dopóki nie obijesz Donelly'ego, będę milczeć. Po prostu musisz to zrobić. Nic na tym nie stracisz. - Spojrzała na niego z boku. - Ani Viola. Ona ci się podoba, prawda? Tak, ona podoba się takim mężczyznom jak ty.

- Tak? Nic o tym nie wiem. Agencja Detektywistyczna Callaghana nigdy nie myśli tymi kategoriami o swoich klientach.

- Akurat! Ale zrobisz to dla mnie, prawda, Slim? - Uśmiechnęła się do niego. - Przecież ja też jestem twoją klientką. Zapłaciłam ci siedemdziesiąt pięć funtów... no to jak... umowa stoi?

- Zapomniałem o tych siedemdziesięciu pięciu funtach.

Czuł, że znalazł się w cholernie głupiej sytuacji. Pewny był, że Corinne zapłaciła mu pieniędzmi ukradzionymi z sumy, którą Viola przekazała Donelly'emu. Pieniądze należały w takim razie do Violi.

- Nie podoba mi się Donelly - powiedział w końcu. - Mam przez niego mnóstwo kłopotów. To on jest odpowiedzialny za to, że znalazłem się w kłopotliwej sytuacji wobec policji. Może uda mi się z tego wybrnąć, ale w tej chwili wygląda na to, że raczej nie. Dobrze, Corinne, pojedę do niego jutro wieczorem. Zagramy w otwarte karty.

- Dzięki, Slim - uścisnęła jego rękę - dziękuję ci. Świetnie. Obiecuję, że nie pożalujesz.

- Chodźmy - Callaghan podciągnął dingi.

Przez okno saloniku Callaghana w hotelu Pod Dwoma Mnichami wpadało poranne słońce, rozświetlając wzorzysty dywan i rzucając cień na dużą twarz Windemere Nikollsa, który siedział ze szklanką whisky w ręce, przy oknie w rogu pokoju.

- A więc całkiem kiepsko... co? - powiedział Nikolls.

- Wygląda na to, że tym razem dostaniemy za swoje. Ja... ja się wcale nie dziwię. Zawsze spodziewałem się, że przyjdzie taki dzień, kiedy trafi się jakaś ślicznotka, przez którą splajtujemy, i zdaje się, że ta chwila nadeszła. I to z hukiem. Co teraz?

Callaghan, zatopiony w fotelu, ze stopami opartymi na kominku, niezapalonym papierosem wiszącym w kąciku ust, wzruszył ramionami.

- Jeśli nic nowego nie wyskoczy, na co raczej nie liczę, odbędzie się to mniej więcej tak. Wczoraj wyprowadziłem Gringalla w pole. Patrycja powiedziała mu, że panna Wymering pojechała odwiedzić chorą przyjaciółkę, czy coś w tym rodzaju. Ale to było tylko odroczenie. Spotka się z nią nie dzisiaj, to jutro. Jeśli mu zależy na czasie, to jeszcze dzisiaj.

- I wyjawi jej wszystko - Nikolls dokończył swoją whisky.

- Tak jest. A ona mu powie, że nie ma nic wspólnego z przemieszczeniem dowodów, że nie ruszała żadnej chusteczki i nic nie robiła z rewolwerem. I wtedy Gringall będzie już wiedział, że to nikt inny tylko ja.

Nikolls skinął głową.

- I postara się o nakaz zgodnie z Ustawą Policyjną, i wyłączy cię ze sprawy. Żeby pokazać, że nie chowa do ciebie urazy.

- Nie - Callaghan pokręcił głową - tego nie zrobi. Gringall jest na to zbyt mądry. Dobrze wie, że jeśli mnie oskarży, nic mu nie powiem i nie będzie mógł mnie zmusić do mówienia. Chyba, że powoła mnie na świadka.

- No dobrze, to co, do licha, zrobi?

- Ubije ze mną interes. Już teraz dobrze wie, że to ja przesunąłem chusteczkę, wytarłem pistolet i tak dalej. Wie o tym. Gdy panna Wymering zaprzeczy wszystkiemu, on to udowodni. Jeśli powiem mu, dlaczego to zrobiłem, zostawi mnie w spokoju. Ale gdybym to zrobił, byłoby to równe przyznaniu, że istniała groźba, że moja klientka Viola Alardyse, może być oskarżona o zamordowanie pułkownika. Miała bowiem oczywiste motyw. A on tylko na to czeka. Będzie miał dość materiału, aby zaproponować koronerowi zamknięcie śledztwa, a dalej już wszystko zależy od sędziów przysięgłych.

- Kiepsko to wygląda dla naszej klientki. Oczywiście, gdybyś powiedział wszystko Gringallowi, ale...

- Co, ale...

- Ale ty mu nie powiesz. Zawsze miałaś słabość do pięknych kobiet. Zamkniesz buzię na kłódkę i przyjmiesz reprimendę, ale jej nie otworzysz, żeby Viola nie popadła w tarapaty. Już ja cię znam.

- Dziwisz się? Viola Alardyse jest naszą klientką. Nie wolno nam jej zawieść.

- Chryste... czy ja dobrze słyszę? Kiedy pomyślę o tych kłopotach, w jakie wpadali nasi klienci... - Nikolls westchnął. - No, może to i warto, jeśli ona przyzwolicie płaci.

- Nie zapłaciła jeszcze ani grosza. Jedyne pieniądze,

jakie otrzymaliśmy w związku z tą sprawą, pochodzą od Corinne.

Nikolls wzruszył ramionami, nalał następne dwa drinki, jeden podał Callaghanowi i powiedział:

- Wygląda na to, że pracujemy dla każdego, nikt nie ma forsy, a ty prawdopodobnie skończysz w pudle. Co za życie!

- Mogło być gorzej - powiedział Callaghan i wypił whisky. - Wiesz, gdzie jest teraz ta twoja przyjaciółka, sekretarka Donelly'ego?

- Owszem. Mam jej adres. Powinna być w domu.

- W porządku. Wskocz do samochodu i pojedź do niej. Zaprosz ją na obiad i dowiedz się, co Donelly będzie robił w ciągu dnia, a szczególnie wieczorem. O której godzinie ma zamiar pojawić się w klubie. Słowem, dowiedz się wszystkiego tego, co ci się uda.

Nikolls wstał. Odstawił pustą szklanekę na stół i sięgnął do kieszeni po papierosy.

- Dobra, Slim, do zobaczenia. Jeśli dowiem się czegoś ekstra, zadzwonię, jeśli nie, wrócę później. - I wyszedł.

Callaghan zapalił papierosa i zaczął się zastanawiać nad Corinne. Niezwykły, rzadko spotykany typ kobiety, ta Corinne. Intrygująca, pociągająca, ze skłonnością do przewrotności i sadyzmu. Razem z Donellym tworzyli parę, przy której grzechotniki można by uznać za niewinne owieczki. Donelly to zwykły łajdak, ale Corinne to kobieta, która potrafi kłamać niczym Ananiasz, tak że przez chwilę wierzysz, że mówi prawdę. Przypomniał sobie, co mówiła w czasie spotkania w gospodzie Pod Koroną. Słyszał jej czarujący głos - niski, urzekający, wypowiadający słodkie kłamstwa, jakoby nigdy nie słyszała o małżeństwie Violi... „... muszę zrobić wszystko dla ratowania Violi...” „... Chciałabym, abyś ustalił, kim jest autor, żebyśmy mogli go powstrzymać przed działaniem na szkodę Violi, a ona mogła czuć się bezpiecznie”.

Callaghan uśmiechnął się. A więc to tak. I ta wczorajsza noc... szatan nie kobieta.

Przyznała się do wszystkiego bez mrugnienia okiem. Do

małżeństwa z Donellym, do tego, że go nienawidzi, chociaż jednocześnie nie może się od niego uwolnić; że nienawidzi Violi. Czy przypadkiem głównym problemem Corinne nie jest to, że nienawidzi siebie, pomyślał Callaghan.

Corinne i Donelly. Piękna para. Dobrana para szantażystów. Mężczyzna wybiera właśnie taki typ kobiety, bo wie, że niczym mu nie zagraża, że znalazł bratnią duszę; nakłania ją czy oczarowuje osobistym wdziękiem i doprowadza do małżeństwa, a potem uzależnia ją od siebie podobnie jak łódź jest uzależniona od steru, robi z niej szantażystkę, która nie zawaha się zaszantażować własną siostrę; musiała mieć, oczywiście, zadatki do takiej roli.

Teraz Callaghan wszystko rozumiał. Rozumiał, dlaczego Honoria Wymering namówiła Violę, aby milczała na temat swojego małżeństwa. Ciotka Honoria dobrze знаła Corinne. Wiedziała, co by się stało, gdyby Corinne otrzymała pieniądze i posiadłość. Musiał przyznać, że ciotka Honoria miała stuprocentową rację. Ale dokąd ją to zaprowadziło... ją i Violę?

Przypomniał sobie ostatnią noc; przejażdżkę z Corinne. Tę przyjemną „przejażdżkę po morzu”. Widział ją oczyma wyobraźni, siedzącą na rufie Mayflay z ręką na sterze, ogromnymi oczami wpatrzonymi wprost przed siebie; i ten niemalże przesadnie skromny, niewinny wyraz twarzy. Przypomniał sobie, że za każdym razem, gdy mówiła o Donellym, o tym, że go nienawidzi, gardzi nim, a jednocześnie nie może się od niego uwolnić, tembr i tonacja jej śmiechu ulegały raptownej zmianie - jej śmiech stawał się ostry, niski, nienawistny. Słodka parka, idealne małżeństwo, nie ma co. A teraz wymyśliła, żeby Donelly'emu sprawić lanie. I Callaghan ma to zrobić. To można zrozumieć.

Zdominowana przez Donelly'ego Corinne z przyjemnością myślała o fizycznym bólu zadawanym mu przez kogoś innego. Sadyzm, któremu do tej pory dawała ujście głównie wobec Violi, miał być teraz skierowany na Donelly'ego. A potem... Callaghan uśmiechnął się cynicznie. Potem będzie mu przypuszczalnie współczuć, śmiejąc się jednocześnie w duchu.

Słodka kobietka, nie ma co!

Zdumiewała go. A jednak ostatniej nocy można było wyczuć jakiś ledwie uchwytny ślad szczerowości w jej zachowaniu. Kiedy rzucał jej w twarz prawdę, nie zaprzeczała ani nie robiła uników. A nawet pragnęła czegoś „od serca” - dobrze by było, gdyby Donnelly dostał lanie. Byłaby to dobra rzecz - dobra dla wszystkich.

Do diabła, co ona przez to rozumiała?

Callaghan wzruszył ramionami. Zdjął nogi z kominka, wyrzucił niedopałek do kominka i podszedł do okna. Uznał, że czasem myślenie nie przynosi wiele dobrego, prowadzi donikąd, głównie dlatego, że nie ma nad czym myśleć. Wszystko jest bez sensu.

Zadzwoił telefon. Przemierzył szybko pokój i podniósł słuchawkę. Była to Effie Thompson.

- Dzień dobry, panie Callaghan - powiedziała afektywnym głosem. - Mam nadzieję, że spał pan dobrze.

- Bardzo dobrze, dziękuję Effie. A ty?

- Niestety, nie. Spałam w pana pokoju na fotelu, na wypadek, gdyby dzwonił ten John Friquet.

- Dobra dziewczynka. Po moim powrocie przypomnij mi o podwyżce. Sądzę, że zasługujesz na nią. Oczywiście, jeśli do tego czasu nie znajdę się w więzieniu.

- Już kiedyś słyszałam o tej podwyżce. Nawet o tym nie myślę. Ale co pan ma na myśli mówiąc: „...jeśli do tego czasu nie znajdę się w więzieniu”?

- W dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo.

- To tak się sprawy mają? - powiedziała zmartwionym głosem.

- Wszystko może się zdarzyć. A z czym dzwonicz?

- Dzisiaj rano odezwał się ten John Friquet. Dzwoniłam do pana wcześniej, ale linia była zajęta. Rupert Sharpham, który pracował jako instruktor tańca w Rosehill Dance Hall, to ten sam człowiek, o którego panu chodzi. Friquet opisał mi jego wygląd i jeśli pan porówna to z lekarskimi świadectwami z RAF-u, które zawiera teczka z aktami Sharphama zdobyta przez Nikollsa, to się pan przekona, że jest to ten sam człowiek. Jest tam między innymi mowa o

znamieniu pod lewą pachą i paru innych znakach szczególnych.

- Dobrze. A więc jest to ten sam człowiek. Mów dalej.

- Sharpham jest poszukiwany przez policję Capetown, Brytyjską Policję w Rodezji, a także przez policję w Pietermaritzburgu, gdzie ciąży na nim dwa oskarżenia. Na początku 1938 roku ożenił się z Ernestine Rasslaer w Urzędzie Stanu Cywilnego przy Bond Road w Capetown. Jeszcze tego samego roku opuścił żonę. Z małżeństwa tego urodziło się jedno dziecko. Żona żyje i pracuje na farmie w Hermanos w Cape Province. Ciąży na nim obowiązek alimentacyjny na rzecz żony oraz wyrok za niestawienie się w sądzie Capetown. Żona nie przestała go poszukiwać od chwili jego zniknięcia. Friquet mówi, że na razie zdobył tyle, ale szuka dalej.

Callaghan uśmiechnął się do siebie.

- Przekaż mu, żeby dalej się nie trudził. Mnie wystarczy to, co już wiem. Jak będziesz do niego dzwoniła, poproś, żeby mi przysłał poświadczoną kopię aktu ślubu z Urzędu Stanu Cywilnego. Niech przyśle jak najszybciej, najlepiej pocztą lotniczą.

- Dobrze. Domyślam się, że nie może pan jeszcze powiedzieć, kiedy pan wraca do Londynu. Zebrało się dużo korespondencji. Panna Vendayne pytała o pana kilka razy...

- Nic na to nie poradzę. Muszę tu jeszcze zostać parę dni. Mam nadzieję, że wkrótce wrócę. Pilnuj tam wszystkiego, Effie.

- Dobrze i życzę powodzenia, panie Callaghan. I jeśli to możliwe, proszę się trzymać z dala od więzienia.

- Dzięki. Postaram się.

Callaghan rozłączył się i stał patrząc jeszcze przez chwilę na telefon. W końcu powiedział: - A niech to szlag! - podszedł do szafki, znalazł butelkę whisky i pociągnął spory łyk. Potem zapalił papierosa.

Rozległo się pukanie do drzwi.

To na pewno Gringall, pomyślał. Ot i zaczynają się schody. Ale mylił się. Była to Patrycja.

Stała w obramowaniu drzwi, obraz czarującej dziewczyny

w czerwono-brązowym wełnianym żakiecie w drobne cętki, takiej samej spódnicy, filcowym kapeluszu z czerwoną wstążką, nasuniętym figlarnie na jedno oko.

- Wejdz, Patrycjjo. Co nowego?

- Mam numery tych banknotów, Slim. - Wyjęła kawałek papieru z kieszeni żakietu. - Proszę. Nikt w banku nie widział w mojej prośbie nic podejrzanego. Uznano ją za normalną.

Callaghan schował kartkę do kieszeni i powiedział:

- Dziękuję, Patrycjjo. Bardzo mi pomogłaś. Zapalisz?

- Tak, proszę. Jak się sprawy przedstawiają, Slim?

- W pewnym sensie nie najlepiej. Mam na myśli swoje położenie. Spodziewam się przykrości ze strony pana Gringalla. - Podał jej papierosa i przypalił. - A gdzie jest ciotka Honoria?

- Wróci mniej więcej za pół godziny. Jest na zakupach. Pan Gringall już będzie na nią czekał. Dzwonił dziś rano dwa razy. Obawiam się, że już nic więcej nie można zrobić. Czy jest tak źle, Slim?

- Wcale nie jest źle. Znalazłem się po prostu w niezręcznej sytuacji. A, przy okazji, gdzie jest Viola?

- W domu. Chciałbyś z nią porozmawiać?

- Powinienem. Jak wrócisz, poproś ją, żeby spotkała się ze mną w lesie, przy furtce. Wiesz gdzie. Niech będzie o trzeciej po południu, tylko na pewno.

- Dobrze. - Patrycja wstała, zdusiła niedopałek w popielniczce i powiedziała: - No to lecę. Tylko proszę cię, Slim, nie narażaj się. Wiesz, ja cię naprawdę lubię.

- Cieszę się, będę uważał.

Od drzwi rzuciła jeszcze z uśmiechem.

- Bombowy z ciebie facet, Slim. Uważam, że masz w sobie coś.

- Ja też tak uważam. - Callaghan odwzajemnił uśmiech.

- Kłopot tylko w tym, że nie jestem pewien, co to takiego. Do widzenia Patrycjjo.

Po jej wyjściu Callaghan wyjął z kieszeni kawałek papieru, który mu dała. Następnie wyjął z portfela banknoty otrzymane od Corinne w gospodzie Pod Koroną. Porównał

numery. Były identyczne! Uśmiechnął się. Corinne oszukiwała nie tylko swoją siostrę, oszukiwała także Donelly'ego. Domyślał się, że banknoty leżące teraz na stole stanowiły część ostatniego okupu od Violi. Podejrzał, że Corinne w ogóle nie przekazała pieniędzy Donelly'emu i zatrzymała je dla siebie. Dlatego powiedziała Violi, że Donelly domaga się większej sumy. Callaghan schował banknoty i kartkę z numerami do kieszeni, włożył kapelusz, zszedł na dół do garażu i wyprowadził wóz. Jechał wolno pustą drogą z Alfriston, obok Pevensey Bay. Odtwarzał w pamięci wydarzenia ostatnich trzech, czterech dni. Poszczególne fragmenty zaczynały się układać w całość. Niejasny obraz nabierał ostrości.

Za pięć trzecia Callaghan zaparkował wóz na skraju małego lasu porastającego zbocze między Dark Spinney a główną drogą do Eastbourne. Szedł ścieżką do jazdy konnej wijącą się wokół wzgórza, obok muru z zieloną furtką i dalej przez las.

Viola Alardyse czekała obok furtki. Blask słońca rozświetlał otwarte pole. Jej jasne włosy mieniły się złotymi refleksami. Ubrana była w suknię z ciemnopopielatej flaneli, i jasny płaszcz z wielbłądziej wełny.

Co za kobieta, pomyślał Callaghan. Niech się dzieje, co chce, a ja uważam, że warto ryzykować.

Gdy podchodził do niej, uśmiechnęła się.

- Dzień dobry. Nie wygląda pan na szczęśliwego, ale z drugiej strony, nigdy pan nie wyglądał na takiego. A mimo to jest pan niczym słoneczna oaza pośród ponurej pustyni.

- Po raz pierwszy w życiu zostałem nazwany oazą, ale uznaję to za komplement ze względu na oryginalne porównanie. Mam dla pani parę szokujących wieści, ale również i dobre. Chciałbym, żeby pani wiedziała, jaka jest sytuacja na wypadek, gdybym nagle musiał wyjechać.

Uniosła brwi. Callaghan nigdy nie widział tak pięknych oczu. Ich wyrazistość była olśniewająca.

- Chyba pan nie wyjeżdża? - spytała. - Nie chcę.

- Nie? - zapytał, myśląc jednocześnie, że jedynym powodem nagłego wyjazdu mógłby być nadinspektor Gringall. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie chce pani, żebym wyjechał?

Odwróciła głowę, wpatrując się ponad furtką w las po drugiej stronie pola. Powiedziała wolno:

- Właściwie nie wiem. Jestem od dawna nieszczęśliwa, a ostatnie dni były koszmarne. To dziwne doprawdy, dlaczego to mówię, ale jedyne jaśniejsze myśli wiążą się z panem.

- A więc nie tylko jestem oazą, ale również jaśniejszą myślą. - Callaghan uśmiechnął się. - Coś mi się zdaje, że przestała mnie pani tak nienawidzić, jak na początku.

Odwróciła od niego wzrok i powiedziała:

- Nie czuję do pana nienawiści.

- Proszę się przygotować na szok. Przekonanie, że była pani panią Rupertową Sharpham, jest całkowicie błędne. Nigdy pani nią nie była. Przekonanie, że zламаła pani warunki testamentu matki, też jest błędne. Nigdy ich pani nie zламаła. Jest pani prawowitą właścicielką Dark Spinney i wszystkiego, co się z tym wiąże. No, co pani na to?

Patrzyła na niego zaskoczona.

- Co to wszystko znaczy? To śmieszne. To nie może być prawda.

- Ale jest. W tym wszystkim istnieje jeszcze jedna dobra rzecz. Miała pani niezwykle szczęście, że akurat wybuchła wojna i że Sharpham wstąpił do RAF-u, inaczej może musielibyście żyć jak mąż i żona. A to na pewno by się pani nie spodobało.

- Umieram z ciekawości, co to wszystko znaczy?

- W 1938 roku Rupert Sharpham pracował w charakterze instruktora tańca w miejscu zwanym Rosehill Dance Hall w Capetown. Na początku tegoż roku poślubił niejaką Emestine Rasslaer. I od tamtego czasu ta kobieta go szuka. Z małżeństwa tego urodziło się jedno dziecko. Żona Sharphama pracuje na farmie w Hermanos w Cape Province. Wszystko to oznacza, że małżeństwo z panią zawarte w 1939 roku w Kensington było bigamią. Po prostu nie istnieje. Żaden mężczyzna nie może poślubić dwóch kobiet.

- Mój Boże! - Viola oparła się o furtkę. Przez chwilę Callaghan myślał, że zemdleje. Odetchnął, gdy zobaczył, że się opanowała. Po chwili Viola powiedziała już spokojnie: - Ależ to cudownie... cudownie!

- Nieźle - przyznał Callaghan - to rozwiązuje nam parę spraw.

- Co można z tą wiadomością zrobić? Bo przecież coś trzeba zrobić. Czy jest pan tego pewien?

- Absolutnie. Wczoraj dostałem kompletne *dossier* Sharphama z okresu, kiedy służył w RAF-ie, łącznie ze świadectwami lekarskimi. Od mojego agenta w Capetown, Johna Friqueta, dostałem rysopis Sharphama. Sharpham z Rosehill Dance Hall w Capetown i Sharpham, którego pani poślubiła i który wstąpił do RAF-u, to ta sama osoba. Aby formalnościom stało się zadość, poprosiłem Friqueta, aby mi przesłał pocztą lotniczą kopię aktu ślubu. Z chwilą gdy ją otrzymam, można będzie unieważnić pani małżeństwo. W każdym razie, nadal jest pani panną Alardyse.

- Och, jest pan cudowny!

Callaghan pomyślał o Gringallu i wypychając językiem policzek, odparł:

- No, nie wiem, parę osób może mieć inne zdanie na ten temat.

Spojrzała na niego przenikliwie. Jej oczy błyszczały.

- Nie obchodzi mnie, co kto myśli. Dla mnie na zawsze pozostanie pan cudownym człowiekiem... na zawsze.

- To bardzo miło. Przejdźmy teraz do mniej przyjemnych wieści.

- Jakies nowe kłopoty? - Jej twarz spoważniała.

- I tak, i nie. Kłopoty, o których chcę mówić, nie dotyczą pani. Chodzi o Corinne. Muszę pani wyznać, że jest ona moją klientką, ale nie należy do miłych osób.

- Ach! - tu nastąpiła pauza. - Nie wiedziałam, że ona jest pańską klientką.

- Oczywiście, że pani nie wiedziała - potwierdził beztroskim tonem - bo nie było takiej potrzeby. Nigdy nie odmawiam, kiedy ktoś pragnie zasięgnąć mojej rady. Corinne bardzo chciała się dowiedzieć, kto napisał ten anonim.

Miała pewne podejrzenia, ale nie była pewna. Podejrzewała, że autorem był Donelly z klubu Mardene. Chciała, żeby to sprawdził. Zapłaciła mi za to siedemdziesiąt pięć funtów.

- O, i co?

- Myślę, że powinienem to pani powiedzieć. Te siedemdziesiąt pięć funtów było częścią sumy, którą dostała niedawno od pani do przekazania Donelly'emu. Oszukiwała nawet panią, swoją rodzoną siostrę. Ile pani mu dała?

- Czterysta funtów - odparła cichym głosem.

- Wobec tego, przypuszczalnie zatrzymała sto. W każdym razie te siedemdziesiąt pięć funtów stanowiło część pani pieniędzy. Sprawdziłem to w banku. Pomogła mi w tym Patrycja. Dobra z niej dziewczyna.

- Patrycja jest kochana. Więc ona panu pomaga?

Callaghan skinął głową.

- Wygląda na to, że jeśli pan nie pracuje dla rodziny Alardyse, rodzina Alardyse pracuje dla pana. - Viola roześmiała się. - Ciekawa jestem, która z nas nie jest pana klientką.

- Jestem silny i lubię dużo klientów. Najgorszego jeszcze nie powiedziałem. Otóż Corinne jest mężatką. Jest żoną Donelly'ego. Wyszła za niego już jakiś czas temu.

Viola oparła się o furtkę. Na jej twarzy malował się wyraz niewypowiedzianego zaskoczenia. Była blada jak płótno.

- Chce pan powiedzieć...

- Właśnie dokładnie to, co powiedziałem. A cała historia tak wyglądała: Rupert Sharpham, którego uważała pani za męża, oraz Lucien Donelly byli razem w RAF-ie i przyjaźnili się. Lecieli razem, kiedy samolot został zestrzelony. Rozbili się. Donelly odniósł poważne rany. Sharphamowi udało się wyjść z tego prawie bez szwanku. Zabrali ich Włosi i umieścili w obozie dla jeńców wojennych. W takich warunkach mężczyźni opowiadają sobie różne rzeczy. Zapewne wkrótce po przybyciu do obozu Sharpham otrzymał od pani list, w którym donosiła mu pani, że na skutek małżeństwa z nim traci pani prawo do dziedziczenia z wyjątkiem

trzystu pięćdziesięciu funtów rocznie. Opowiedział o tym Donelly'emu. Nie wspomniał mu tylko ani słowem o tym, że był już żonaty z pewną kobietą w Południowej Afryce. Jakiś czas potem obaj panowie zaplanowali ucieczkę z obozu. W trakcie ucieczki Sharpham został zabity. Donelly zaś wrócił do Anglii, wyposażony w pewną interesującą informację. Czekala go jeszcze kuracja i jestem pewny, że prosił, żeby go wysłano do Domu dla Rekonwalescentów w Hurstmonceaux. Czy do tej pory wszystko jest dla pani jasne?

- O, tak, całkowicie jasne.

Callaghan ciągnął dalej:

- I tam znowu mu się poszczęściło. Poznał Corinne, która pracowała tam jako członkini Kobiecego Ochotniczego Oddziału Pomocniczego. Resztę może sobie pani wyobrazić. Ten Donelly to czysta trucizna Czarująca, fascynujący, pociągający łajdak, słowem, skończony niegodziwiec. - Callaghan uśmiechnął się. - Prawdę mówiąc, jest niemal tak zły, jak Corinne. I myślę, że w tej sytuacji było rzeczą naturalną, że się w sobie zakochali. Tyle, że Donelly nic nie ryzykował. Kiedy już został jej mężem, reszta stała się dziecinnie łatwa. Nie wiem, kiedy ani gdzie się pobrali. Po ślubie Donelly miał możliwość przekonać się, jak bardzo Corinne nie lubi pani, więc opowiedział jej całą historię i zaczęli panią szantażować. To był ich wspólny interes. Proszę nie wierzyć, że Corinne była tylko pośredniczką. Była w to zaangażowana po uszy i bardzo jej się to podobało. Potem, w miarę upływu czasu, jego wymagania zaczęły rosnać, ale domyślałam się, że wtedy Corinne oszukiwała również i jego. Część pieniędzy otrzymywanych od pani zatrzymywała dla siebie. Nic dziwnego, że Donelly był niezadowolony. Przesłał jej ufać i zastanawiał się, co się dzieje. Co mógł w tej sytuacji zrobić? Był tylko jeden prosty i łatwy sposób, przy pomocy którego mógł bronić swoich interesów. I Donelly go zastosował.

- Jaki to sposób? Co zrobił?

- Czyżby to nie było oczywiste? Napisał anonim do pani ojczyrna. Wiedział, jaki będzie skutek. Wiedział również, że

pani ojczym zacznie działać. Będzie pani zmuszona odstąpić Corinne wszelkie prawa do majątku. Proszę pamiętać, że z wyjątkiem jednej czy dwóch osób, zupełnie niezainteresowanych sprawą, nikt nie wiedział, że ona poślubiła Donnelly'ego. W ten sposób Donnelly mógł trzymać ją w szachu. W każdej chwili mógł ją też zdradzić, tak samo jak w jego przekonaniu zdradził panią. Innymi słowy, zamierzał zostać dożywotnim, cichym współnikiem Corinne, właścicielki Dark Spinney. Reasumując, nie najgorszy plan, tyle że nie wypalił.

- To brzmi prawie niewiarygodnie.

- Prawda zawsze tak brzmi. Ale tak jest. Parę punktów się wyjaśniło, jednakże jeszcze nie wyszliśmy z lasu.

- Jest pan wspaniały. Jak ja mogłam na początku tak pana nie lubić!

- Nie szkodzi, na początku mogę być nielubiany. - Callaghan uśmiechnął się. - Uważam, że to nawet miłe. Ktoś kiedyś powiedział, że nienawiść jest siostrą miłości. - Zapalił papierosa i dodał: - Muszę już iść.

- Co teraz zamierza pan zrobić? Chcę wiedzieć, jaki będzie następny krok.

- Myślę, że teraz muszę przede wszystkim unikać spotkania z inspektorem Gringallem. Nie przepada za mną w tej chwili, a nie chciałbym, aby zdarzyło się coś, co by mi uniemożliwiło doprowadzenie śledztwa do sensownego zakończenia.

- Co to znaczy, Slim? Co pan zrobił?

- Nic takiego, ale widzi pani, angielscy policjanci mają bardzo staroświeckie poglądy na temat przesuwania dowodów rzeczowych, fałszywych tropów porozmieszczanych tu i ówdzie i prywatnych detektywów. Oni tego nie lubią. Dziwi się pani? Bo ja nie. Niestety, nie po raz pierwszy wszedłem w drogę Gringallowi, o nie! Były też inne sprawy, jakieś drobne przewinienia, a on ma dobrą pamięć.

- Rozumiem, więc tak to się przedstawia.

- Właśnie tak. Inna rzecz, że Gringalla denerwuje ta sprawa. Nic mu się nie udaje. A to jest bardzo dobry policjant. Nie wiem, jak by ten kraj mógł istnieć, gdyby zabrakło

takich policjantów jak Gringall. Mimo to, chyba najlepiej będzie, jeśli przez pewien czas nie będę mu wchodził w drogę. Być może, że problem sam się rozwiąże... W każdym razie proszę się nie obawiać, będę niedaleko.

- Rozumiem. - Viola skinęła głową. - Może mogłabym się na coś przydać? Czy będzie pan utrzymywał ze mną kontakt? Będę niepoczieszona, jeśli nie.

- Proszę się nie martwić, będę w pobliżu. A na razie *au revoir*.

Wyciągnęła do niego rękę.

- *Au revoir* tymczasem. Będę o panu myślała. Niech pana Bóg błogosławi.

Callaghan roześmiał się.

- Jeszcze słowo, a się rozplączę.

Callaghan odszedł. Viola stała oparta o białą furtkę, przyglądając się, jak torował sobie drogę pośród drzew. Była ciekawa, czy się obejrzy.

Gdy tego nie zrobił, poczuła się zawiedziona.

Nikolls siedział w sali barowej hotelu Pod Dwoma Mnichami. Gdy wszedł Callaghan, wstał, podszedł do baru, zamówił podwójną whisky z wodą sodową i przyniósł Callaghanowi.

- Jestem zakochany w prowincji - oświadczył. - Mają tu więcej whisky niż w Londynie, no i powietrze jest lepsze i przez to można więcej wypić. Doszedłem do wniosku, że jestem dzieckiem natury, kmiotkiem.

- Brakuje ci tylko słomy we włosach.

- Zgadza się... ale może za chwilę i to się znajdzie. Martwię się z powodu snu, jaki miałem ostatniej nocy. Otóż śniło mi się, że wsadzili cię do paki. Okropny sen. Może to nic nie znaczy, może to nie był strażnik, tylko zwykły żołnierz... Wiesz, co mam na myśli?

- A ja mam nadzieję, że to był strażnik. Wolę to niż oczekiwanie, że przecucie się sprawdzi. Dowiedziałeś się, jakie plany ma na dzisiaj Donnelly?

- Owszem. Dzisiaj klub będzie czynny dłużej, do północy.

Mała przypuszcza, że Donelly pokaże się dopiero o jedenastej. Podobno wyjeżdża do Brighton. Ale przed jedenastą wróci, żeby być przy zamknięciu lokalu. Potem zajmie się gotówką i czekami, i jeszcze sprawdzi wszystko przed pójściem spać. Tak twierdzi moja dziewczyna.

Callaghan skinął głową, dokończył whisky i zapytał:

- Pewnie umówiłeś się z nią na wieczór?

- Owszem... tak jakby... no wiesz, jeśli nic się nie będzie działo.

- Nie będzie się nic działo. W każdym razie, nic ważnego. Pokaż się jutro rano. Jutro może się coś dziać. Przyjdź o dziesiątej.

- Dobra, to leczę. - I Nikolls wyszedł.

Callaghan zapalił papierosa, wyszedł z baru, wolno minął korytarz, następnie schodami udał się do siebie na górę. Ogarnęła go nagle pewność, że lada chwila musi nastąpić jakiś przełom... natychmiast też zaczął snuć niejasne spekulacje na temat możliwych skutków tego przełomu.

Otworzył drzwi do saloniku. Przed kominkiem stał Gringall. Ręce trzymał w kieszeniach, palił krótką fajeczkę. Wyglądał na pogrążonego w myślach.

No i masz - powiedział do siebie Callaghan - zaczynają się schody. Ciekawe, jak daleko się posunie.

- Halo, Slim. Czekałem na ciebie. Domyślałem się, że wkrótce wrócisz. Nie napijesz się?

Callaghan zaczął się zastanawiać: o co mu chodzi? Co się dzieje? Co tym razem wymyślił? Głośno zaś powiedział:

- Oczywiście, że się napiję. - Podszedł do szafki, wyjął butelkę, syfon i shaker. Zabrał się do mieszania drinków.

- Mam wrażenie, że powinienem cię przeprosić, Slim. - Gringall wziął od Callaghana szklankę i wychylił z zadowoleniem jej zawartość.

- Za co miałbyś mnie przepraszać?

Gringall opróżnił fajkę wystukując jej zawartość o osłonę kominka. Potem odłożył ją na obramowanie kominka, żeby ostygła.

- Przecież wiesz. Doskonale zdawałeś sobie sprawę, że

wiedziałem, że kłamiesz w sprawie zwłok pułkownika i dowodów rzeczowych. Wiedziałeś, że panna Wymering zaprzeczy wszystkiemu, a wtedy zabiorę się za ciebie. Faktycznie, ja ci to już powiedziałem.

- Powiedziałeś, ale ja nie muszę przecież brać wszystkiego, co mówisz, na serio.

W duchu zaś pomyślał: co tu u diabła się dzieje? Gringall napił się whisky.

- Przypuszczam, iż dobrze wiedziałeś, że to Patrycja Alardyse zabrała chusteczkę i w ogóle wszystko poprzemieszczała. Domyślałeś się, co?

Callaghan uśmiechnął się i pomyślał: Patrycjo, cóż z ciebie za dziewczyna - prawdziwa perła! A głośno powiedział:

- Nie bawię się w zgadywanie. Ale jak ty na to wpadłeś?

- Gdybym się dobrze zastanowił, rozważyłbym taką możliwość wcześniej, a nie dopiero dzisiaj. Staralem się określić charakterystyki poszczególnych członków tej rodziny, co w tej sytuacji jest naturalne. Otóż widzisz, Patrycja jest afektowana. Uwielbia filmy i traci mnóstwo czasu na kiepskie naśladowanie ulubionych gwiazd. To właśnie do niej jest podobne. Głupia, niepoważna zabawa w teatr.

Callaghan skinął głową.

- Przyznała się?

- Owszem i mogę cię zapewnić, że była mocno przestraszona. Byłem tam dzisiaj i przeprowadziłem dłuższą rozmowę z panną Wymering. Rozmawialiśmy o tym, jak poszła do pagody, żeby zobaczyć zwłoki pułkownika. Powiedziała, że niczego nie dotykała ani nie ruszała. Była bardzo wstrząśnięta i pragnęła jedynie jak najszybciej stamtąd wyjść. Nie ma najmniejszego pojęcia, jak tam wszystko wyglądało. Pamięta tylko, że widok szwagra leżącego w takim stanie wprowadził ją w przerażenie.

- Naturalnie, to musiał być cholerny wstrząs dla starszej pani.

Gringall dopił swoją whisky i postawił szklanekę na stole. Wziął fajkę i zaczął ją nabijać.

- Powiedziałem jej, że ktoś poprzemieszczał różne przedmioty i że ten ktoś musiał mieć powód, żeby to zrobić. Powiedziałem jej, że po tym, jak Sallins odkrył zwłoki, jedynie dwoje ludzi oglądało ciało, to znaczy ona i ty. A skoro ona tego nie zrobiła, to pozostajesz tylko ty. - Myliłem się, oczywiście, ale sądzę, że miałem do tego prawo. - Gringall uśmiechnął się przepraszająco. - Wiem, że kiedyś manipulowałeś dowodami tylko dlatego, że ci to odpowiadało. Panna Wymering też nie rozumie, w jakim celu miałbyś to robić. Na co z kolei ja powiedziałem, że nie o to chodzi. A jeśli ona tego nie zrobiła, musiałeś to ty zrobić. A skoro ona zaprzecza, jakoby postąpiła wbrew przepisom, muszę wyciągnąć surowe konsekwencje wobec ciebie.

- Rozumiem, i co dalej?

Gringall roześmiał się.

- Potem otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczyła z powagą ta bezczelna Patrycja, biała jak płótno, kiepsko naśladując Thedę Bara z jej starych filmów. Podsluchiwała pod drzwiami moją rozmowę z ciotką i przeraziła się śmiertelnie. Stękając i jękając się przyznała się w końcu, że usunęła chusteczkę, która leżała obok ciała pułkownika. Była to chusteczka z jej monogramem. Tydzień wcześniej pożyczyła ją ojczymowi do przetarcia okularów, bo akurat nie przyniesiono jeszcze rzeczy z pralni. Przypomniała też sobie, że parę tygodni wcześniej ojczym pokazywał jej pistolet i miała go w ręce. Przestraszyła się, że jeśli znajdziemy odciski jej palców na broni i jej chusteczkę przy ciele pułkownika, podejrzenie padnie na nią. Mała idiotka nie pomyślała o tym, że na jej śladach musiały się odcisnąć ślady kogoś innego. Wytarła więc pistolet, porwała chusteczkę i uciekła. Za bardzo się bała, żeby o tym komuś powiedzieć, ale kiedy usłyszała, że rozmawiam z jej ciotką, doszła do wniosku, że przyznanie będzie najlepsze. Udzieliłem jej nagany i po sprawie. Ale to bardzo komplikuje wszystko.

- No tak... to prawda. Znalazłeś się w punkcie wyjścia. Gringall skinął głową.

- Może tak, może nie. Aha, a przy okazji może mi coś

wyjaśniesz. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś się powoływał na mnie w dobrej sprawie, jeśli to rzeczywiście dobra sprawa. Ale co to za pomysł, żeby opowiadać Manstonowi z Brighton, że pracujesz dla mnie, i podpytywać go o Corinne Alardyse?

- Myślałem, że to pomoże - Callaghan odpowiedział poważnie. - Musiałem się tego dowiedzieć. I moja zagrywka chwyciła. Corinne Alardyse wyszła za mąż za niejakiego Donnelly'ego, który od jakiegoś czasu prowadzi klub Mardene koło Rottingdean. To Donnelly wysłał anonim do pułkownika, a potem jego kopię do ciebie.

- Pracowita pszczołka z ciebie, nie ma co. Wiedziałem, że Corinne Alardyse jest mężatką. Manston powiedział mi o tym, kiedy zbierałem informacje o rodzinie. Dlatego był raczej zdumiony, kiedy zjawileś się i zacząłeś zadawać pytania w moim imieniu. Zaraz po twoim wyjściu zadzwonił do mnie. Ale jak dowiedziałeś się o liście?

- Dzięki maszynie do pisania w biurze Donnelly'ego. Porównaliśmy czcionki. Pomogła nam maszynistka Donnelly'ego. Corinne była również od początku pewna, że to jego sprawka. Ale chciała mieć absolutną pewność.

- A więc dla niej też pracujesz? Taki jesteś zapobiegliwy?

- I owszem - Callaghan uśmiechnął się. - Nie musiałem dla niej pracować, ale uznałem, że to może się przydać. Nie przepadam za nią. Ten Donnelly to wyjątkowo nieciekawym typ, ale ona jest jeszcze gorsza.

- Wyobrażam sobie. To przecież ona przecięła przewód telefoniczny na dzień przed śmiercią pułkownika.

- Tak ona twierdzi.

- Ciekawe, dlaczego to zrobiła?

Callaghan wzruszył ramionami.

- Podsluchiwała rozmowę pułkownika z Nikollsem. Pułkownikowi zależało na jak najszybszym spotkaniu ze mną, ponieważ otrzymał jakiś list, który najwidoczniej bardzo go zaniepokoił. Nikolls powiedział mu, że może mnie złapać później w klubie. A ona nie chciała dopuścić do tego, żeby rozmawiał ze mną w klubie czy gdziekolwiek indziej. Potrzebny był jej czas do zastanowienia się.

- Inaczej mówiąc, chciała najpierw dowiedzieć się, czego ten list dotyczy?

- Zgadza się. Ona tak twierdzi.

- A ty w to wierzysz?

- Nie wierzę ani jednemu jej słowu.

- Dlaczego? To brzmi całkiem sensownie.

- Bzdura - powiedział Callaghan z uśmiechem. - Sam wyciągnij wnioski. Oto, jak było: Corinne podsłuchuje z telefonu w holu rozmowę pułkownika z moim biurem. Słyszy, że pułkownik otrzymał jakiś list, który zawiera tak ważne i dziwne wiadomości, że pułkownik musi natychmiast dzwonić do prywatnego detektywa, mimo że jest już po godzinach pracy. Czy można liczyć na to, że po przecięciu przewodu telefonicznego zyska na czasie? Przecież jeśli Stenhurst chciałby się połączyć ze mną, wyszedłby z domu i poszukał innego telefonu. I właśnie tak postąpił. Po raz drugi dzwonił do mnie... tego telefonu nie odebrałem... z budki przy drodze do Alfriston. I to wszystko.

- Dobrze, przyjmijmy, że to wszystko. Pozostaje ciągle sprawa listu. Mogła sądzić, że stary nie wyjdzie z domu, żeby zadzwonić. Mogła myśleć, że jeśli zyska trochę czasu, uda jej się przeczytać list, żeby się dowiedzieć, o co chodzi, zanim cała afera się rozwinie.

- Bzdura - jeszcze raz powtórzył Callaghan. - Stenhurst był taki, jaki był, ale nikt nie może powiedzieć, że był głupcem. Chyba nie chcesz mi wmówić, że Stenhurst taki ważny i pilny list, anonim z dynamitem w środku, to znaczy z informacją, że Viola Alardyse jest mężatką, zostawił ot, tak na wierzchu, żeby Corinne mogła go zabrać? Chyba nie myślisz serio, że Corinne na to liczyła... co?

- Nie, teraz, kiedy tak to przedstawiłeś, nie. Ale przecież mogła kombinować, że znajdzie się jakiś sposób, żeby zajrzeć do tego listu... nie wiadomo.

- Dobrze, nie wiadomo. Zostawmy na razie tę kwestię. Interesuje mnie ten przecięty przewód. Ona twierdzi, że go przecięła. Twierdzi tak, ponieważ taka wersja właśnie jej odpowiada.

- Przewód był rzeczywiście przecięty - powiedział Gringall.

- Potwierdzono to w Urzędzie lèlekomunikacyjnym w Alfriston. Było to czyste cięcie i ktoś to musiał zrobić.

- Zgadza się - potwierdził Callaghan. - Oczywiście, że ktoś go przeciął. Nie ma wątpliwości. Jak również nie ma wątpliwości, kto to zrobił.

- Zaczynam myśleć, że jak na prywatnego detektywa jesteś całkiem niezły. Czasami - tu Gringall uśmiechnął się - myślę, że nawet masz łeb na karku.

- Ktoś przecież musi mieć łeb - powiedział Callaghan zgryźliwie. - Poza tym, bywa, że prywatny detektyw ma lepszą sytuację niż policjant. Może robić rzeczy, których oficerowi policji nie wolno robić. Nie obowiązują go przepisy regulujące postępowanie policji. Może się podlizywać, przekupywać, straszyć i w ogóle robić, co mu się żywnie podoba. Musi jedynie uważać, żeby nie łamać prawa i nie dostać się do ciupy.

- Przyjemna mówka - powiedział Gringall przypalając znów fajkę. - Przyjmuję komplement pod adresem policji wraz z intencjami w nim zawartymi. A teraz powiedz mi, kto przeciął przewód telefoniczny, po co, i jak się tego dowiedziałeś?

- Na Boga! Przecież to ty sam mi powiedziałaś!

- O czym ty mówisz, do diabła? - Gringall odłożył fajkę na stół i wstał patrząc groźnie na Callaghana.

Callaghan roześmiał się.

- Słuchaj, policyjny psie, czy to nie ty mi powiedziałaś, że gdy pułkownik dzwonił do mnie po raz drugi - a wiemy, że wtedy dzwonił z budki telefonicznej przy drodze do Alfriston - czy to nie ty mi powiedziałaś, że wtedy panienka z centrali podsłuchiwała rozmowę? A zatem mogła ci powiedzieć jej treść. Możemy z tego wyciągnąć pewien wniosek. Ten mianowicie, że rozmowa z budki odbywa się za pomocą telefonistki. A co z telefonem w Dark Spinney? Tam wykręca się numer na tarczy numerowej. A więc jeśli pułkownik postanowił pierwszą rozmowę przeprowadzić z Dark Spinney, by rozmawiać o liście, i chciał się ze mną spotkać jak najszybciej i to wszystko chciał powiedzieć z aparatu domowego, to dlaczego, na Boga, wyszedł z domu

i gnał taki kawał drogi, żeby jeszcze raz dzwonić. Jak się potem okazało, w warunkach o wiele mniejszej dyskrecji niż za pierwszym razem?

- To ty mi powiedz, dlaczego - odparł Gringall.

- Dlatego, że wiedział, iż przewód telefoniczny jest przecięty. Wiedział, bo sam go przeciął.

Gringall cicho gwizdnął.

- Jesteś coraz bardziej interesujący. Powiedz coś jeszcze.

- Powiem i co więcej, nic ci za to nie policzę! Kiedy pułkownik dzwonił do mnie po raz pierwszy ze swojego gabinetu, Corinne słuchała rozmowy z telefonu w holu. Usłyszała, dlaczego Stenhurst chciał się ze mną spotkać. Postanowiła nie dopuścić do naszej rozmowy, ale na to potrzeba jej było trochę czasu. Wpadło jej do głowy, żeby zadzwonić do Donnelly'ego, żeby on coś zaaranżował. Wychodzi z domu z zamiarem zadzwonienia z budki telefonicznej. Ale wtedy coś sobie przypomina. Mianowicie to, że w budce nie ma aparatu tarczowego, że trzeba się łączyć przez centralę. Wie, że w tej części kraju nie ma prawie wcale rozmów telefonicznych i że dziewczyna w centrali może podsłuchiwać - tak jak podsłuchiwała pułkownika - i zapamiętać rozmowę. Wraca więc do domu, po cichu wślizguje się do holu i stamtąd dzwoni do Donnelly'ego. I wtedy...

- Wiem, i wtedy pułkownik podsłuchuje jej rozmowę?

- Zgadza się. Usłyszał brzęk aparatu, który zawsze odzywa się tam, gdzie działa kilka aparatów na jednej linii. Podniósł słuchawkę i usłyszał, jak mówiła Donnelly'emu, że musi coś zrobić. I słyszał, jak Donnelly obiecał jej, że się tym zajmie i że potem zadzwoni do niej i powie, jak się rzeczy mają. Wszystko jasne?

- Jasne.

- Corinne myślała, że Stenhurst śpi. Kręciła się po domu, czekając na telefon Donnelly'ego. Ale Stenhurst był wściekły. Nigdy nie miał łagodnego usposobienia, a teraz po prostu był wściekły. I postanowił, że Corinne nie doczeka się telefonu od Donnelly'ego! Przeciął więc główny przewód. Wyszedł następnie tylnym wyjściem i po raz drugi, z budki telefonicznej, zadzwonił do mnie. Niestety, nie

odebrałem tego telefonu, a to z bardzo ważnego powodu. Donnelly zajął się sprawą solidnie. Kiedy w klubie Światło Nocy był do mnie telefon, ja byłem nieprzytomny. Ktoś wyspał mi do szklanki narkotyk.

- Rozumiem. A więc takie rzeczy przytrafiają się prywatnym detektywom.

- Niestety. Wy, policjanci, macie lepszy, przyjemniejszy i spokojniejszy żywot.

- W ten sposób zbliżyliśmy się do następnego dnia - powiedział Gringall pojednawczo - dnia zabójstwa. Przypuszczam, że też wiesz, kto to zrobił.

- Oczywiście, ale nic nie powiem. I na nic się nie zda naciskanie mnie czy inne twarde metody.

- Nie odezwę się ani słowem, obiecuję. W tym akcie jestem tylko słuchaczem.

- Akurat, już wierzę! Ale powiem ci coś, panie Wszędobylski. Ta sprawa osiągnęła punkt wrzenia. Wiesz, że żadnemu przestępcy nie udaje się nigdy popełnić morderstwa tak, żeby potem nie popaść w tarapaty. Im bardziej starają się tego uniknąć, tym bardziej się pograżają. Wchodzimy w fazę kryzysu. Sedno sprawy tkwi tuż-tuż, za rogiem. Zawsze słuchałem mojego nosa, a nos mówi mi, że w ciągu najbliższych dwunastu, najdalej dwudziestu godzin stanie się coś, dzięki czemu wszystko się wyklaruje. Wystarczy tylko siedzieć i czekać.

- Nic innego nie mogę robić, tylko siedzieć i czekać. Ale skąd ta pewność zwycięstwa, Slim?

- Kiedy złodzieje kłócą się między sobą, czasami zaczyna doceniać się uczciwych ludzi. Znosi się na wielką burzę. Czuję, jak atmosfera gęstnieje. Bądź cierpliwy, Gringall. Czekaleś tak długo, byłoby cholernie głupio, gdybyś teraz wszystko zepsuł.

Gringall schował fajkę do kieszeni i wziął kapelusz.

- Nie zamierzam niczego psuć. Jadę do Brighton, do mojej starej ciotki. Nie widziałem jej od lat. Może spotkamy się jutro i porozmawiamy. Tym razem oficjalnie.

Callaghan uśmiechnął się.

- Do zobaczenia jutro... mam nadzieję.

Bogini zemsty

Callaghan siedział przy ostatnim stoliku w niemal pustym barze hotelu Royal Suffolk w Brighton. Dokończył siódmą podwójną whisky z wodą sodową, przez moment zadumał się nad głupotą pijaństwa, poszedł do baru zamówił następną podwójną whisky Haig i przyniósł do stolika. Był przygnębiony.

Doszedł do wniosku, że jest trochę pijany. Nie na tyle jednak, by mieć dobry humor, czuć podniecenie, czy wpaść w słowotok, albo odczuwać inne sensacje związane z upojeniem alkoholowym. Był po prostu przygnębiony. Tak na dobrą sprawę, nie ma powodu, żeby czuć się dobrze, myślał.

Upił trochę whisky i zapalił papierosa. Któregoś dnia trzeba będzie ograniczyć palenie i picie, doszedł do wniosku. Po pierwsze, zaoszczędzę mnóstwo pieniędzy, po drugie - pozbędę się tego porannego kaszlu, który znowu zaczął mnie męczyć. Dobrze by też było brać takie sprawy, które nie wymagają picia, by móc bronić własny punkt widzenia. Dobrze by było mieć takie sprawy. Ale to prawie niemożliwe, żeby taka sprawa mi się trafiła. Takie przyjemne, łatwe sprawy rzadko trafiają do Agencji Detektywistycznej Callaghana.

Nagle zorientował się, że pogrąży się w pijackim rozżalaniu się nad sobą. Coś trzeba z tym zrobić. Skończył whisky i zamówił następną. To już dziewiąta, pomyślał. Starczy czasu na jeszcze jedną przed zamknięciem baru. Potem już sobie poradzę.

Zaczął myśleć o Gringallu. Lada chwila Gringall zacznie

go naciskać. Nie miał co do tego złudzeń. Przecież nawet przez chwilę nie wierzył w tę bajeczkę Patrycji. O tym, że zabrała chusteczkę i że coś tam zamieniła przy zwłokach ojczyma. Gringall nie był głupi. Przecież w trakcie przesłuchania pytał wszystkich, co robili i gdzie przebywali w chwili znalezienia ciała pułkownika. Wiedział, że Patrycji nie było wtedy w domu. A panna Wymering po obejrzeniu zwłok zamknęła drzwi pagody na klucz i do czasu przybycia policji nikt tam nie wchodził. Miał rację Gringall, gdy na początku powiedział, że skoro panna Wymering nic nie ruszała przy zwłokach, to musiał to zrobić Callaghan. On wiedział o tym i to, że Callaghan wie, że on wie.

Ale prowadzi grę polegającą na udawaniu, że wierzy w opowieść Patrycji, ponieważ chce dać Callaghanowi więcej czasu. Na wypadek, gdyby jeszcze coś wyciągnął z zanzardza.

I miał rację. Stał na stanowisku, że to Callaghan wszystko zagmatwał. To on postarał się o stworzenie fałszywych tropów, które skutecznie utrudniały normalną działalność policji. Tu Gringall był w porządku. Gringall miał prawo oczekiwać, że Callaghan w formie rekompensaty za tamten zniszczony dowód, przedstawi mu inny. Bo Gringallowi potrzebny był dowód. Prawdziwy dowód. Jeśli go nie dostanie, Callaghan znajdzie się w tarapatkach, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

Zaczął myśleć o Corinne. Corinne to bardzo nieprzyjemny typ człowieka. Nikczemna, chaotyczna, sadystka amatorka. Idzie bezpardonowo do przodu, nie oglądając się na boki, zdąża do celu, nie zastanawiając się nad losem ludzi mijanych *en route*. Nawet losem pana Callaghana; szczególnie losem pana Callaghana. Zdecydowanie prymitywny typ. Zaczął teraz myśleć o Violi i doszedł do wniosku, że Viola mu się podoba pod każdym względem. Podo- ba mu się jej sposób poruszania, jej głos, słowem wszystko. Posiada klasę wypływającą ze świadomości, że jest kimś niezwykłym. Cecha raczej rzadka u kobiet, trudna do opisan- ia, a uderza człowieka niczym młot parowy. Taka była

Viola i panna Wymering - czarująca, dobrze wychowana i przyzwoita, a także Patrycja - młoda, uczciwa, równa dziewczyna. Wkrótce zamieni się w piekielnie uroczą kobietę, myślał Callaghan. Natomiast Corinne... Corinne to dno. Dno pod każdym względem.

Barman spojrzał na Callaghana. W barze nie było już nikogo.

- Zamykam za trzy minuty - powiedział - chce pan jeszcze jednego na drogę?

Callaghan wstał.

- Dlaczego nie? - Podeszedł do baru, postawił swoją szklankę na blacie, patrzył, jak się zapełnia, i wypił jednym haustem. Zapytał barmana: - Jest tutaj telefon? - i położył banknot jednofuntowy na kontuarze.

- Kabina jest dalej, w korytarzu.

- Dziękuję, reszty nie trzeba.

Wyszedł z baru i ruszył korytarzem do kabiny telefonicznej. Wykręcił numer klubu Mardene. Zegarek wskazywał jedenastą.

Usłyszał w słuchawce głos. Głos osobliwy - wysoki, ostry, dziwnie syczący. Callaghan pomyślał, że może to być głos pedała.

- Czy jest pan Donnelly? - zapytał. - Chciałbym z nim mówić.

- Pana Donnelly'ego nie ma - odparł głos - przyjdzie o dwunastej. Ale nie będzie się wtedy z nikim chciał widzieć i wątpię nawet, czy podejdzie do telefonu. Klub zamykamy o dwunastej.

- Być może. Ale on ze mną porozmawia i będzie z tego zadowolony. Nazywam się Callaghan. Powiedz mu to. Zadzwoń jeszcze raz.

- Dobrze - odparł głos i zachichotał. - Patrzenie, jaki pewny siebie! Ważniak z bajerami!

- A czemu by nie? Nie lubisz takich?

I Callaghan rozłączył się.

Powietrze na zewnątrz było chłodne i rześkie. Od morza wiał wiatr, księżyc stał w pełni. Poszedł pod pawilon, gdzie zaparkował swój wóz. Usiadł za kierownicą i zapalił papierosa.

Siedział i palił przez kwadrans. Potem uruchomił silnik, wcisnął pedał gazu i wolno ruszył w kierunku Eastbourne Road.

Zegar na kościele w Hangover wybił dwunastą. Callaghan zatrzymał Lagondę na skraju trawnika tuż przed budką telefoniczną przy drodze Hangover-Alfriston. Następnie wysiadł z wozu, cisnął daleko niedopałek papierosa i wszedł do budki. Wrzucił do automatu dwie jednopensówki i podał telefonistce numer klubu Mardene. Miała przyjemny głos. Ciekawe, czy to ta sama dziewczyna, która podsłuchiwała rozmowę pułkownika z klubu Światło Nocy, pomyślał Callaghan. Ta czerwona budka, stojąca samotnie przy wiejskiej drodze w pewnym sensie może być uznana za historyczną.

Telefon odebrał ten sam wysoki, syczący głos.

- Halo? Czy to czarujący pan Callaghan?

- Owszem. Jest Donelly? Powiedz mu, że chcę z nim mówić.

- Dobrze. Ale nie będzie pan niegrzeczny, prawda?

Callaghan czekał. Minęła minuta. Wreszcie usłyszał Donelly'ego.

- Halo, Callaghan. Miło znowu pana słyszeć. Jak się pan ma? Lubię pogawędzić ze starymi przyjaciółmi.

- Cieszy mnie to. Bo właśnie chciałbym z panem porozmawiać - powiedział Callaghan miłym głosem.

- Właściwie zamierzałem już się położyć. Miałem dzisiaj ciężki dzień, ale jeśli to coś ważnego... a zresztą, z przyjemnością spotkam się z panem. Proszę przyjść, napijemy się.

- Dziękuję. Prawdę mówiąc, to ważna sprawa. Mam dla pana pieniądze.

- Niemożliwe!

Callaghan oczyma wyobraźni widział, jak Donelly się uśmiecha.

- Ciekawe, co to mogą być za pieniądze.

- Powiem panu. To część pieniędzy, które Corinne zapomniała panu dać ostatnim razem. Siedemdziesiąt pięć funtów, które jakoś przykleiły się do jej torebki.

Donelly roześmiał się; był to beztrouski śmiech.

- No nie, to lepsze niż walka kogutów. Więc ta mała taka-owaka coś przede mną ukrywa?

- Chyba tak, ale właściwie nie, bo żałuje, jak pan widzi.

- Są chwile, kiedy panna Corinne Alardyse jest równie mądra co piękna. Kiedy mam się pana spodziewać?

- Nacisnę gaz i będę za jakieś dwadzieścia minut.

- Dobrze, czekam.

Callaghan rozłączył się i wyszedł z budki. Powolna jazda do Alfriston rozjaśniła mu w głowie. Czuł się jak wkraczący na ring bokser gotowy do walki. Myślał: to jest właśnie to. Trzeba to załatwić tak czy inaczej. Wsiadł do samochodu.

Na szosie wcisnął pedał gazu do oporu i Lagonda pomknęła do Rottingdean.

Była dwunasta trzydzieści, gdy wjechał w cień krzewów na drodze biegnącej obok podjazdu do klubu Mardene. Zamknął wóz, przez chwilę podążył drogą, a potem wszedł na podjazd. Ręce trzymał w kieszeniach. Był rozluźniony, niemal wesoły. Powoli wszedł schodami na portyk i zadzwonił. Czekał. Po minucie w holu rozbłysło światło i drzwi się otworzyły.

W drzwiach stał George z uśmiechem na szerokiej twarzy.

- No, no... Kogóż to my widzimy... ten ponurak, pan Callaghan. Jak się pan ma? - uśmiechnął się ironicznie.

- Mam się bardzo dobrze. Gdzie jest Donelly?

- Czeką na pana. Proszę tędy. Witamy w naszym szczęśliwym domostwie. - Znowu się uśmiechnął, zamknął drzwi, przekręcił klucz i zarygłował. Następnie ruszył korytarzem, wskazując Callaghanowi drogę.

Callaghan szedł za nim do pokoju Donelly'ego. Donelly siedział za biurkiem i palił cygaro. Miał na sobie smokingową dwurzędową marynarkę z czarnego weluru, białą jedwabną koszulę z kołnierzykiem i wieczorową muszkę z czarnego jedwabiu. Obok kominka stał jakiś młody mężczyzna, opierając się o ścianę. Był wysoki i barczysty, miał bladą twarz, oczy osadzone blisko siebie i usta, które wyglądały jak pomalowane. Na jego twarzy błąkał się dziwny uśmieszek.

Callaghan wszedł ze słowami:

- Dobry wieczór, Donelly.

- Dobry wieczór, Callaghan. Cieszę się, że pana widzę. To mój asystent, pan Eustace Villet. Mówimy do niego po prostu Eustace.

- Domyślam się, że to ta lala, która rozmawiała ze mną przez telefon. Eustace, musisz nauczyć się grzeczności, gdy rozmawiasz z ludźmi, bo kiedyś możesz oberwać.

Eustace odparował takim samym, jak przez telefon, wysokim syczącym głosem:

- Czyżby? Ciekawe, od kogo?

- Prawdopodobnie ode mnie. Za dwa pensy mogę cię w tej chwili rozłożyć na łopatki.

Eustace sięgnął do kieszeni i wyjął dwa pensy.

- Opanuj się, Eustace - wtrącił się Donelly. - Cały kłopot w tym, że ty się tak wszystkim przejmujesz.

- Nie podoba mi się ta jego pewność siebie. Cóż on sobie wyobraża, że kim jest?

Callaghan zapalił papierosa.

- George, nie stój tak beczynn timer. Przygotuj drinki. - Donelly uśmiechnął się do Callaghana. - W klubie Mardene dba się o gości.

Callaghan wyczuł coś złowieszczonego w słowach Donnelly'ego. Przesunął się nieco w prawo, tak że stał teraz przed kominkiem. George podał drinki.

Zapanowała cisza, którą przerwał Donelly:

- O co chodzi, Callaghan?

Callaghan upił połowę swojej whisky. Była to mocna, duża porcja. Postawił szklankę z tyłu, na kominku. - Nie będziemy tracić czasu na próżne gadanie. Wszyscy wiemy, o czym mowa... w każdym razie, ja i ty, Donelly, wiemy na pewno. Kiedy poprzednim razem byłem tutaj, powiedziałem ci, że jestem przyjacielem Corinne Alardyse i że dla niej pracuję. Zwróciłem twoją uwagę na to, iż jestem jej przyjacielem, nawet jeśli o tym nie wie. W tej chwili chyba już wie.

- O, bardzo to wszystko interesujące.

- Możliwe. - Callaghan wyjął portfel, a z niego piętnaście pięciofuntowych banknotów. Przeszedł przez pokój i

położył je na biurku przed Donellym. - Oto siedemdziesiąt pięć funtów, które twoja żona odebrała ci ze spłaty od Violi. Uważam, że złodzieje powinni mieć swój honor.

Donelly roześmiał się. Był to niemal szczęśliwy śmiech. Callaghan pomyślał: twarda sztuka, ależ ma nerwy.

- A więc wiesz, że jesteśmy małżeństwem?

- Wiem wiele rzeczy. Dobrana z was parka. Tyle że ty, Donelly, jesteś cholernie sprytny.

Donelly odłożył na chwilę do połowy wypalone cygaro i napił się ze szklanki. Po chwili znowu włożył cygaro do ust i zaciągnął się z przyjemnością.

- No, no, usłyszeć coś takiego od ciebie to komplement. Nie sądzę, abyśmy coś spaprali.

- Ty nie. Prawie przez całe życie mam do czynienia z oszustami. Zazwyczaj popełniają gdzieś jakiś błąd. O ile mogłem się zorientować, tobie udało się tego uniknąć. Trzymasz wszystko w ryzach. Niestety, Corinne to się nie udało.

Donelly wzruszył ramionami.

- Kobiety już takie są. Kłopot z nimi polega na tym, że brak im logiki.

- Mnie tego nie musisz mówić - Callaghan uśmiechnął się. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie posądzi Corinne o logikę.

Na chwilę zapanowała cisza. Przerwał ją Donelly:

- No cóż, dziękuję za te siedemdziesiąt pięć funtów. To miłe, że Corinne mi je zwraca. - Uśmiechnął się. - Ale, ale, czy aby na pewno ona je zwraca? Jesteś pewien, że nie chcesz zainkasować tych paru groszy z siebie tylko znanych powodów?

- Prawdę mówiąc, masz rację. Nie chcę tych pieniędzy. Ona wcale ich nie zwraca. Dostałem je za ustalenie, kto napisał ten anonimowy list do Stenhursta. To było, zanim kopia tego listu została wysłana do Gringalla. Dowiedziałem się, o co mnie prosiła, ale nie chcę tych pieniędzy.

- Co za altruizm. Mogę zapytać dlaczego? Chyba nie dla zdrowia prowadzisz ten interes?

- To prawda, nie dla zdrowia prowadzę ten interes. Ale te pieniądze za bardzo śmierdzą jak na mój gust.

- No... no... pieniądze nigdy nie śmierdzą. Pieniądze to bardzo miła rzecz. Można za nie wiele kupić.

- Mogę się z tobą założyć, o co chcesz, że długo nie będziesz mógł za nie nic kupować.

- Nie? - Donelly oparł się o górną część krzesła. - A to dlaczego?

- Najlepszą twoją obroną jest fakt, że Corinne to twoja żona. Jeśli cię ktoś oskarży o to, że od dłuższego czasu szantażujesz Violę Alardyse, zaprzeczysz temu. Powiesz, że nic ci nie wiadomo na ten temat. Powiesz, że od czasu do czasu otrzymywałeś pewne sumy pieniędzy od swojej żony, a żona, naturalnie, ma prawo dawać pieniądze mężowi. Powiesz też, iż doskonale wiedziałeś, że pieniądze te pochodziły od Violi Alardyse. Viola dawała je Corinne, ponieważ odsunęła ją od dziedziczenia. Zgadza się?

- Zgadza.

- Naturalnie - ciągnął Callaghan - nie wspomnisz ani słowa o tym, że we Włoszech dowiedziałeś się od Shaphama o jego małżeństwie z Violą, że przyjechałeś do Hurstmonceaux w celu zbadania sytuacji na miejscu i że twoje małżeństwo z Corinne miało na celu szantażowanie Violi za pośrednictwem jej siostry. O tym nie powiesz nikomu?

Donelly wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, że nie. Bo to nieprawda. Twoja pierwsza wersja jest prawdziwa.

- Chciałbyś, żeby tak było, co? Byłaby to korzystna dla ciebie wersja, pod jednym wszakże warunkiem... - że Corinne też by ją podtrzymała. Gorzej, gdyby ją odrzuciła.

Eustace, podpierający ścianę, poruszył się lekko i po chwili tym swoim szczególnym głosem powiedział:

- Ależ to nudziarstwo. Mam już tego dosyć.

Donelly spojrział na niego kątem oka: - Trzymaj buzię zamkniętą, Eustace. Jak będę chciał, żebyś przemówił, to cię poproszę.

Eustace znów oparł się leniwie o ścianę.

George stał koło szafki w drugim końcu pokoju; olbrzymie

łapy trzymał złożone przed sobą. Donelly napił się trochę whisky. Z twarzy nie schodził mu uśmiech.

- A ty sądzisz, że ona odrzuci?

- Ja nie sądzę, ja wiem. - W duchu zaś Callaghan pomyślał: ciekaw jestem, czy ten blef zagra? I dokąd cię zaprowadzi?

Donelly wstał. Przeszedł na przód biurka i przysiadł na jego krawędzi. Położył cygaro w popielniczkę i powiedział:

- Kłopot z tobą, Callaghan, polega na tym, że blefujesz w ciemno. Innymi słowy, zachowujesz się jak facet, który ma kilka elementów układanki, ale dwóch nadal mu brakuje, a chce mi wmówić, że ma wszystkie.

- To się jeszcze okaże - Callaghan rzucił niedbałym tonem.

- Niech ci będzie, że się jeszcze okaże, ale tymczasem powiem ci co nieco o mojej ukochanej żonie. Wiem, że od czasu do czasu troszkę mnie nie lubi. Za to przez resztę czasu ma na moim punkcie bzika i to jakiego! Nigdy ci się nie uda namówić jej, aby działała na moją niekorzyść. Tak jak nigdy nie namówisz jej, aby powiedziała coś, co by mogło mnie zranić. Mam tę sprawę dopiętą na ostatni guzik, wiesz o tym. I nie dbam o to, co Corinne zrobiła. Albo co mówi panna Viola Alardyse. A może powinienem mówić o niej pani Sharpham? Cokolwiek ktokolwiek zrobi czy powie, mnie nic się nie stanie. Jestem dobrze kryty. Ty natomiast Callaghan, wpadłeś w niezłe tarapaty i wiesz o tym.

- Czy przypadkiem nie zapomniałeś o jednej rzeczy?

- Na przykład o jakiej?

- Takiej, jak morderstwo pułkownika Stenhursta - odparł Callaghan spokojnym głosem.

Donelly wzruszył ramionami.

- To mnie w ogóle nie interesuje. Nawiasem mówiąc, jestem przekonany, że stary Stenhurst popełnił samobójstwo. I tak chyba wszyscy uważają. W każdym razie, czy popełnił samobójstwo, czy został zamordowany, mnie to nie dotyczy. Bo niby dlaczego?

Donelly spojrzał na Eustace'a.

- Coś mi się zdaje, Eustace, że za chwilę on mnie oskarży o zamordowanie mojego teścia.

Eustace spojrział na Callaghana i wyrzucił z siebie:

- Biedny, cholerny głupiec... kiepski prywatny szpicel.

Callaghan powiedział niemal nonszalanckim tonem:

- Któż goś dnia, Eustace, dobiore się do ciebie.

- Po co te groźby? - wtrącił Donelly. - Tak miło się nam do tej pory rozmawiało. Czy warto psuć nastrój?

- Racja - przyznał Callaghan.

Donelly wziął z popielniczki cygaro i znów zaczął palić. Zaciągnął się parę razy z wyraźną satysfakcją, po czym odezwał się:

- Nie wiem, doprawdy, po co mieszasz do tego śmierć Stenhursta. Jak już wspomniałem, wcale mnie to nie obchodzi. Tego dnia, gdy Stenhurst zmarł czy został zabity - możesz wybrać co wolisz - od rana byłem w Brighton, co może poświadczyć blisko trzydzieści osób. Chyba nie sugerujesz, że to ja go zabiłem, co?

- Nie, ale ta śmierć pogorszy twoją sytuację.

- Czyżby? A to dlaczego?

- Z powodu Corinne.

Donelly zrezygnował z siedzenia na krawędzi biurka. Wyrzucił cygaro do pustego kominka za Callaghanem.

- Słuchaj no! - powiedział. - Zaczynasz mnie nudzić. Znam takie typy jak ty. Marny detektyw, wsadzający nos w cudze sprawy, żeby zarobić trochę forsy. Pewnie ci się wydawało, że uda ci się mnie zaszantażować. Blefowałeś na temat tego, co moja żona ma zamiar zrobić. Corinne robi to... Corinne powie tamto. Ona nigdy nie robi niczego, co by mnie zraniło. Nie mogłaby.

- Tak myślisz?

- Nie myślę, wiem. Posłuchaj Callaghan. Znam Corinne lepiej od ciebie. Wiem, jaka jest. Jej największy kłopot to sadyzm. Zaraz ci to udowodnię. Pamiętasz zapewne, w rozmowie z tobą zaproponowała ci, żebyś tu przyszedł i dał mi porządne lanie. Powiedziała, że to by mi dobrze zrobiło. Innymi słowy, dała ci do zrozumienia, że gdybyś sprawił mi

lanie, być może ona zaczęłaby mówić o pewnych ważnych dla ciebie sprawach. Callaghan milczał.

- Tymczasem - ciągnął Donelly - zadzwoniła do mnie dziś wieczorem i dokładnie powtórzyła mi wszystko, co mówiła tobie. Wyraziła przypuszczenie, że możesz być na tyle głupi, żeby chcieć spełnić jej prośbę, po prostu dlatego, że jesteś skończonym idiotą. Potem poprosiła mnie, żebym na specjalne jej życzenie przygotował dla ciebie coś ekstra. I dopilnował, żebyś dostał taki wycisk, jakiego jeszcze nigdy w swoim wszawym życiu nie dostałeś. Taka właśnie była jej prośba i jesteśmy przygotowani, żeby cię załatwić w wielkim stylu. Kiedy ci chłopcy skończą z tobą, rodzona matka cię nie pozna. Zostanie z ciebie tylko placek do przyklejenia na ścianie. A jak z tego wyjdiesz, jeśli w ogóle wyjdiesz, dziesięć razy pomyślisz, zanim znowu wetkniesz ten swój cholerny nochal w moje sprawy.

Donelly wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

Eustace zaczął zacierać ręce.

Callaghan wziął swoją szklankę z kominka.

- Posłuchaj, Donelly... - zaczął niemal błagalnym tonem - może głupio myślałem, ale jednocześnie nie ma powodu, abyśmy... - I rzucił szklankę do połowy napełnioną prawie samą whisky w twarz Eustace'a. Ten zaskowyczał i zasłonił oczy rękoma. Jeszcze nie przebrzmiał jego krzyk, gdy Callaghan porwał kałamarz z biurka Donelly'ego i cisnął go przez cały pokój w George'a.

George schylił się i kałamarz z trzaskiem uderzył w ścianę. George z uśmiechem na twarzy, z głową pochyloną w dół, niczym byk zaszarżował na Callaghana. Callaghan cofnął się i kiedy George znalazł się w odpowiedniej odległości od niego, podniósł nogę i wymierzył cios w okolice żołądka napastnika. George ryknął i upadł bokiem na dywan. W tej samej chwili Eustace, przeżuając przekleństwo, ruszył na Callaghana.

Callaghan uskakując przed ciosem Eustace'a, rzucił się do tyłu na podłogę. Padając uniósł kolano w górę. Eustace całym impetem poleciał na Callaghana i dostał kolanem w

żołądek, zdążywszy tylko jeszcze prawym sierpowym rozkwaścić usta Callaghana. Callaghan zamachnął się lewą ręką i uderzył Eustace'a w bok głowy. W chwili gdy Eustace padał na bok, Callaghan uniósł się na kolana. Tymczasem George zaczął powoli wstawać na nogi, a potem zbliżać się do Callaghana, ale wcześniej Eustace, leżący na boku, kopnął Callaghana w twarz.

Callaghan wstał i wypluł ząb trzonowy. Obie wargi były rozcięte i krwawiły; strumyczek krwi spływał po brodzie na krawat. Eustace obrócił się na plecach i znalazłszy się poza zasięgiem Callaghana zaczął się podnosić, na koniec stanął obok kominka, z trudem łapiąc oddech.

- Zmęczony chłopczyk? - zapytał Callaghan. Po czym odwrócił się do George'a.

Donnelly wziął nowe cygaro. Nadal uśmiechał się, siedząc rozpostarty w krześle. - Spokojnie George, mamy dużo czasu. Uważaj na te chwytty judo. Używaj stóp.

George zaczął krążyć wokół Callaghana. Callaghan odskakiwał to w bok, to do tyłu. Zaczynał równo oddychać.

- Skoro mowa o judo, jak to ci się podoba? - spytał George'a.

Wyciągnął prawą rękę, zgiętą w dwóch miejscach. Wszystko wskazywało na to, że szykuje się do frontalnego ataku na George'a. Ten cofnął się i czekał. Tymczasem Callaghan odwrócił się nagle do niego tyłem i niespodziewająco się niczego Eustace, który nadal trzymał się kominka, otrzymał kontrę w szczękę ciosem judo, dodatkowo wzmocnionym krawędzią dłoni. Rozległ się trzask. Eustace wrzasnął piskliwym falsetem i złapał się za wybitą szczękę. Po jego twarzy spływały łzy. Callaghan zrobił obrót w kierunku zbliżającego się George'a i wymierzył mu kopniaka, wyrzucając nogę do tyłu, jednocześnie chwycił Eustace'a poniżej prawego kolana. Falset Eustace'a zmienił się w niski jęk; Eustace przewrócił się na kominek, z ust ciekła mu ślina.

- Pokaż, co potrafisz George. - Znowu odezwał się Donnelly. Jego głos był zmieniony, jakby brzmiał w nim niepokój.

Teraz Callaghan zwrócił się do George'a. - No, dalej, George. - Wypluł następny ząb trzonowy i przyjął postawę zawodnika na ringu.

George podjął propozycję Callaghana. Wykonał pozorowany cios lewą ręką, wyciągnął prawą, a potem gwałtownie wyrzucił w przód prawą stopę. Kopniak był wysoki, wymierzony w żołądek Callaghana.

Ale Callaghan był na to przygotowany. Odskoczył do tyłu, złapał stopę George'a, wykręcił ją i przewrócił przeciwnika. George upadł do tyłu. Callaghan skoczył w bok, a potem do przodu. Znalazł się za głową George'a, który już podnosił się na kolana. Wtedy Callaghan wymierzył mu z góry straszliwy cios w szczękę. George zemdłał, podobnie jak Eustace; zanim to się stało, zdążył jeszcze rzucić w Callaghana ciężkim rusztem z kominka.

Mosiężny ruszt wyładował na szyi Callaghana. Callaghan upadł do tyłu, ale natychmiast się odwrócił i próbował wstać. Po trzeciej próbie udało mu się podnieść na kolana.

Donelly odsunął krzesło.

- Niezły jesteś, Callaghan - powiedział. - Całkiem niezły. Ale ja cię wykończę... popatrz tylko, jak to zrobię!

Callaghan stanął na nogach. Przedstawiał sobą niezwykle widok. Prawe oko miał zamknięte i otoczone ciemnym sińcem. Szyja przecięta i spuchnięta. Kołnierzyk od koszuli, krawat i kamizelka poplamione były krwią spływającą z rozciętych, krwawiących warg.

Obrał taktykę gry na zwłokę. Kiedy Donelly wyszedł z biurka, Callaghan zaczął kluczyć tyłem po pokoju. Zbliżywszy się do rozciągniętych na podłodze Eustace'a i George'a, ostrożnie wszedł na ich ciała, zwrócone twarzami do podłogi, jakby chciał wycisnąć z nich powietrze.

Donelly posuwał się za nim. Był zimny i opanowany.

- Co ty możesz jeszcze zdziałać? Przyjmij, co ci jest przeznaczone. Nie masz najmniejszej szansy. Już jesteś martwy, ty głupcze...

Callaghan przelknął ślinę. Ręce mu opadły. Jęczał z bólu. Zbliżył się do biurka, upadł do przodu, głową w dół, na kolana. Donelly uśmiechnął się. Podeszedł do Callaghana z

zaciśniętą pięścią. W momencie gdy się zamierzał, Callaghan rzucił się całym ciałem na niego, chwycił go pod kolanami i pociągnął, a kiedy Donelly ugiął się w kolanach, pchnął go z całej siły... Donelly, stawiający opór, był łatwą zdobyczą. W momencie gdy całym ciężarem pochylił się do przodu, Callaghan nagle pociągnął go i jednocześnie głową uderzył z całej siły w żołądek; Donelly stracił oddech, poleciał do przodu, a wtedy Callaghan chwycił go za ramię i rzucił do tyłu. Donelly wpadł na biurko, kołysząc się na boki. Twarz z jednej strony miał rozciętą o kant biurka. Stał zataczając się lekko, na wpół przytomny.

Callaghan wstał. Stał na środku pokoju patrząc na Donnelly'ego. Oddychał ciężko. Po jego lewej stronie nieruchomo leżał George. Eustace, schowany częściowo w kominku, z nogami wyprostowanymi na dywanie, zaczął się ruszać. Mruczał coś do siebie tym swoim dziwnym głosem, na przemian to klnąc, to pojękując.

Callaghan cofnął się do szafki, złapał karafkę i rzucił ją w Eustace'a. Karafka wylądowała na jego twarzy z głuchym odgłosem. Następnie odbiła się od rusztu i rozbiła na kawałki.

Callaghan oddychał już swobodniej, ale kark tak mu zesztywniał, iż z trudem poruszał głowę. Widział tylko tyle, na ile pozwalało mu jedno, na wpół przymknięte oko.

Odezwał się opuchłymi, zakrwawionymi ustami:

- No, Donelly... na co czekamy? - I ruszył do przodu. Wtedy Donelly podniósł się i szedł mu naprzeciw. Callaghan szybko rzucił się na podłogę, chwytem nożycowym złapał nogi Donnelly'ego i odrzucił na bok. Donelly upadł na Eustace'a. Callaghan potoczył się po podłodze za nim, prawą pięść wycelował w szczękę Donnelly'ego, ale nie trafił. Zanim zdołał się podnieść, Donelly już go dopadł, z całej siły ściskając za gardło.

Callaghan usiłował oderwać prawą rękę Donnelly'ego od swojego gardła. Pokój pogrążał się w ciemności. Donelly dusił go lewą ręką. Niemał nieprzytomny, Callaghan siłą przyciągnął prawą rękę Donnelly'ego do swoich ust i ugryzł

ją z całej mocy. Zaciśnięte na palcach zęby wgrzyły się aż do kości. Ucisk ręki Donelly'ego na gardle nieco zelżał. Callaghan podniósł kolano i zaczął się kołysać na boki; Donelly kołysał się wraz z nim. Wykorzystując ruch ciała, uniósł łokieć i uderzył nim Donelly'ego w twarz.

Donelly upadł na podłogę. Callaghan z trudem podniósł się na kolana. Pokój wirował mu przed oczyma. Na przemian robiło się jasno, to znów ciemno. Potrząsnął głową jak bokser, który został znokautowany i usiłuje podnieść się przed końcem wyliczania. Po chwili pokój zaczął obracać się wolniej. Wstał, pokuśtykał do szafki i oparł się na niej całym ciężarem. Znalazł butelkę whisky. Wcisnął jej szyjkę między pokaleczone wargi i napił się.

Odwrócił się; stał niemal bliski zemdenia, trzymając się szafki.

Eustace leżał nieruchomo w kominku, George z jedną dłonią ułożoną płasko na podłodze próbował za wszelką cenę się ruszyć. Donelly leżał rozciągnięty na plecach z wyprostowanymi nogami, nieprzytomny.

Callaghan odwrócił się powoli. Jego kark był sztywny niczym deska. Bolał go każdy staw, każdy mięsień. Wziął butelkę z whisky i pociągnął jeszcze raz. Butelka wypadła mu z ręki i rozbiła się. Patrzył, jak whisky wsiąka w dywan.

Powoli ruszył naprzód, wykonując ostrożne ruchy, by oszczędzać siły. George, podpierając się rękami i nogami, kiwał się w przód i w tył, starając się przejrzeć na oczy i jednocześnie koncentrując się na trudnym zadaniu powstania na nogi.

- Pomogę ci... kolego - zamruczał Callaghan. Uklęknął ostrożnie z boku George'a. Żeby nie stracić równowagi, wsparł się lewą ręką na podłodze. Prawą zamachnął się i wymierzył cios w twarz George'a. Rozległo się plaśnięcie podobne do uderzenia drewnianego młotka w miękkie drewno. George powoli osunął się na podłogę.

Callaghan wstał i podszedłszy do Donelly'ego zaczął mu się przyglądać. Na podłodze coś leżało. Patrzył na to przez dłuższą chwilę, wreszcie, mimo bólu, uśmiechnął się. Z jego

powiększonych niemal dwukrotnie ust wydobyły się słowa:

- A niech to!

Podniósł to „coś” z podłogi i schował do kieszeni. Powłócząc jedną nogą, zaczął iść w kierunku drzwi. W drzwiach odwrócił się i spojrzął na trzy leżące ciała. Znowu się uśmiechnął i wyszedł.

Stracił wiele czasu na otwarcie drzwi wyjściowych klubu. Kiedy je wreszcie otworzył, prześlizgnął się przez nie, następnie zsunął ze schodów i niepewnym krokiem, ślaniając się, zaczął iść podjazdem. Nocne powietrze dostało się do jego płuc, do żołądka wypełnionego whisky. Był na wpół pijany, na wpół nieprzytomny. Niepewnie pokonywał drogę do samochodu. Raz wpadł na drzewo i poobijał sobie żebra, potem znów do rowu ukrytego przez rozrośnięte krzewy rododendronów, okalające podjazd. Miał wrażenie, że minęły wieki, nim dotarł do bramy. Za bramą skręcił w lewo i pokuśtykał do miejsca, gdzie zostawił samochód.

Gdzieś w głębi, mimo bólu, łomotania w głowie, pięknego bólu lewej kostki, pulsowania w karku i ciągłych nawrotów mdłości, czuł jakieś szczególne uczucie podniosłej dumy. Z całych sił starał się, aby stało się ono dominujące i pomogło mu przywrócić jasność myślenia.

Czasami los bywa łaskawy dla człowieka. Czasami... wiadać teraz wypadło na niego. To się nazywa mieć szczęście... tylko jedna, jedyna rzecz mogła przynieść rozwiązanie... jedna... i ta rzecz się wydarzyła.

Oparł się o bok samochodu, wyprostował, położył ręce na dachu, żeby zachować równowagę, wciągnął w płuca parę haustów nocnego powietrza. Z każdą minutą jego umysł stawał się jaśniejszy. Po chwili usiadł na stopniu samochodu od strony krzewów, w cieniu; zwiesił głowę między kolanami. Potem wyprostował się, oparł o samochód i zaczął myśleć.

Uśmiechnął się; skoro on czuje się tak fatalnie, to cóż dopiero mogą powiedzieć Donelly, Eustace i George? Myśl ta podziałała nań kojąco niczym środek uspokajający. Obudziło się w nim zainteresowanie życiem.

Jakiś cień przeciął drogę. Przesunął się szybko, bezszelstnie. I usiadł na stopniu obok Callaghana. A po chwili odezwał się:

- Slim... Slim... co oni z tobą zrobili, moje biedne kochanie.

To Corinne. Callaghan spojrzął na nią bokiem. Nie mógł inaczej, gdyż lewe oko miał zamknięte. Chciał się uśmiechnąć, ale okazało się, że czynność ta przekracza możliwości jego pokaleczonych i rozbitych warg. Powiedział więc tylko:

- Ty, jak-ci-tam, prawdziwa dziwka z ciebie!

- Wiem... wiem... ale to nieprawda, Slim, nieprawda. Tak musiało być... musiało...

- Jak cholera... - reszta słów była niedosłyszalna.

- Obiecałam ci, że wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Wstała, wzięła go pod ramiona i trochę ciągnąc, trochę popychając podniosła ze stopnia samochodu i odsunęła od drzwi. Następnie otworzyła drzwi i wepchnęła go na miejsce obok kierowcy. Przeszukała jego kieszenie i znalazła kluczyki do samochodu. Obeszła samochód i usiadła za kierownicą.

- Przekonasz się, kochany... przekonasz się. Bądź tylko cierpliwy - powiedziała cicho.

Callaghan zaklął pod nosem. Ruszyli. Skręciła na główną drogę, prowadzącą do Rottingdean; potem w lewo do Eastbourne. Jechali szybko. Zatrzymała wóz na Pevensey Road, jakieś czterysta metrów od domków straży przybrzeżnej. Zaparkowała w cieniu krzaków, po lewej stronie drogi. Obeszła samochód od tyłu, otworzyła drzwi i wsunęła kluczyki do kieszeni Callaghana.

- Chodźmy Slim. Opatrzę cię. Mam tutaj domek. Zaufaj mi. Jeszcze tylko raz.

Tym razem Callaghanowi udało się uśmiechnąć. - Z zasady próbuję tylko raz, chyba że mi się podoba, no to dwa. Tym razem spróbuję po raz drugi, choć mi się to wcale nie podoba!

Wysiadł z samochodu. Kark i stawy miał sztywne. Z każdym ruchem przeszywał go ból w całym ciele. Wzięła go pod rękę. Ruszyli alejką prowadzącą ku morzu; skręcili w prawo, ku małemu samotnemu domkowi.

Była trzecia, gdy Callaghan otworzył oczy. Z trudem obrócił głowę, z powrotem zamknął oczy i zrobił wielki wysiłek, aby przypomnieć sobie, co się wydarzyło. Wysiłek się opłacił. Spojrzał na Corinne.

Siedziała w wielkim fotelu, przyglądając mu się. Obok stał stolik, a na nim kuchenka spirytusowa a dzbankiem kawy. Nalała do filiżanki mocnej, czarnej kawy, wysypała dwie czubate łyżeczki cukru i podała mu. Callaghan wziął drżącą ręką filiżankę i zaczął pić. Corinne wróciła na fotel.

Skończył pić, zdjął nogi z łóżka, usiadł i spojrzał na nią. W kącie pokoju, na krześle, dostrzegł swoje podarte i poplamione krwią rzeczy: marynarkę, krawat, kołnierzyk i kamizelkę.

- I cóż?... - zapytał.

Uśmiechnęła się do niego. Był to uśmiech leniwy i rozmarzony. Była spokojna.

- Posłuchaj, Slim. Musiało się tak stać. On mi nie ufał. Podejrzał mnie od chwili, gdy tam poszedłeś i powiedziałeś mu, że jesteś moim przyjacielem, nawet jeśli ja o tym nie wiem. Myślał, że zatrudniłam cię. Musiałam coś zrobić, żeby mi znów zaufał. Musiałam. To było w dobrej intencji, rozumiesz? Zadzwoiłam więc i powiedziałam mu, że przyjdiesz. I poprosiłam go, żeby ci dał wycisk. Powiedziałam, że chcę, żeby cię porządnie bolało! Ze czuję do ciebie odrazę, a jego kocham i nie mogę znieść, że źle o mnie myśli. No... i on to przelknął. Teraz znowu będzie mi ufał. I zrobi wszystko, co zechcę.

Callaghan powiedział grubym głosem:

- Ty słodkie, małe kochanie.

- Wiem, nienawidzisz mnie.

Callaghan uśmiechnął się, szło mu to coraz łatwiej.

- Nienawiść to nie jest odpowiednie słowo. Powiedz mi, malutka, w jakim celu było to wszystko? Co to za pomysł?

- Przekonasz się, Slim - szepnęła - przekonasz się. Po-deszła do niego, uklękła obok i spojrzała mu w twarz.

Callaghan nadal się uśmiechał.

- Ależ z ciebie cholerna idiotka. Szkoda, że nie mogę ci powiedzieć, jak bardzo ci współczuję...

Odsunęła się od niego i warknęła:

- Współczujesz mi?! Z jakiego powodu? Nie potrzeba mi twojego współczucia...

- Wszyscy powinni ci współczuć. Jesteś po prostu patentowaną idiotką, z którą on robił, co mu się podobało. Nie miałaś na tyle rozumu, żeby się z tego wyzwolić. Twój przyjaciel od pierwszej chwili trzymał cię pod pantoflem, związaną niczym prosię. Ależ musiał się śmiać, kiedy udawał, że się z tobą żeni!

Spojrzała na niego zdumiona.

- Co to znaczy, udawał?! Zwariowałeś? Donelly ożenił się ze mną. Kochał mnie kiedyś. Kiedyś...

- Bzdury! Nigdy cię nie kochał. Jeśli w ogóle kogoś kochał, to twoją siostrę Violę.

Corinne syknęła i cichym, zduszonym głosem powiedziała:

- Co masz na myśli, ty głupcze... ty biedny głupcze, no, co?

Callaghan spojrzał na nią swoim zdrowym okiem. Jego twarz z powodu zamkniętego i podbitego oka miała groteskowy wyraz. Odnosiło się wrażenie, jakby łypał jednym okiem. Odpowiedział prawie nonszalanckim tonem:

- On nigdy nikogo nie kochał. Nie umiał. Taki już był. Ale jeżeli znalazł się w stanie przypominającym stan zakochania, to osobą, która go do tego przywiodła, była Viola. Nie ty. Może nawet do niej coś czuł. Mogę się założyć, że Viola była jego jedyną miłością.

- Idiotyczne kłamstwo. On nie znał Violi. Nigdy z nią nie rozmawiał. Kochał mnie...

- Bzdury. Tak jak to, że nazywa się Donelly. To jest Sharpham, mąż Violi. We Włoszech zginął Donelly, a nie Sharpham.

- O Boże! - szepnęła. - Zmyślasz. To nieprawda. To nie może być prawda...

- Czy Donelly, to znaczy, mężczyzna, którego znasz pod tym nazwiskiem, ma znamię pod lewą pachą?

Corinne skinęła głową.

- To jest Sharpham. Rupert Sharpham, mąż Violi. Słuchaj...

Spojrzał na nią. Oczy jej płonęły. Unikała jego wzroku. Wyglądała, jakby postradała zmysły. Callaghan mówił dalej:

- To Sharpham. On wszystko zaaranżował. Kiedy wraz z Donellym zostali zestrzeleni, Sharpham był ciężko ranny. Miał złamaną szczękę i nos. To jemu, Sharphamowi, obozowy chirurg doprowadził do porządku twarz.

Potem dostał list od Violi, w którym zawiadamiała go, że z powodu małżeństwa z nim straciła pieniądze. Wyobrażam sobie, jak go to ucieszyło. Ale zachował tę wiadomość dla siebie. Kiedy już wydobrzył, wspólnie z Donellym zaplanowali ucieczkę. W trakcie ucieczki zginął Donelly. Zginął od granatu. Był tak zniekształcony, że nikt go nie rozpoznał. Wiem to z raportów RAF-u.

Zamiana była dziecinnie prosta. Wziął papiery Donnelly'ego, jego znaczek identyfikacyjny i wrócił do Anglii jako Donelly. Sprawozdanie o śmierci Sharphama, okoliczności, w jakich zginął - wszystko to pochodziło od niego. Po prostu wykorzystał okazję. I udało mu się. Nikt go nie rozpoznał. Bo nikt nie mógł. Wrócił jako Donelly. Przyjechał do Hurstmonceaux, ponieważ stamtąd było blisko do Dark Spinney. Chciał sprawdzić, co się tam dzieje. Natknął się na ciebie! Poszcęściło mu się. Ty biedna, ogłupiała, mała idiotko. Zastawił pułapkę i ty w nią wpadłaś. Mimo tylu przygód, takiego doświadczenia w miłości! Właśnie ty musiałaś go poślubić. Po prostu musiałaś. Wyszłaś za Sharphama, męża Violi. Można pęknać ze śmiechu.

- Nie wierzę w to wszystko. Nie wierzę - powiedziała Corinne cichym, ochrypłym głosem.

- Nie? To posłuchaj. Przed zestrzeleniem we Włoszech Sharpham był już dwukrotnie ranny. Raz w ramię, za drugim razem odstrzelono mu palec u prawej dłoni. Dzisiaj, gdy Donelly mnie dusił, ugryzłem go w rękę. I wtedy jego mały palec został mi w ustach. Znalazłem go potem na dywanie. Jest wykonany z gumy. Popatrz.

Wstał, pochylił się nad płaszczem i zaczął grzebać w kieszeni. Wyjął mały przedmiot, który znalazł na dywanie w klubie *Mardene*, i pokazał go jej. - Oto mały palec *Sharphama*. To wokół tego drobiazgu owijał sobie ciebie przez długi czas. Przykro mi, że nie mogę ci go podarować na pamiątkę.

Callaghan zabrał się do wkładania kamizelki i płaszcza. Było to trudne i zajęło mu sporo czasu.

Corinne usiadła na łóżku. Była bardzo blada. Patrzyła przed siebie. Po chwili powiedziała:

- Odejdź proszę... proszę, odejdź... - Jej głos był cichy i bezbarwny.

Callaghan wziął poplamiony kołnierzyk i krawat i wcisnął je do kieszeni marynarki. Od drzwi odwrócił się i spojrział na nią.

- Dobrej nocy Corinne. Niewesoła sytuacja, co, kochanie? Trzeba będzie zapłacić za wszystko.

I wyszedł.

Siedziała na łóżku wpatrzona przed siebie. Po dłuższej chwili wstała, poszła do saloniku, wyjęła z szafki butelkę whisky, naląła sobie sporą porcję i wypila. Ręka jej nawet nie drgnęła.

Podeszła do telefonu i wykręciła numer. Czekala chwilę, potem powiedziała:

- Lucien? Mój kochany, kochany, kochany. Jak ja cię kocham. Czekałam dzisiaj przy końcu podjazdu. Chciałam go zobaczyć. Był w fatalnym stanie. O to mi właśnie chodziło. Z trudem wsiadł do samochodu, a kiedy ruszył, jechał slalomem, jakby był... - Przez chwilę słuchała, a potem: - Kochany, muszę się z tobą spotkać. Jest taka piękna noc. Napij się i przyjedź do mnie. Będę czekała na łodzi... wypłyniemy na przejażdżkę w morze, kochanie. Mam ci tyle do powiedzenia... tyle rzeczy... Tak, wiem, że jest późno, ale potem wrócimy do domku i wyśpimy się. Muszę z tobą porozmawiać... dla twojego i mojego dobra... tak, za godzinę. Będę czekać na ciebie na *Mayflay*.

Odłożyła słuchawkę. Napiła się trochę whisky. Nagle

wybuchnęła śmiechem. Stała na środku pokoju i śmiała się, a potem zaczęła płakać.

Kiedy się uspokoiła, poszła do małej łazienki i obmyła twarz. Potem wróciła do saloniku, usiadła przy biurku w kącie pokoju i zamyśliła się. Myślała o rozmaitych głupich, dziecinnych sprawach. Przypomniała sobie przyjemne wydarzenia z dawnych czasów.

Jednakże człowiek coś robi, potem zdarzają się inne rzeczy, jedno wydarzenie następuje po drugim, człowiek usiłuje coś naprawić, ale mu się nie udaje. Zapada się więc coraz głębiej i głębiej w trzęsawisko. Straszne trzęsawisko. I tylko morze jest czyste... tylko morze...

Wzięła kawałek papieru i pióro i zaczęła pisać. Przez parę minut pisała, potem przeczytała to, co napisała, i zaadresowała kopertę. Spojrzała na zegarek. Okazało się, że musi się spieszyć.

Włożyła zapisaną kartkę do koperty i zakleiła ją. Wyszła przed dom i udała się do przybudówki obok, służącej za garaż, uruchomiła mały samochód i wyjechała na drogę do Alfriston.

Callaghan zatrzymał Lagonę przed hotelem Pod Dwoma Mnichami. Chwiejnie wysiadł z samochodu, znalazł klucz do bocznych drzwi hotelu i niepewnym krokiem udał się na górę do swojego pokoju. Otworzył drzwi. W fotelu siedział Nikolls i czytał książkę *Jak zostać panem i władcą kobiet*. Podniósł wzrok i zobaczył Callaghana.

- Chryste!... Ale dostałeś wycisk! Rany!...

- Drobiazg... wpadłem na drzwi. - Wyjął z kieszeni gumowy palec i rzucił go na stół. - Schowaj to w bezpiecznym miejscu. Możesz wierzyć lub nie, ale mamy dowód. To właśnie to.

Wyjął papierośnicę i otworzył ją. Nagle papierośnica wypadła mu z rąk, on sam opadł na stół i po chwili ześliźnął się na podłogę.

Nikolls wstał z okrzykiem:

- Coś takiego... ale heca!

I skoczył do sypialni po dzbanek z zimną wodą.

Kurtyna

Callaghan stał przed kominkiem paląc papierosa. Jedno oko miał zabandażowane, a na dolnej wardze plaster. Jedna strona jego twarzy była spuchnięta; od prawego ucha w kierunku karku ciągnął się olbrzymi siniak. Ale mimo to nie wyglądał na nieszczęśliwego.

Wszedł Nikolls.

- Gringall wyjechał z Eastbourne o jedenastej. Już powinien być. - Pogrzebał w kieszeni i wyjął papierosa, mistrzowskim ruchem potarł zapalną o spódnie na siedzeniu i zapalił. Zaciągnął się z przyjemnością.

- Znowu mi jakoś trochę słabo. Wiesz, jak zwykle przed obiadem. Uważam, że powinniśmy się napić. Zresztą, mamy coś do uczczenia.

- Chyba masz rację. W szafce jest nowa butelka.

Nikolls wyjął whisky, syfon i szklanki. Wymieszał drinki.

- Ciekaw jestem, co zrobi Corinne. W niezłą kabałę się wpakowała. Wyobrażam sobie, jak się czuje.

- Wiem, co ona zrobi - odparł Callaghan. - Nie tak łatwo ją przestraszyć.

Nikolls westchnął.

- Co za piekielna sprawa, dużo roboty, bicie i ani grosza gotówki. Jedyna forsa, jaką dostaliśmy za ten cały interes, pochodziła od Corinne, a i to zwróciłeś ją Donelly'emu, czy jak ten łobuz się nazywa. No i zostaliśmy ze słodkimi słówkami. Bawimy się w filantropów, mamy dobre serce. Równie dobrze mogłeś się dać zamknąć w pudle. To nieetyczne

i w ogóle nie w porządku. - Nikolls dokończył whisky.

- Jedź do Mardene, może będzie tam twoja przyjaciółka. Powiedz jej, żeby się nie przejmowała swoim szefem w czasie, gdy ty będziesz myszkował po lokalu. Zajrzyj do sejfu. Ona na pewno zna szyfr. Może znajdziesz coś, co powiąże to wszystko w całość.

- Dobra. Ale słuchaj, to jednak było uszkodzenie ciała. A jeśli Donelly zacznie się stawiać?

- Dlaczego, do licha, miałby się stawiać? Ruszaj, Windy!

Nikolls z żalem spojrział na butelkę, jeszcze raz westchnął i wyszedł.

Callaghan przygotował sobie następnego drinka. Stał z mikserem w ręce obok okna i patrzył na słoneczne niebo, gdy drzwi otworzyły się i wszedł Gringall.

- Dzień dobry, Slim, co się stało? Wyglądasz, jakby cię czołg przejechał.

- Szkoda, że nie widziałeś tamtego gościa, a właściwie trzech. Napijesz się?

- Dziękuję, nie. - Wyjął fajkę i zaczął ją nabijać. - Dzisiaj rano, jakieś półtorej godziny temu, w odległości paru kilometrów na wschód od Crumbles morze wyrzuciło ciało Corinne Alardyse i niejakiego Luciena Donelly'ego. Czy to ci coś mówi?

- Wiele. Jak wiesz, ona była żoną Donelly'ego, ale dopiero wczoraj wieczorem dowiedziała się ode mnie, że to małżeństwo było nielegalne. A Donelly wcale nie był Donellym. To był Rupert Sharpham, który w 1939 roku ożenił się z Violą Alardyse. Nie było sensu informować jej o tym, że małżeństwo z Violą też było nielegalne, albowiem Sharpham miał żonę i dziecko w Południowej Afryce. Jego żona nadal go szuka. Z Corinne ożenił się, żeby trzymać ją w garści i bezkarnie szantażować Violę. Mam nadzieję, że zwłoki nie są zniekształcone. Zależy mi na identyfikacji.

- Ciała są spuchnięte, ale nie za bardzo. Jak zwykle, pracowita z ciebie pszczołka, co?

- No chyba. Tym razem Agencja Detektywistyczna Callaghana zebrała wszystkie cięgi i ani grosza za fatygę. Że nie wspomnę o ryzyku podpadnięcia policji.

- Masz na myśli to, co zrobiłeś z dowodami przy zwłokach pułkownika? Wiedziałem, że Patrycja cię tylko osłaniała.

Callaghan potwierdził skinieniem głowy.

- I cieszę się, że to zrobiłem, bo zaowocowało. A ty masz wszystkie potrzebne ci dowody. Corinne Alardyse napisała do mnie list wczoraj wieczorem. Wkrótce potem, jak ją opuściłem, musiała przyjechać tu i wrzucić go do skrzynki na listy.

- A co ze Stenhurstem?

- Ona go zabiła. Moim zdaniem, była to osoba balansująca na granicy szaleństwa, może nawet była szalona. Tej nocy, kiedy Stenhurst dzwonił do mnie, podsłuchał jej rozmowę z Donellym. A pułkownik nie był nawet w połowie tak głupi, za jakiego go uważano. Od jakiegoś już czasu prowadził wywiad w sprawie Donelly'ego i klubu Mardene. I z tego powodu wybuchła przy kolacji awantura. On wiedział, że Corinne była żoną Donelly'ego. I kiedy z tego anonimemu dowiedział się, że Viola też jest mężatką, starszy pan bardzo się zdenerwował. Wyobrażasz sobie.

- No pewnie.

- Przypuszczam, że następnego dnia Corinne przeczytała ten anonimowy list. Prawdopodobnie zakradła się do pokoju pułkownika i przeczytała go. Natychmiast zaczęła podejrzewać, że to Donelly go wysłał. I miała rację. Była na niego wściekła. Zamierzała zmusić go do przyznania się, że wysłał ten list. Wyobrażasz sobie, jaka to dobrana parka. Nienawidziła go, a jednocześnie ją pociągał. Nie mogła się od niego uwolnić, choć nienawidziła go za bezwzględność.

Tamtego popołudnia jeszcze raz weszła do pokoju pułkownika i wzięła jego rewolwer. Naładowała go i pojechała, żeby przemówić do rozumu Donelly'emu. Była wściekła na niego i przypuszczalnie zamierzała pogrozić mu bronią. Ale

nie zastała go w klubie Mardene. Był z przyjaciółmi w Brighton. Wróciła więc do Dark Spinney wcześniej wieczorem. W torebce miała broń. Weszła przez zieloną furtkę w murze okalającym posiadłość. Przypuszczam, że kiedy znalazła się w ogrodzie, zobaczyła na jednej z alejek pułkownika, który czekał na nią, żeby się z nią rozmówić. Zabrał ją do pagody i bez ogródek powiedział to, co myślał. Pokazał jej anonim. Powiedział, że słyszał jej rozmowę z Donellym - czy Sharphamem, jak wolisz - poprzedniego wieczoru. Zażądał wyjaśnień i zapewne nie zamierzał ustąpić.

Przypuszczam, że Corinne kazała mu iść do diabła. Wtedy wyjął kartę atutową. Powiedział, że wie o jej małżeństwie z Donellym. To, oczywiście, wcale się jej nie spodobało. Psuło jej szyki. Oznaczało, że nie będą mogli wyciągać od Violi pieniędzy. Wyobrażasz sobie tę scenę w pagodzie?

- O, tak. Musiała być wyborna.

- Z pewnością. Potem przypomniała sobie, że w torebce ma rewolwer. Wyjęła go, strzeliła do pułkownika i po wszystkim. A potem jeszcze sobie coś przypomniała. Mianowicie to, że gdy parę tygodni temu pułkownik pokazywał im rewolwer, wszystkie brały go do ręki. Mogło tak być, że Viola ostatnia go trzymała. Mogło być też tak, że Corinne zapamiętała, że jej odciski palców były na wierzchu. Niewykluczone również, że Corinne od chwili zabrania broni z pokoju starego, aż do momentu, gdy go zabiła, miała przez całe popołudnie na rękach rękawiczki.

To jej bardzo odpowiadało. Rzuciła rewolwer, wsunęła chusteczkę Violi pod ciało pułkownika, wyniknęła się z ogrodu i jakąś boczną drogą pojechała do Eastbourne lub gdzie indziej. Nikt jej nie zauważył. Udało się jej. Mając świadomość, że zamknęła usta pułkownikowi, wiedząc, że wszystko wskazuje na to - pamiętajmy o anonimie - że to Viola miała powody, aby usunąć pułkownika, czuła się bezpieczna. Wtedy zabrała się za Donelly'ego. Chciała zdobyć dowód, że to on wysłał ten anonim. Gdyby okazało się,

że tak, Corinne od razu przejrzała jego zamiary. I nie przypadły jej do gustu. Dała mi więc siedemdziesiąt pięć funtów, żebym to ustalił. Jej się zdawało, że za siedemdziesiąt pięć funtów można kupić wszystko.

- Z wyjątkiem pana Callaghana, oczywiście?

- Tym razem tak. I na pewno nie za siedemdziesiąt pięć funtów. Jeśli Agencja Detektywistyczna Callaghana zabiera się do podejrzanego interesu, żąda prawdziwych pieniędzy.

Callaghan zapalił papierosa i mówił dalej:

- Corinne przyznaje się w swoim liście do zabicia pułkownika. Przyznaje się do wszystkiego, co już i tak wiemy. To nie jest zły list, zważywszy, że musiała się gotować z wściekłości, gdy go pisała. Sądzę, że po moim wyjściu zadzwoniła do Donnelly'ego. Wiedziała, że wyjdzie jej naprzeciw, bo sprzedała mu mnie, ostrzegła go, że zamierzam dać mu wycisk. Pozwoliła mu myśleć, że jeszcze raz zrobił z nią, co chciał, dlatego udało jej się namówić go na przejażdżkę, wypłynąć daleko w morze i przewrócić łódź. Ona sobie świetnie radziła z tą łodzią. Niedawno mi to zademonstrowała.

- Starasz się, co?

- Staram się każdą zaczętą sprawę doprowadzić do końca - powiedział z uśmiechem Callaghan. - List Corinne, gumowy, mały palec Sharphama... własny mu odstrzelono... i parę moich notatek znajdziesz w tej kopercie. Proszę, jak na tacy i za darmo.

- Chyba się teraz napiję - powiedział Gringall i podczas gdy Callaghan nalewał mu whisky, mówił: - W najbliższy czwartek musisz tu być na przesłuchaniu, Slim. Jesteś świadkiem. Trzeba będzie rozstrzygnąć pewną kwestię. Czy w momencie wywracania łodzi Corinne była chora psychicznie, czy nie. Jeśli chodzi o zabójstwo Stenhursta, sprawa jest jasna. Było to „morderstwo z premedytacją”.

Gringall wziął kopertę i dopił whisky.

- No... to ja już lecę. Do widzenia, Slim.

- Do widzenia.

Gringall wyszedł.

Zadzwoił telefon. Była to Effie Thompson.

- Panie Callaghan, znowu dzwoniła panna Audrey Vendayne. Prosiła, żeby panu przekazać, że Devonshire wygląda pięknie i że zaprasza pana na najbliższy weekend albo na następny.

- Może w następnym tygodniu. W tym nie mogę... w czwartek mam przesłuchanie.

- Śmiesznie pan mówi. Jakby pan miał coś w ustach.

- Cieszę się, że to dla ciebie brzmi śmiesznie. Straciłem jeden siekacz i dwa trzonowe zęby. Zadzwoń do panny Vendayne i powiedz jej, że zadzwonię do niej pod koniec tygodnia.

- Dobrze - odparła Effie.

Callaghan odłożył słuchawkę. Podeszedł do okna i zaparzył się na spokojną, zalaną słońcem ulicę.

Koroner zwrócił się do ławników:

- Panowie, przepraszam, że trzymałem was tak długo w tej niefortunnej sprawie. Zanim jednak was zwolnię, chciałbym spełnić prośbę nadinspektora Scotland Yardu, pana Gringalla i podziękować panu Rupertowi O'Brien Callaghanowi z Agencji Detektywistycznej Callaghana za wielką pomoc, jakiej udzielił on policji w śledztwie w sprawie śmierci trzech osób, w której przed chwilą wydaliście wyrok. Panowie jesteście wolni.

Na zewnątrz, w blasku słońca, Callaghan natknął się na Gringalla.

- No, no... do czego to doszło. Od kiedy to policja dziękuje prywatnemu detektywowi? Co się dzieje?

- Och, to tylko tak, dla zachowania pozorów, Slim. I pozwól, że ci coś poradzę. Znowu ci się upiekło. Ale któregoś dnia zaryzykujesz o jeden raz za dużo i narobisz sobie masę kłopotów.

- Naprawdę? Jeśli coś takiego mi się przydarzy, przyjdę do ciebie. - I z uśmiechem dodał: - Wspomnij o mnie głównemu komisarzowi.

Gringall ze smutkiem pokiwał głową i odszedł. Callaghan zaś uruchomił silnik samochodu i ruszył w stronę Alfriston.

Słońce świeciło jasno i mocno przygrzewało. Ciszę wiejskiej okolicy zakłócał jedynie krzyk mew znad morza. Ogólnie rzecz biorąc bywa w życiu gorzej, pomyślał Callaghan.

Przed sobą, tuż za skrzyżowaniem dróg Alfriston-Hangover, widział już zieloną furtkę w murze okalającym Dark Spinney. Kiedy ją mijał, otworzyła się i na drogę wyszła Viola i Patrycja.

Callaghan zatrzymał się. Podeszły do niego.

- Dzień dobry, Slim! - powitała go Patrycja. - Właśnie rozmawialiśmy o tobie z Violą. Powiedziałam jej, że nie należy martwić się tym, co się stało. Trzeba z życia czerpać tyle szczęścia, ile się da. Czy nie mam racji?

- Absolutnie masz. To grzech być nieszczęśliwym w taki dzień jak dziś.

Patrycja mówiła dalej:

- Muszę iść do wsi. Do zobaczenia, Slim. Myślałyśmy, właściwie to pomysł Violi, że może zechciałbyś zostać tu na jakiś czas i odpocząć? Byłoby cudownie, gdybyś został w Dark Spinney. Wprost fantastycznie. Viola też tak myśli, ale tego nie powie. Przeżywa właśnie jeden z silniejszych napadów skromności.

- Ależ, Patrycjo, jak możesz tak mówić?...

- Byłabyś zdumiona, gdybyś wiedziała, ile mogę powiedzieć, jeśli trzeba.

I poszła, zaśmiaawszy się jeszcze przez ramię.

- Zostań, Slim... proszę!... - powiedziała Viola. - Nie potrafimy wyrazić, jak wdzięczne ci jesteśmy. Tyle dla nas zrobiłeś... Ciotka Honoria oświadczyła, że jeśli odmówisz, nigdy ci tego nie wybaczy.

- Ależ to straszne nie uzyskać przebaczenia u ciotki Honorii. Zostanę, bardzo dziękuję. Ale muszę jeszcze zadzwonić do biura. Wsiadaj, zrobimy to z budki przy drodze.

Usiadła obok niego. Callaghan zawrócił i po chwili samochód zniknął za zakrętem.

Patrycja wyrzała zza bramy, za którą się ukryła. Weszła przez zieloną furtkę do ogrodu. Żwirową alejką zbliżała się w jej kierunku panna Wymering.

- Czy pan Callaghan zostanie? - spytała.

- No pewnie - odparła Patrycja. - Właśnie razem odjechali. - Westchnęła: - Ta dziewczyna nie wie nawet, co ją spotkało.

- Co masz na myśli?

Patrycja odpowiedziała afektownie:

- Viola wpadła. Kiedy Slim przyjechał do nas po raz pierwszy, była dla niego nieprzyjemna. Zamierzała go nawet wyrzucić. Pamiętasz, co nam powiedziała wczoraj wieczorem? Przyjrzyj się jej. Gdy patrzy na niego, oczy jej błyszczą jak gwiazdy. - Patrycja znowu westchnęła.

- Ona jest zakochana. Jeśli on nie zatrzyma się na skraju lasu, żeby uzyskać coś akonto, to nie jest takim mężczyzną, za jakiego go uważam.

- Ależ ja zupełnie nie rozumiem, o czym ty mówisz! - zawołała panna Wymering. - Pan Galashiels ma przesłać mu czek na tysiąc funtów. Wczoraj wieczorem został podpisany. To prawdziwie królewska zapłata.

Patrycja powiedziała tajemniczo:

- Oderwij się na chwilę od tak przyziemnych spraw, kochana ciociu. Nie mówiłam o pieniądzach.

- Na Boga, chyba nie chcesz powiedzieć, że po wszystkich tych przejściach Viola mogłaby myśleć o miłości i małżeństwie?

- Nic takiego nie powiedziałam, ciociu. Nie przejmuj się małżeństwem.

I idąc w kierunku domu, dodała: - Nigdy nie słyszałaś piosenki pod tytułem *Kochaj je i rzucaj, Joe?*